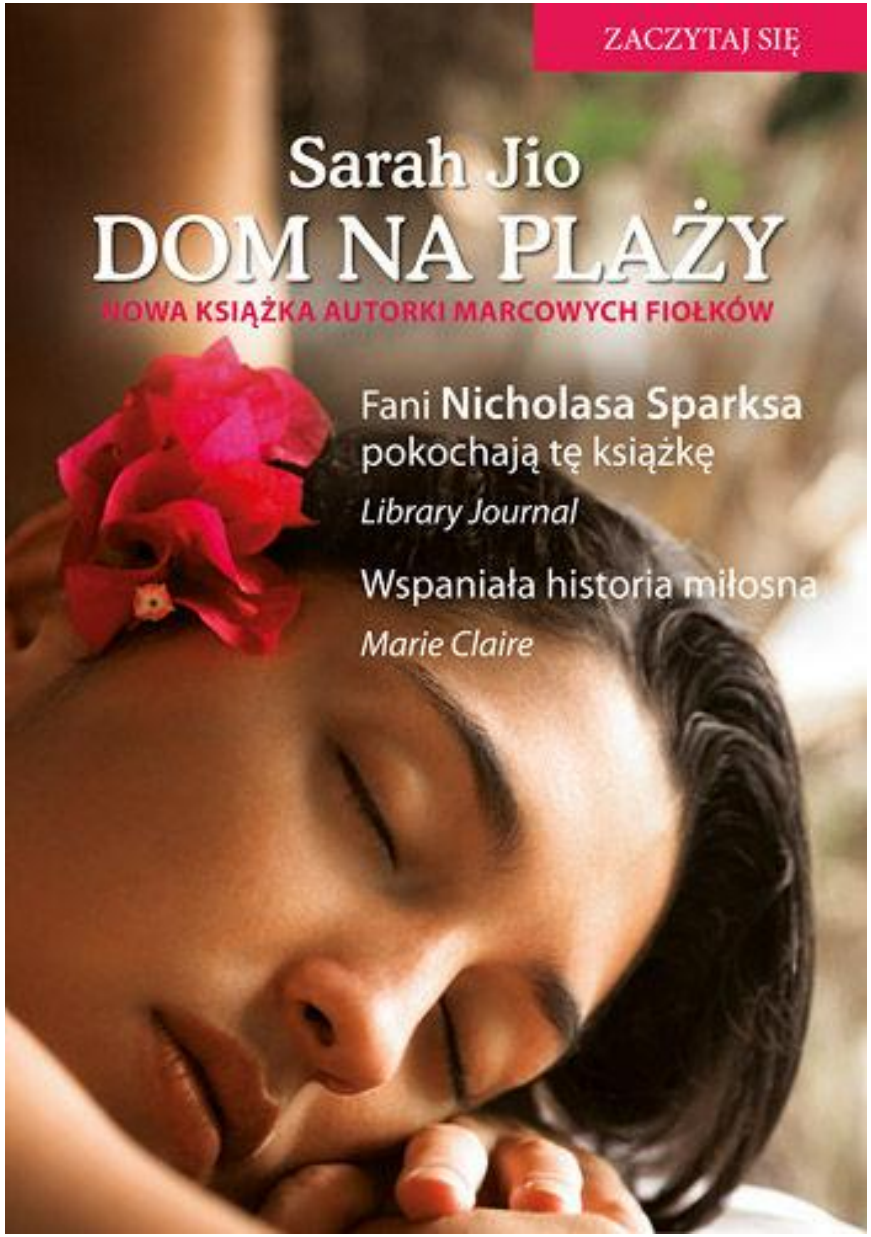
ZACZYTAJ SIĘ
Sarah Jio
DOM NA PLAŻY
NOWA KSIĄŻKA AUTORKI MARCOWYCH FIOŁKÓW
Fani Nicholasa Sparksa pokochają tę książkę
Library Journal
Wspaniała historia miłosna
Marie Claire

Jio Sarah

Dom na plaży

Nigdy nie ignoruj tego, co dyktuje ci serce.
Nawet jeśli podążanie za jego głosem będzie bardzo trudne.

W życiu Anne wszystko było zaplanowane. Wystawne przyjęcia, ślub z mężczyzną, którego zna od wielu lat, kariera idealnej pani domu.
Wszystkie te plany niszczy jedna decyzja, podjęta pod wpływem impulsu.
Anne chce poznać smak prawdziwego życia, z dala od rodzinnego domu.
Dlatego zgłasza się do oddziału pielęgniarek stacjonujących na Bora-Bora.
Tam, wśród pięknie kwitnących krzewów hibiskusa i bezkresu turkusowego oceanu narodzi się przyjaźń między nią a tajemniczym żołnierzem Westrym.
Czy przyjaźń jest dobrym początkiem miłości?
Czy związek ma szanse przetrwać, gdy piękna wyspa przestanie być rajem?

Włóż kawałek papieru do pierwszej lepszej koperty,
zaklej ją i wyślij. List może przejść przez ręce tuzinów
ludzi i przebyć tysiące kilometrów, zanim trafi do właściwej skrzynki pocztowej,
gdzie zalegnie niepozornie między dwudziestą dziewiątą
a trzydziestą stroną jakiegoś niechcianego katalogu
i będzie czekał na niczego niepodejrzewającego odbiorcę,
który lekceważącym ruchem ręki wrzuci katalog wraz ze znajdującym się
w środku skarbem do kosza na śmieci. Ta mogąca zmienić czyjeś życie
przesyłka będzie czekać cierpliwie obok niedokładnie wypłukanych kartonów po mleku,
pustej butelki wina i wczorajszej gazety.
Ten list był do mnie.

PROLOG

Jesteś tu? Otworzyłam oczy na dźwięk znajomego głosu - był miły, ale mnie zaskoczył. Tak, Jennifer, moja wnuczka. Ale gdzie ja jestem? A właściwie: dlaczego ona tu jest? Zamrugałam kilka razy powiekami zdezorientowana. Śniły mi się piaszczyste plaże i palmy kokosowe, miejsce, które moja podświadomość ciągle próbuje odwiedzić. Tym razem jednak udało mi się odnaleźć je w archiwach pamięci.

Oczywiście był tam - miał na sobie mundur i uśmiechał się do mnie nieśmiało. Fale biły o brzeg, słyszałam ich łoskot, a potem szmer niezliczonych bąbelków powietrza muskających piasek.

Zacisnąwszy mocniej powieki, znów go odnalazłam: stał we mgle snu, która podnosiła się zbyt szybko. „Nie odchodź", błagałam w głębi serca. „Zostań. Proszę, zostań". Posłusznie pojawił się raz jeszcze, przywołując mnie uśmiechem i wyciągając do mnie ramiona. Poczułam znajome drżenie serca, tęsknotę. Wtedy zniknął w mgnieniu oka.

Westchnęłam i zerknęłam na zegarek, besztając w myślach samą siebie. Wpół do czwartej. Musiałam zasnąć nad książką. Znowu. Niespodziewane ataki senności to zmora starych ludzi. Nieco zawstydzona, wyprostowałam się w leżaku i sięgnęłam po książkę, którą czytałam, zanim zmogło mnie zmęczenie.

Wypadła mi z dłoni i leżała grzbietem do góry, a jej zlekceważone kartki się pozaginały.
Jennifer weszła na taras. Przejechała ciężarówka, co dodatkowo zakłóciło spokój.
- Ach, tu jesteś - powiedziała Jennifer, uśmiechając się do mnie z serdecznym wyrazem oczu o kolorze przydymionego brązu, który odziedziczyła po dziadku. Była ubrana w dżinsy i czarny sweter z zielonym paskiem dookoła szczupłej talii. Jej sięgające podbródka jasne włosy lśniły w słońcu. Jennifer nie miała pojęcia, jaka jest piękna.
- Cześć, kochanie - wyciągnęłam do niej rękę. Rozejrzałam się po ustawionych na tarasie prostych terakotowych donicach z bladoniebieskimi bratkami. Były ładne, wychylały główki z ziemi jak nieśmiałe, skruszone dzieci, które przyłapano na zabawie w błocie. Widoczna w oddali panorama jeziora Washington i Seattle była co prawda piękna, ale zimna i nieprzyjazna jak obraz w poczekalni u dentysty. Zmarszczyłam brwi. Jak doszło do tego, że mieszkam w tym maleńkim mieszkaniu z gołymi białymi ścianami, telefonem w łazience i czerwonym przyciskiem alarmowym przy muszli klozetowej?
- Znalazłam coś w koszu na śmieci - głos Jennifer wyrwał mnie z zamyślenia.
Przygładziłam siwe rzadkie włosy.
- Co takiego, kochanie?
- List - odparła. - Pewnie zgubił się między ulotkami. Spróbowałam stłumić ziewnięcie, ale mi się nie udało.
- Zostaw go po prostu na stole. Spojrzę na niego później. Weszłam do środka i usiadłam na kanapie, przenosząc wzrok
na swoje odbicie w oknie. Stara kobieta. Oglądałam ją codziennie, ale jej widok zawsze mnie zaskakiwał. Kiedy nią zostałam? Przesunęłam dłońmi po własnej pomarszczonej twarzy. Jennifer usiadła obok.
- Miałaś lepszy dzień niż ja? - Była na ostatnim roku studiów na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Wybrała nietypowy

temat artykułu na zajęcia: mało znane dzieło sztuki wystawione na kampusie. Anonimowy artysta przekazał je uczelni w 1964 roku. Posążek z brązu przedstawiał parę młodych ludzi, a na tabliczce napisane było tylko: „Duma i obietnice". Oczarowana rzeźbą Jennifer miała nadzieję, że uda się jej stworzyć szkic biograficzny twórcy i opisać historię, która stanowiła inspirację dla jego pracy, ale ciągnące się przez pół semestru badania nie były zbyt owocne.
- Udało ci się dzisiaj coś znaleźć, kochanie?
- Guzik - odparła, marszcząc czoło. - To frustrujące. Włożyłam tyle wysiłku w znalezienie jakiejś odpowiedzi. - Pokręciła głową i wzruszyła ramionami. - Niezbyt mam ochotę to przyznać, ale chyba zgubiłam trop.
Sztuka czasem nie daje spokoju; znam to uczucie. Jennifer tego nie wiedziała, ale większość życia spędziłam na próżnych poszukiwaniach obrazu, który trzymałam w rękach bardzo dawno temu. Bardzo chciałam zobaczyć go raz jeszcze, jednak długie lata współpracy z handlarzami i kolekcjonerami dzieł sztuki nic nie dały.
- Wiem, że trudno odpuścić, skarbie - powiedziałam łagodnie, wiedząc, jakie to dla niej ważne. Wzięłam ją za rękę. - Niektóre historie mają pozostać nieopowiedziane.
- Może masz rację, babciu - westchnęła Jennifer, kiwając głową. - Ale ja nie jestem gotowa na to, żeby odpuścić. Jeszcze nie. Ten napis na tabliczce... wszystko to musi coś znaczyć. A szkatułka, którą trzyma wyrzeźbiony mężczyzna, jest zamknięta, archiwiści nie mają żadnych zapisów o kluczu, więc... -urwała i uśmiechnęła się z nadzieją - może coś jest w środku.
- No cóż, podziwiam twojego ducha, kochanie - powiedziałam. Chwyciłam zawieszony na złotym łańcuszku medalion, nad którym trzymam pieczę od tylu już lat. Tylko jedna osoba wie, co chroni jego zapięcie.
Jennifer wróciła do stołu.

- Nie zapomnij tylko o liście - podniosła kopertę. - Popatrz na ten śliczny znaczek. Jest z... Tahiti!
Z bijącym szybciej sercem podniosłam głowę, wysilając oczy, aby dojrzeć list.
- Babciu, kogóż ty znasz na Tahiti?
- Pokaż mi go - powiedziałam, podchodząc bliżej.
Przyjrzałam się prostej białej kopercie: była wilgotna od kartonu po mleku i usiana czerwonymi kropkami wczorajszego wina. Nie, nie rozpoznałam ani charakteru pisma, ani adresu zwrotnego. Kto mógłby pisać do mnie z Tahiti? I dlaczego? Dlaczego teraz?
- Nie otworzysz? - Jennifer nie odstępowała mnie ani na krok pełna wyczekiwania.
Ręce trzęsły mi się nieco, kiedy obróciłam kopertę kilka razy i przesunęłam palcami po egzotycznym znaczku z podobizną Tahitanki w żółtej sukience. Przełknęłam z trudem ślinę, próbując stłamsić napływ wspomnień, który wzbierał we mnie jak rzeka podczas powodzi, ale zwykłe myślowe zapory nie mogły go powstrzymać.
Nie potrafiłam się dłużej oprzeć. Rozerwałam kopertę szybkim ruchem.
Szanowna Pani Godfrey,
przepraszam, że Panią niepokoję. Odnalezienie Pani zajęło mi wiele lat. O ile mi wiadomo, podczas wojny była Pani pielęgniarką i stacjonowała na Bora-Bora. Jeśli mam rację, jeśli faktycznie to Pani szukam, muszę z Panią pilnie porozmawiać. Wychowałam się na Tahiti, ale wróciłam tutaj dopiero teraz, pragnąc znaleźć rozwiązanie tajemnicy, która dręczy mnie od dzieciństwa. Pewnego wieczora w 1943 roku na cichej plaży na Bora-Bora doszło do straszliwego morderstwa. Ta tragedia nie daje mi spokoju, do tego stopnia, że zaczęłam pisać książkę o wydarzeniach poprzedzających ów incydent, który pod wieloma względami zmienił wyspę na zawsze.

Udało mi się odnaleźć rejestry oddziału stacjonującego na wyspie i zauważyłam, że w tym dniu, w dniu tragedii, była Pani na przepustce. Czy tamtego wieczora nie widziała Pani przypadkiem czegoś lub kogoś na plaży? Minęło tyle lat, ale może coś się Pani przypomni. Nawet najmniejszy szczegół może pomóc mi w dążeniu do sprawiedliwości. Modlę się, aby rozważyła Pani moje pytanie i skontaktowała się ze mną. Ponadto jeśli planuje Pani jeszcze kiedyś odwiedzić wyspę, znalazłam tu coś, co należy do Pani i co być może chciałaby Pani znów zobaczyć. Bardzo pragnę to Pani pokazać.
Z wyrazami szacunku
Genevieve Thorpe
Nie odrywałam wzroku od listu. Genevieve Thorpe. Nie, nie znałam tej kobiety. To nieznajoma. A jednak pojawiła się, a wraz z nią zamieszanie. Pokręciłam głową. Zignoruję to. Minęło zbyt wiele lat. Jak mogłabym wrócić do tamtych dni? Jak mogłabym przeżyć to na nowo? Zamknęłam mocno oczy, odpychając od siebie wspomnienia. Tak, mogłabym to po prostu zlekceważyć. List nie był częścią dochodzenia ani śledztwa. Nie jestem tej kobiecie, tej nieznajomej, nic winna. Mogłabym wrzucić kopertę do śmieci i na tym zakończyć. Wtedy przypomniałam sobie jednak kilka ostatnich linijek listu. „Jeśli planuje Pani jeszcze kiedyś odwiedzić wyspę, znalazłam tu coś, co należy do Pani i co być może chciałaby Pani znów zobaczyć". Na myśl o tym moje serce, już słabe, zaczęło bić mocniej. Znów odwiedzić wyspę? Ja? W moim wieku?
- Babciu, wszystko w porządku? - Jennifer nachyliła się i objęła mnie ramieniem.
- Tak - odparłam, powściągając nerwy.
- Chcesz o tym porozmawiać?
Pokręciłam głową i wsunęłam list do zbioru krzyżówek leżącego na stoliku.

Jennifer sięgnęła po torbę i zaczęła w niej grzebać. Wyłowiła sporą, podniszczoną brązową kopertę.
- Chcę ci coś pokazać - oznajmiła. - Chciałam z tym poczekać, ale... - nabrała głęboko tchu - chyba to odpowiednia chwila.
Podała mi kopertę.
- Co to?
- Zajrzyj do środka - powiedziała.
Uniosłam skrzydełko i wyciągnęłam stosik czarno-białych fotografii. Od razu rozpoznałam tę, która leżała na wierzchu.
- To ja! - Wskazałam młodą kobietę w białym stroju pielęgniarki. Za nią, w oddali, widać było palmę kokosową. Och, jak dziwiłam się palmom w dniu, kiedy przybyłam na wyspę - prawie siedemdziesiąt lat wcześniej. Podniosłam wzrok na Jennifer.
- Gdzie je znalazłaś?
- Tata je znalazł - odparła, przyglądając mi się uważnie. -Przeglądał różne stare pudła i zdjęcia były upchnięte w jednym z nich. Poprosił, żebym ci je zwróciła.
Zaparło mi dech z wyczekiwania. Następne zdjęcie przedstawiało Kitty, moją przyjaciółkę z dzieciństwa: siedziała na plaży na odwróconym do góry dnem kajaku, z nogami ułożonymi tak, jakby była gwiazdą filmową. Kitty mogła zostać gwiazdą filmową. Na myśl o dawnej przyjaciółce poczułam znajomy ból, którego nie uleczył czas.
Zdjęć było jeszcze kilka; większość przedstawiała plażę, góry porośnięte bujną roślinnością, ale kiedy dotarłam do ostatniego, zamarłam. Westry. Mój Westry. Oto on - z rozpiętym górnym guzikiem munduru i głową przechyloną lekko na prawo. W tle rysowała się ściana bungalowu, wypleciona z liści palmowych. Nasz bungalow. Zrobiłam w życiu chyba tysiące zdjęć, i tak wiele z nich popadło w zapomnienie, ale nie to. Pamiętałam wszystko, co towarzyszyło tamtemu trzaskowi migawki, woń powietrza tamtego wieczora - pachniało morzem i frezjami kwitnącymi w świetle księżyca.
Przypominałam sobie też, co

czułam, kiedy nasze oczy spotkały się za pośrednictwem obiektywu... a także to, co wydarzyło się chwilę później.
- Kochałaś go, prawda, babciu? - Głos Jennifer był tak czuły, tak rozbrajający, że moja determinacja osłabła.
- Tak - odparłam.
- Myślisz o nim do dziś? Kiwnęłam głową.
- Tak. Nigdy nie przestałam o nim myśleć. Jennifer wybałuszyła oczy.
- Babciu, co wydarzyło się na Tahiti? Co przytrafiło się temu człowiekowi? A ten list... dlaczego zrobił na tobie takie wrażenie? - Wzięła mnie za rękę. - Proszę, opowiedz mi.
Znów przytaknęłam. Cóż zaszkodzi, jeśli jej powiem? Byłam starą kobietą. Nie mogło to już wywołać żadnych konsekwencji, a nawet jeśli miałoby się tak stać, zniosłabym je. Tak bardzo chciałam uwolnić te tajemnice, wypuścić je jak nietoperze z zakurzonego strychu. Przesunęłam palcem po złotym łańcuszku, na którym wisiał mój medalion, i skinęłam głową raz jeszcze.
- No dobrze, kochanie - powiedziałam. - Ale ostrzegam, nie spodziewaj się bajki.
Jennifer usiadła na krześle przy mnie.
- Dobrze - uśmiechnęła się. - Nigdy nie lubiłam bajek.
- Będą też mroczne momenty - dodałam wciąż niepewna, czy dobrze robię.
- Czy zakończenie będzie szczęśliwe?
- Nie jestem pewna.
Jennifer rzuciła mi nierozumiejące spojrzenie. Podniosłam zdjęcie Westryego do światła.
- Ta opowieść jeszcze się nie skończyła.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SIERPIEŃ 1942

Kitty Morgan, nie wierzę, że to powiedziałaś! - Odstawiłam pucharek z mrożoną herbatą miętową ruchem dość mocnym, żeby go stłuc. Matka ucieszy się na wieść, że nie naruszyłam jej zastawy z weneckiego kryształu.
- Nie inaczej - odparła ze zwycięskim uśmieszkiem. Trudno było gniewać się na Kitty z jej buzią w kształcie serca i burzą nieujarzmionych blond loczków uciekających ze wsuwek, które upinała tak starannie. Jednak w tej kwestii nie miałam zamiaru ustąpić.
- Pan Gelfman jest żonaty! - Nasyciłam głos całą dezaprobatą, na jaką było mnie stać.
- James - odpowiedziała, przeciągając jego imię dla efektu - jest straszliwie nieszczęśliwy. Wiesz, że jego żona znika na całe tygodnie? Nie mówi mu nawet, dokąd jedzie. Bardziej dba o ich koty niż o niego.
Westchnęłam i odchyliłam się na oparcie drewnianej huśtawki, zawieszonej na konarze potężnego orzechowca w ogrodzie za domem moich rodziców. Kitty usiadła przy mnie, tak jak robiła to w podstawówce. Spojrzałam w górę na drzewo: jego liście zaczęły zabarwiać się na żółto, co zapowiadało nadejście jesieni.

Dlaczego wszystko musi się zmieniać? Miałam wrażenie, że nie dalej jak wczoraj wracałyśmy pod rękę ze szkoły, odkładałyśmy książki na stół kuchenny i pędziłyśmy na huśtawkę, gdzie opowiadałyśmy sobie sekrety aż do kolacji. Teraz, kiedy miałyśmy po dwadzieścia jeden lat, byłyśmy dorosłymi kobietami na granicy... czegoś - żadna z nas nie potrafiła przewidzieć czego.
- Kitty - odwróciłam się w jej stronę. - Nie rozumiesz?
- Czego? - Wyglądała jak płatek róży w sukience kipiącej od różowych falban, z tymi dzikimi lokami, które w wilgoci późnego popołudnia jeszcze bardziej wymykały się spod kontroli. Chciałam ochronić ją przed panem Gelfmanem i przed każdym mężczyzną, w którym miała zamiar się zakochać, ponieważ nikt nie był dość dobry dla mojej najlepszej przyjaciółki - a na pewno nikt żonaty.
Odchrząknęłam. Czy nie słyszała o reputacji pana Gelf-mana? Z pewnością pamiętała całe hordy licealistek, które się przed nim popisywały; był najprzystojniejszym nauczycielem w całym Lakeside. Każda uczennica na zajęciach z literatury angielskiej miała nadzieję, że spojrzy właśnie na nią, kiedy będzie recytował *How Doi Love Thee* Elizabeth Barrett Browning. Twierdziłam, że wszystko to były dziewczyńskie zabawy. Ale czyżby Kitty zapomniała o incydencie z Kathleen Mansfield sprzed pięciu lat? Jak mogła zapomnieć? Nieśmiała, biuściasta, okropnie tępa Kathleen zaczęła się podkochiwać w panu Gelf-manie. Podczas przerwy obiadowej wystawała pod pokojem nauczycielskim, czekała na niego po szkole. Wszyscy zastanawiali się, co ich łączy, szczególnie po tym jak jedna z naszych koleżanek dojrzała ich w parku po zmroku. Potem Kathleen niespodziewanie przestała przychodzić do szkoły. Jej starszy brat powiedział, że przeprowadziła się do babci, do stanu Iowa. Wszystkie znałyśmy powód.
Skrzyżowałam ramiona na piersi.
- Kitty, mężczyźni pokroju pana Gelfmana myślą tylko o jednym, i sądzę, że obie wiemy, o czym.

Kitty oblała się rumieńcem.
- Anne Calloway! Jak śmiesz sugerować, że James nie byłby...
- Ja nic nie sugeruję - odparłam. - Po prostu kocham cię, jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nie chcę, żeby ktoś cię zranił
Huśtałyśmy się przez kilka chwil w milczeniu. Spochmur-niała Kitty machała nogami. Sięgnęłam do kieszeni sukienki i ukradkiem ścisnęłam palcami tkwiący w niej list. Wcześniej tego dnia odebrałam go z poczty i nie mogłam się doczekać, zeby wymknąć się do sypialni i go przeczytać. Napisała go Norah koleżanka ze szkoły pielęgniarskiej, która co tydzień zdawała mi relację z wysp południowego Pacyfiku, gdzie odbywała służbę. Była równie wybuchowa jak Kitty i podczas naszego ostatmego wspólnego semestru w szkole pokłóciły się, więc nie wspominałam przyjaciółce o jej listach. Poza tym nie mogłam zdradzić się przed nią z tym, jak bardzo byłam urzeczona opowieściami Norah o wojnie i tropikach. Czytało się je jak powieść, do tego stopnia, że czasami marzyłam, aby wziąć swój swiezo zdobyty dyplom pielęgniarki i dołączyć do niej, uciec od domu i decyzji, które mnie czekały. Wiedziałam jednak, że to tylko fantazja. Przecież mogłam włączyć się do akcji pomocy na miejscu, zgłaszając się na ochotniczkę w urzędzie miasta, zbierając puszki albo pomagając przy ochronie przyrody. Pokręciłam głową na myśl o wyjeździe na wojnę w tropiki na kilka tygodni przed własnym ślubem. Westchnęłam zadowolona, ze nie wspominałam o tym ani słowem przy Kitty.
- Jesteś zwyczajnie zazdrosna - powiedziała w końcu Kitty zarozumiałym tonem.
- Bzdury - odcięłam się, wpychając list Norah głębiej do kieszeni. Promienie słońca zawieszonego wysoko na letnim niebie odbiły się od diamentowego pierścionka na mojej lewej dłoni, az zalśnił żywym blaskiem jak latarnia ciemną nocą, przypominając mi, że jestem zaręczona. Kupiona i opłacona. - Wychodzę za Gerarda za niecały miesiąc i tryskam szczęściem.
Kitty zmarszczyła czoło.

- Nie chcesz zrobić w życiu czegoś innego, zanim... - urwała, jakby jej następne słowa miały być bardzo trudne i nieprzyjemne do wymówienia - zanim staniesz się panią Gerardową Godfrey?
Pokręciłam głową.
- Moja droga, małżeństwo to nie samobójstwo.
Kitty odwróciła się ode mnie i wlepiła wzrok w krzak róży.
- Równie dobrze mogłoby nim być - mruknęła pod nosem. Westchnęłam, rozsiadając się na huśtawce.
- Przepraszam - szepnęła, na powrót patrząc na mnie. - Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa.
Dotknęłam jej ręki.
- Ależ będę, Kitty. Szkoda, że tego nie dostrzegasz.
Usłyszałam kroki i zobaczyłam, że nadchodzi nasza gospodyni Maxine. Mimo wysokich obcasów sunęła pewnie po trawniku, podtrzymując jedną ręką wyładowaną srebrną tacę. Papa nazwał ją kiedyś „pełną gracji" i faktycznie: niemal płynęła.
- Czy czegoś wam trzeba, dziewczęta? - zapytała Maxine. Miała piękny głos i silny akcent. Od mojego dzieciństwa zmieniła się niewiele: była drobna, miała miękkie rysy, wielkie, skrzące się zielone oczy i policzki pachnące wanilią. Siwiejące już lekko włosy spinała w schludny kok, z którego nigdy nie wymykał się ani jeden kosmyk. Jej biały fartuch był zawsze czysty i wykrochmalony do nienagannej sztywności, ciasno zawiązany dookoła smukłej talii. Wiele rodzin w okolicy miało służbę, ale tylko u nas pracowała francuska gospodyni, co matka zawsze podkreślała podczas spotkań brydżowych.
- Nie, Maxine, dziękuję - powiedziałam, biorąc ją pod ramię.
- Jest jedna sprawa - odezwała się Kitty konspiracyjnym szeptem. - Możesz przekonać Anne, żeby nie wychodziła za Gerarda. Nie kocha go.
- Czy to prawda, Antoinette? - zapytała Maxine. Miałam pięć lat, kiedy zaczęła u nas pracę; rzuciła na mnie okiem

i stwierdziła stanowczo: „Twoja buzia nie pasuje do imienia Anne. Będę cię nazywać Antoinette".
Poczułam się wtedy bardzo elegancko.
- Oczywiście, że nie - odparłam szybko. - Kitty jest po prostu nie w humorze - rzuciłam przyjaciółce ukradkowe, pełne przygany spojrzenie. - Jestem najszczęśliwszą dziewczyną w Seattle. Wychodzę za Gerarda Godfreya.
Naprawdę miałam szczęście. Gerard-był wysoki i niemożliwie przystojny: miał mocno zarysowaną żuchwę i ciemnobrązowe włosy oraz oczy. Był też dość zamożny, choć to nie miało dla mnie znaczenia. Matka natomiast często przypominała mi, że jako dwudziestosiedmiolatkowi przypada mu zaszczyt bycia najmłodszym wiceprezesem banku First Marinę - oznaczało to, że kiedy przejmie stanowisko ojca, odziedziczy fortunę. Tylko niemądra kobieta odrzuciłaby oświadczyny Gerarda Godfreya i kiedy pod tym właśnie orzechowcem poprosił mnie o rękę, skinęłam głową bez wahania. Na wieść o tym matka nie posiadała się z radości. Oczywiście planowała to z panią Godfrey od mojego dzieciństwa. Nasze rody miało połączyć małżeństwo: pasowały do siebie jak kawa do śmietanki.
Maxine ponownie napełniła nasze puchary mrożoną herbatą z dzbanka.
- Antoinette - odezwała się powoli - czy opowiadałam ci kiedyś historię mojej siostry Jeanette?
- Nie, nie wiedziałam nawet, że masz siostrę. - Zdałam sobie sprawę, że niewiele wiem o Maxine.
- Tak - powiedziała cicho, w zamyśleniu. - Zakochała się w prostym chłopcu, rolniku z Lyonu. Kochali się do szaleństwa. Ale nasi rodzice pchnęli ją w stronę innego mężczyzny, który zarabiał przyzwoite pieniądze w fabryce. Rozstała się więc ze swoim chłopcem i wyszła za robotnika.
- To okropne. Czy jeszcze kiedyś go spotkała?
- Nie - odparła Maxine. - I była nieszczęśliwa.

Wyprostowałam się i przygładziłam sukienkę z niebieskiej krepy; miała w talii delikatny pasek i była odrobinkę za ciasna. Matka przywiozła mi ją z jednej ze swoich europejskich wycieczek po zakupy. Miała zwyczaj kupowania mi ubrań, które były na mnie za małe.
- No cóż, to bardzo smutne, i przykro mi ze względu na Jeanette. Ale to ma się nijak do mojego życia. Widzisz, ja kocham Gerarda. Nie ma dla mnie nikogo innego.
- Oczywiście, że kochasz Gerarda - rzekła Maxine, schylając się po serwetkę, która spadła na trawę. - Dorastałaś z nim. Jest dla ciebie jak brat.
Brat. Słowo to miało przedziwny wydźwięk, szczególnie w odniesieniu do człowieka, za którego miałam wyjść. Przebiegł mnie dreszcz.
- Kochanie - ciągnęła Maxine, patrząc mi w oczy z uśmiechem - chodzi o twoje życie i serce. Mówisz, że nie ma dla ciebie nikogo innego, i to może być prawdą. Mam na myśli tylko to, że może nie dałaś sobie dość czasu na znalezienie go.
- Kogo?
- Tego, kto jest ci pisany - powiedziała z prostotą. Naturalny i rzeczowy ton, jakim wypowiedziała te kilka słów, sugerował, że tak głębokie uczucie może zdobyć każdy, kto go poszuka, że jest ono jak kołysząca się na gałęzi dojrzała śliwka, którą wystarczy tylko zerwać.
Poczułam chłód, który zrzuciłam na karb wiatru, i pokręciłam głową.
- Nie wierzę w bajki ani rycerzy na białych koniach. Sądzę, że miłość jest wyborem. Spotykasz kogoś. Lubisz go. Postanawiasz, że go pokochasz. To proste.
Kitty wywróciła oczami.
- Jakie to strasznie nieromantyczne - jęknęła.
- Maxine, a ty? - zapytałam. - Byłaś kiedykolwiek zakochana? Przesunęła szmatką po skraju tacy, wycierając kręgi, które zostawiły po sobie nasze pucharki.

- Tak - odparła, nie podnosząc wzroku.
Zaślepiona ciekawością, nie wpadłam nawet na to, że wspominanie tego mężczyzny może być dla niej bolesne.
- Był Amerykaninem czy Francuzem? Dlaczego za niego nie wyszłaś?
Maxine nie odpowiedziała od razu. Natychmiast pożałowałam swoich pytań, ale wtedy otworzyła usta.
- Ponieważ był żonaty.
Wszystkie się obejrzałyśmy, kiedy usłyszałyśmy kroki papy na tarasie. Podszedł do nas z cygarem w ręce.
- Cześć, mała - uśmiechnął się do mnie pod gęstym siwym wąsem. - Myślałem, że wracasz dopiero we wtorek. Odwzajemniłam jego uśmiech.
- Kitty namówiła mnie na powrót wcześniejszym pociągiem. Zajęcia na uniwersytecie stanowym Portland skończyłam
wiosną, ale Kitty i ja zostałyśmy na kolejne dwa miesiące szkolenia, żeby uzyskać dyplomy pielęgniarek. Nasi rodzice bardzo martwili się o to, co zrobimy z tymi uprawnieniami. Nie daj Boże, żebyśmy zrobiły z nich użytek. Uczucia Gerarda w kwestii tego, że jego narzeczona jest pielęgniarką, można by było natomiast podsumować jako rozbawienie. Nasze matki i inne znane nam kobiety nie pracowały. Żartował, że koszt wynajęcia szofera, który będzie mnie zawoził do szpitala, przewyższy wszystkie moje zarobki, ale obiecał, że jeśli zechcę założyć biały czepek i zajmować się chorymi, będzie mnie wspierał. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, czego chcę. Wybrałam pielęgniarstwo, ponieważ stanowiło przeciwieństwo wszystkiego, czego nienawidziłam w życiu otaczających mnie kobiet - matki, która zajmowała się wyłącznie eleganckimi lunchami i obowiązującą długością sukienek, oraz koleżanek, które po skończeniu szkoły średniej całymi miesiącami pławiły się w luksusach Paryża lub Wenecji, nie martwiąc się o nic poza tym, żeby znaleźć bogatego męża i spędzić resztę życia na tym samym poziomie.

Nie nie pasowałam do tego modelu. Dusiłam się w jego ograniczeniach. Przemawiało do mnie zaś pielęgniarstwo, ca y jego surowy świat. Mógł on wypełnić część mnie, która leżała odłogiem przez większość mojego życia, część pragnącą niesc pomoc innym w sposób, który nie miał nic wspólnego z pieniędzmi.
Maxine odchrząknęła.
- Właśnie się zbierałam - zwróciła się do papy, podnosząc tacę płynnym ruchem. - Czy mogę coś panu przynieść, panie Calloway?
- Nie Maxine, niczego mi nie trzeba. Dziękuję. - Podobało mi się, jak zwracał się do Maxine: zawsze miło i łagodnie, nie z irytacją i pośpiechem jak matka.
Maxine kiwnęła głową i odeszła szmaragdowym trawnikiem, po czym zniknęła w domu.
Kitty spojrzała na papę zmartwiona.
- Panie Calloway?
- Tak, Kitty?
- Słyszałam o kolejnej grupie mężczyzn wysłanych... - przełknęła ślinę - na wojnę. Czytałam o tym w gazecie w pociągu. Wie pan, czy zaciągnięto kogokolwiek ze Seattle.
-To dopiero pierwsze dni, Kitku - użył przezwiska, które nadał Kitty, kiedy byłyśmy w podstawówce.
- Ale biorąc pod uwagę rozwój sytuacji w Europie, myślę, że bardzo wielu żołnierzy wyjedzie na front. Niedawno wpadłem w mieście na Stephena Radcliffe a i dowiedziałem się, że bliźniacy Larsonow wyruszają w czwartek.
Ścisnęło mnie w piersi.
- Terry i Larry?
Papa skinął głową z powagą.
Bliźniacy, młodsi o rok od Kitty i mnie, jechali na wojnę. Trudno było w to uwierzyć. Czyż nieledwie wczoraj ciągnęli mnie za warkocze na szkolnym podwórku? Policzki nieśmiałego Terryego były usiane piegami. Larry, nieco wyższy i mniej

piegowaty, był urodzonym komikiem. Mieli rude włosy i rzadko się rozstawali. Zaczęłam się zastanawiać, czy będą mogli stać obok siebie na polu bitwy. Zamknęłam oczy, jakby usiłując stłumić tę myśl, ale nie dawała mi spokoju. Pole bitwy. Papa czytał mi w myślach.
- Jeśli myślisz o tym, czy Gerard wyjedzie, nie musisz się martwić - oznajmił.
Gerard był z pewnością równie silny i waleczny jak inni, ale choć próbowałam ze wszystkich sił, nie potrafiłam wyobrazić go sobie nigdzie indziej niż w banku, ubranego w garnitur. A jednak mimo że pragnęłam, aby oszczędzono mu walki, w głębi serca chciałam zobaczyć, jak w mundurze staje po stronie wartości innych niż dolary i centy.
- Pozycja jego rodziny w naszej społeczności jest zbyt znacząca - ciągnął papa. - George Godfrey zadba o to, żeby go nie zaciągnięto.
W moim sercu rozgorzał okropny dylemat: z jednej strony cieszyłam się, że Gerard jest chroniony, ale z drugiej - wzbudzało to moją odrazę. To niesprawiedliwe, że mężczyźni z biednych rodzin muszą walczyć za kraj, a garstka uprzywilejowanych uniknie poboru z błahych powodów. Jasne, George Godfrey, podupadający na zdrowiu magnat finansjery, zajmował kiedyś stanowisko senatora, a Gerard miał przejąć po nim obowiązki w banku. A jednak myśl o tym, że bliźniacy Larso-nów będą walczyć w europejskim bunkrze w środku zimy, podczas gdy Gerard będzie odpoczywał w ogrzewanym biurze na obrotowym fotelu ze skóry, nie dawała mi spokoju.
Papa dostrzegł niepokój w moim spojrzeniu.
- Niech cię to nie trapi. Nie mogę znieść myśli o tym, że się martwisz.
Kitty wlepiła wzrok w swoje splecione na podołku dłonie. Byłam ciekawa, czy myśli o panu Gelfmanie. Czy i on pojedzie na front? Mógł mieć najwyżej trzydzieści osiem lat, z pewnością był na tyle młody, żeby walczyć. Westchnęłam, żałując, że

nie mogę zakończyć wojny siłą woli. Złe wieści o konflikcie wisiały nad nami, spowijając nas i psując nawet najpiękniejsze letnie popołudnie.
- Twoja matka je dziś w mieście - powiedział papa i obejrzał się na dom z niepewnością w oczach, która prawie zdążyła zniknąć, kiedy przeniósł je z powrotem na mnie. - Czy będę miał tego wieczora przyjemność zjedzenia kolacji z wami, drogie panie?
Kitty pokręciła głową.
- Jestem umówiona - odparła wymijająco.
- Przepraszam, papo, jem kolację z Gerardem. Kiwnął głową i nagle zrobił sentymentalną minę.
- Patrzcie państwo, jesteście całkiem dorosłe i macie własne plany. Mam wrażenie, jakbyście ledwie chwilę temu siedziały tutaj, bawiąc się lalkami.
Prawdę mówiąc, tęskniłam za tymi nieskomplikowanymi dniami, kiedy wszystko obracało się wokół papierowych lalek, przebieranek i herbatek na werandzie. Zapięłam sweter, czując na skórze wiatr - wiatr zmian.
- Wejdźmy do środka - powiedziałam, sięgając po dłoń Kitty.
- Dobrze - odparła miłym tonem. I tak po prostu znów stałyśmy się Kitty i Anne.
***
Oczy szczypały mnie od dymu papierosowego, który unosił się nad naszym stołem niczym niska chmura. W klubie Cabana, gdzie w sobotnie wieczory całe Seattle chodziło tańczyć, światła były przyćmione. Zmrużyłam oczy, usiłując się rozejrzeć.
Kitty przesunęła w moją stronę pudełko owinięte w niebieski papier. Zerknęłam na złotą tasiemkę.
- Co to?
- Coś dla ciebie - uśmiechnęła się szeroko.

Spojrzałam ze zdziwieniem najpierw na nią, a potem na paczuszkę, po czym ostrożnie rozwiązałam tasiemkę i odwinęłam papier. Uniosłam wieczko białego pudełka na biżuterię i odsunęłam bawełnianą wyściółkę, odsłaniając lśniący drobiazg leżący w środku.
- Kitty?
- To broszka. Broszka przyjaźni. Pamiętasz te małe pierścionki, które nosiłyśmy w dzieciństwie?
Przytaknęłam niepewna, czy oczy pieką mnie od dymu, czy od przypływu wspomnień z łatwiejszych czasów.
- Przyszło mi do głowy, że potrzebujemy dorosłej wersji -ciągnęła. Odrzuciła z ramienia pasmo włosów, ukazując identyczną broszkę na własnej sukience. - Widzisz? Mam taką samą.
Przyjrzałam się srebrnej błyskotce: była okrągła i usiana maleńkimi niebieskimi kamykami, które układały się w kształt róży. Migotała w przygaszonych światłach klubu. Odwróciłam ją i znalazłam z tyłu wygrawerowane słowa: „Dla kochanej Anne od Kitty".
- Jest przepiękna - powiedziałam, przypinając ją do sukienki.
Kitty wyszczerzyła zęby.
- Mam nadzieję, że będzie symbolem naszej przyjaźni, przypomnieniem dla nas obu, że nigdy nie będziemy mieć przed sobą tajemnic i nie pozwolimy, aby czas ani okoliczności cokolwiek między nami zmieniły.
Skinęłam głową.
- Będę ją nosić codziennie.
- Ja też.
Sącząc napoje, rozglądałyśmy się po tętniącym życiem klubie; nasi przyjaciele, koledzy i znajomi upajali się sobotnim wieczorem, który mógł być ostatnim, zanim to, co na nich czekało, ich porwie. Wojna. Małżeństwo. Nieznane. Przełknęłam z trudem ślinę.

- Popatrz na Ethel z Davidem Bartonem - wyszeptała mi do ucha Kitty. Wskazała parę tulącą się przy barze. - Jego ręce są wszędzie - dodała, obrzucając ich nieco zbyt długim spojrzeniem.
- Powinna się wstydzić - pokręciłam głową. - Jest zaręczona z Henrym. Czy on nie jest dalej na uczelni?
Kitty kiwnęła głową. Jej mina nie odzwierciedlała jednak mojej dezaprobaty.
- Nie chciałabyś, żeby ktoś tak bardzo cię kochał? - zapytała tęsknym tonem.
Zmarszczyłam nos.
- Moja droga, to nie jest miłość.
- Jasne, że tak - oparła podbródek na dłoni. Patrzyłyśmy, jak para wychodzi niespiesznie na parkiet, trzymając się za ręce. -David za nią szaleje.
- Szaleje, pewnie - odparłam. - Ale nie jest w niej zakochany. Kitty wzruszyła ramionami.
- No cóż, łączy ich namiętność.
Wyciągnęłam z torebki puderniczkę i przypudrowałam nos. Gerard miał się wkrótce pojawić.
- Namiętność jest dla głupców - oznajmiłam, zamykając z trzaskiem lusterko.
- Może - odparła. - Ale i tak z nią zaryzykuję.
- Kitty! -Co?
- Nie mów tak. -Jak?
- Jak rozwiązła kobieta.
Kitty zachichotała właśnie w chwili, kiedy do naszego stolika podszedł Gerard. Towarzyszył mu Max, kolega z banku -był niski, miał kręcone włosy, pospolitą, szczerą twarz i podobała mu się Kitty.
- Co cię tak rozśmieszyło, Kitty? - zapytał Gerard przyjaźnie. Kochałam jego czarujący, pewny siebie uśmiech. Gerard górował nad stołem w swoim szarym garniturze i poprawiał

luźną spinkę do mankietu. Max stał na baczność, sapiąc jak owczarek niemiecki i nie odrywając wzroku od Kitty.
- Powiedz mu, Anne - powiedziała psotnie Kitty, rzucając mi wyzwanie.
Odchrząknęłam i uśmiechnęłam się przebiegle.
- A tak, Kitty właśnie wspominała, że, no cóż, że ona i Max stanowią lepszy duet taneczny niż my dwoje, Gerardzie. - Zerknęłam na Kitty zwycięsko. - Uwierzysz?
Gerard wyszczerzył zęby, a oczy Maksa zalśniły.
- Ależ nie możemy jej na to pozwolić, prawda, kochanie? -Spojrzał w stronę parkietu i wyciągnął do mnie rękę. - Zatańczymy?
Muzycy zaczęli grać, a Max poderwał się niezgrabnie, uśmiechając się od ucha do ucha. Biorąc jego dłoń, Kitty wywróciła oczami w moją stronę.
Gerard objął mnie w talii płynnym, eleganckim gestem. Uwielbiałam jego mocny uścisk, jego pewność siebie.
- Gerardzie? - szepnęłam mu do ucha.
- Tak, kochanie? - Tańczył wspaniale: tak precyzyjnie, jak zajmował się finansami. W jego budżecie nigdy nie brakowało ani centa.
- Czy czujesz...? - urwałam, aby zastanowić się, o co tak naprawdę chcę go zapytać. - Czy czujesz do mnie namiętność? - Namiętność? - powtórzył, tłumiąc śmiech. - Ty zabawna istotko. Oczywiście, że tak. - Przytulił mnie nieco mocniej.
- Prawdziwą namiętność? - nie ustępowałam niezadowolona z jego odpowiedzi.
Zatrzymał się i czułym gestem przyciągnął moje dłonie do swoich ust.
- Nie wątpisz chyba w to, że cię kocham? Anne, z pewnością zdążyłaś się już zorientować, że kocham cię bardziej niż wszystko inne na świecie.
Kiwnęłam głową i zamknęłam oczy. Chwilę później piosenka się skończyła, a zaczęła inna, wolniejsza. Przywarłam do

Gerarda tak mocno, że czułam bicie jego serca i byłam pewna, że on czuje rytm mojego. Kołysaliśmy się do smutnej melodii klarnetu, a ja przy każdym kroku wmawiałam sobie, że łączy nas to coś. Oczywiście, że tak. Gerard był we mnie zakochany po uszy, a ja w nim. Jakaż niedorzeczna była ta niepewność. Winiłam Kitty za to, że ją we mnie wzbudziła. Zerknęłam na nią -tańczyła wbrew sobie z Maksem - kiedy na parkiecie pojawił się znikąd pan Gelfman. Podszedł prosto do niej, powiedział coś do Maksa i wziął Kitty w ramiona, a zawiedziony Max czmychnął.
- Co Kitty robi z Jamesem Gelfmanem? - zapytał Gerard, marszcząc brwi.
- Nie podoba mi się to - odparłam, patrząc, jak pan Gelfman wywija nią po sali jak lalką. Obejmował ją zbyt mocno, a jego dłonie były zbyt nisko. Pomyślałam o biednej Kathleen i się wzdrygnęłam.
- Chodźmy stąd - powiedziałam.
- Tak szybko? Nie zjedliśmy jeszcze nawet kolacji.
- Maxine zostawiła kanapki w lodówce - odparłam. - Nie mam już ochoty tańczyć.
- Z powodu Kitty?
Kiwnęłam głową. Wiedziałam, że Kitty nie można już powstrzymać. Dała to jasno do zrozumienia. Ale choćby nie wiem co, nie miałam zamiaru patrzeć, jak moja najlepsza przyjaciółka oddaje serce i godność mężczyźnie, który na nią nie zasługiwał - żonatemu mężczyźnie, który na nią nie zasługiwał. Chodziło jednak o coś więcej, coś, czego mój umysł nie chciał przyznać, choć serce już wiedziało: zazdrościłam Kitty. Chciałam poczuć to co ona. Bałam się, że tak się nigdy nie stanie.
Portier podał mi mój błękitny płaszcz z aksamitu, a ja wsunęłam dłoń w zgięcie ramienia Gerarda. Było mi ciepło. Byłam bezpieczna i chroniona. Powiedziałam sobie w duchu, że mam wielkie szczęście.

Po drodze do domu Gerard chciał porozmawiać o nieruchomościach. Kupimy mieszkanie w mieście czy coś w Windermere, zamożnej dzielnicy, w której spędziliśmy dzieciństwo, blisko rodziców? Mieszkanie byłoby bliżej banku. Gwarzył, jak wesoło byłoby mieszkać przy Piątej Alei. Z drugiej strony na jesieni Buskirkowie będą sprzedawać swój dom, dużą posiadłość w stylu pseudoelżbietańskim z czterema lukarnami od frontu. Moglibyśmy ją kupić i odnowić, dobudować skrzydło dla służby i pokój dla dziecka. Dla dziecka...
Gerard rozprawiał dalej, a mnie nagle zrobiło się ciepło. Zbyt ciepło. Droga przede mną stała się niewyraźna, a latarni ulicznych zrobiło się więcej. „Co mi jest? Dlaczego nie mogę złapać tchu?"
Chwyciłam klamkę, walcząc z zawrotami głowy.
- Wszystko w porządku, kochanie?
- Chyba potrzebuję po prostu świeżego powietrza - odparłam i otworzyłam okno.
Pogłaskał mnie po ramieniu.
- Przepraszam, skarbie, czy ten temat cię przytłacza?
- Trochę - odparłam. - Trzeba będzie podjąć tyle decyzji. Możemy zająć się nimi pojedynczo?
- Naturalnie - odpowiedział. - Koniec rozmów o domach, jak na razie.
Skręcił w Windermere; minęliśmy majestatyczne, podświetlone kolumny znaczące wjazd do dzielnicy. Wewnątrz znajdowała się wypielęgnowana oaza spokoju, gdzie ogrodnicy godzinami przystrzygali trawniki i dbali o klomby, aby nie rósł krzywo ani jeden płatek; guwernantki podobnie zajmowały się dziećmi. Minęliśmy dom rodziców Gerarda, szarą rezydencję przy Gilmore Avenue, a także biały dom Larsonów w stylu kolonialnym z równo przyciętymi żywopłotami z bukszpanu i kamiennymi urnami sprowadzonymi z Włoch. O co mi chodzi? Oto mężczyzna, który mnie kocha, który chce mi dać piękne, wygodne życie, do jakiego byłam przyzwyczajona. Zrugałam samą siebie w myślach.

Gerard zaparkował na podjeździe moich rodziców. Poszliśmy prosto do mrocznej kuchni.
- Maxine pewnie sie położyła - powiedziałam, patrząc na zegar. Wpół do dziesiątej. Maxine zawsze schodziła do swojego pokoju o dziewiątej.
- Masz ochotę na kanapkę? - zaproponowałam.
- Nie, dziękuję - odparł, zerkając na własny zegarek, roleksa. Dostał go ode mnie na dwudzieste piąte urodziny.
Oboje podnieśliśmy wzrok, kiedy usłyszeliśmy kroki.
- Papo? - Zerknęłam za róg. Po pogrążonych w ciemności schodach schodziła kobieca postać.
- Mamo? - Włączyłam światło w holu i zdałam sobie sprawę, że się pomyliłam.
- Twoja matka jeszcze nie wróciła - oznajmiła Maxine. -Właśnie zaniosłam ręczniki do twojej łazienki. Francesca dziś nie przyszła, a chciałam, żebyś miała świeże na rano.
- Och, Maxine - powiedziałam. - Martwisz się o moje ręczniki o tak późnej godzinie? Nie chcę o tym słyszeć. Proszę, odpocznij. Pracujesz zdecydowanie zbyt ciężko.
Kiedy odwróciła się, aby popatrzeć na zegar, wydało mi się, że jej oczy są nieco wilgotne. Płakała czy jest po prostu zmęczona?
- Chyba powiem dobranoc - kiwnęła głową. - O ile czegoś nie potrzebujecie?
- Nie, niczego. Śpij dobrze, Maxine. - Objęłam ją za szyję tak, jak to robiłam w dzieciństwie, wdychając waniliowy zapach jej policzków.
Kiedy odeszła, Gerard pocałował mnie - delikatnie, przelotnie. Dlaczego jego pocałunki nie są dłuższe?
- Robi się późno - powiedział. - Chyba też powinienem się zbierać.
- Musisz? - przyciągnęłam go do siebie, zerkając na kanapę w salonie, mając zupełnie inne zamiary. Dlaczego on musi być taki praktyczny?

- Musimy się wyspać - odparł, kręcąc głową. - Jutro wielki dzień.
- Wielki dzień?
- Przyjęcie - rzucił mi podejrzliwe spojrzenie. - Nie pamiętasz?
Aż do tej chwili faktycznie nie pamiętałam. Rodzice Gerarda mieli wyprawić nam przyjęcie zaręczynowe u siebie, na tym ogromnym trawniku, przyciętym tak nieskazitelnie, że przypominał pole golfowe w klubie papy. Będą muzycy, krokiet, rzeźby z lodu i półmiski małych kanapeczek podawane przez kelnerów w białych rękawiczkach.
- Załóż tylko ładną sukienkę i bądź na miejscu przed drugą - powiedział z uśmiechem.
- Da się zrobić - odparłam, opierając się o framugę.
- Dobranoc, kochanie. - Wyszedł na podjazd. Patrzyłam, jak odjeżdża, aż warkot silnika zniknął w gęstej
ciszy sierpniowej nocy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maxine! Otworzyłam oczy i zamrugałam kilka razy. Choć byłam półprzytomna, próbowałam rozpoznać głos - donośny, ostry, nieco gniewny, ale przede wszystkim pełen rozdrażnienia i frustracji. Matka. Wróciła do domu.

- Mówiłam ci, że Anne założy dziś niebieską sukienkę! Dlaczego nie jest wyprasowana? - Głos rozbrzmiewał już bliżej, tuż zza drzwi mojej sypialni.

Odrzuciłam kołdrę, usiadłam i sięgnęłam po szlafrok, po czym niechętnie położyłam stopy na chłodnej podłodze z twardego drewna. Biedna Maxine. Nie zasługiwała na to, żeby na nią krzyczeć. Po raz kolejny.

Otworzyłam drzwi.

- Mamo - odezwałam się ostrożnie. Wiedziałam, że nie powinnam kwestionować jej decyzji w sprawie mody. Powoli wyszłam do holu. - Tak sobie myślałam, czy nie założyć dziś tej czerwonej. Tej, którą kupiłaś w Paryżu.

Stała kilka kroków dalej, na podeście, i gwałtownie rozsuwała kotary, rzucając Maxine zirytowane spojrzenie.

- Och, dzień dobry, kochanie - uśmiechnęła się i podeszła do mnie. - Nie wiedziałam, że już nie śpisz.

- Wyciągnęła do

mnie ramiona i wzięła moją twarz w dłonie. - Wyglądasz na zmęczoną, skarbie. Byłaś wczoraj do późna w mieście? Z Gerardem? - Zawsze wypowiadała jego imię z ekscytacją, jakby zachwycała się tortem czekoladowym. Nieraz przyszło mi do głowy, że matka sama chciałaby wyjść za Gerarda Godfreya. Pokręciłam głową.
- Nie, wróciłam wcześnie. Wskazała moje podpuchnięte powieki.
- Skąd więc te cienie pod oczami?
- Nie mogłam zasnąć - odparłam.
Maxine podeszła nieśmiało z sukienką na wieszaku.
- Antoinette, czy to ta? Przytaknęłam.
- Mogłabyś przestać tak na nią mówić, Maxine - warknęła matka. - Już nie jest dziewczynką. Jest kobietą i wkrótce bierze ślub. Proszę, używaj jej imienia.
Maxine kiwnęła głową.
- Mamo - pisnęłam, wyciągając rękę do Maxine. - Ja lubię, kiedy mnie tak nazywa.
Matka wzruszyła ramionami. W płatkach jej uszu zawieszone były nowe diamentowe kolczyki.
- No cóż, to chyba właściwie nie ma teraz znaczenia. W przyszłym miesiącu będziesz panią Gerardową Godfrey, a to najważniejsze imię ze wszystkich.
Zaswędziało mnie pod pachami. Wymieniłyśmy z Maxine porozumiewawcze spojrzenia.
- Koniecznie chcesz założyć tę czerwoną sukienkę, kochanie? - ciągnęła matka, przechylając głowę. Była piękną kobietą, znacznie piękniejszą niż ja. Wiedziałam to od dzieciństwa. -Nie jestem pewna, czy to twój kolor.
Maxine spojrzała mojej matce prosto w oczy, co nie zdarzało się często.
- Myślę, że wygląda w tej sukience wspaniale, pani Callo-way - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.
Matka znów wzruszyła ramionami.

- No dobrze, włóż, co chcesz, ale musimy wychodzić do Godfreyów za dwie godziny. Lepiej zacznij się szykować. - Odeszła już do połowy holu, ale odwróciła się jeszcze raz do Maxine i mnie. - I upnij włosy, kochanie. Twój profil wygląda wtedy znacznie lepiej.
Skinęłam głową. Matka prenumerowała wszystkie magazyny o modzie i co roku jeździła na pokazy do Nowego Jorku i Paryża. Bardzo dbała o wygląd, tak bardzo, jak inne matki nie miały w zwyczaju - tylko sukienki od najlepszych projektantów, idealne fryzury, najmodniejsze dodatki. I po co? Papa ledwie to zauważał. Im więcej gromadziła ubrań, na tym nieszczęśliwszą wyglądała.
Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, wywróciłam oczami w stronę Maxine.
- Ależ ona jest nie w humorze, prawda?
Maxine podała mi sukienkę. Wyraz jej oczu mówił mi, że wciąż boli ją pogardliwy ton matki.
Wróciłyśmy do mojego pokoju, a ja zamknęłam drzwi.
Przyłożyłam sukienkę do ciała.
- Jesteś pewna, że będzie na mnie dobrze wyglądać?
- Co cię trapi, Antoinette? - zapytała. Czułam na sobie jej świdrujące spojrzenie: domagało się odpowiedzi, której nie byłam gotowa udzielić.
Wlepiłam wzrok we własne bose stopy na drewnianej podłodze.
- Nie wiem - odparłam z wahaniem. - Martwię się, że wszystko to dzieje się tak szybko.
Maxine pokiwała głową.
- Masz na myśli zaręczyny?
- Tak. Kocham go, naprawdę. To taki dobry człowiek.
- Jest dobrym człowiekiem - potwierdziła z prostotą, dając mi czas na to, żebym mówiła dalej.
Usiadłam na łóżku i oparłam znużoną głowę o wezgłowie.
- Wiem, że nikt nie jest ideałem, i tak dalej - powiedziałam -ale czasem zastanawiam się, czy kochałabym go bardziej, głębiej, gdyby zrobił to, co należy.

Maxine powiesiła sukienkę na drzwiach.
- I walczył na wojnie? Przytaknęłam.
- Po prostu chciałabym, żeby pewne rzeczy wyglądały inaczej... jeśli chodzi o niego, o nas.
- Jakie rzeczy, kochanie?
- Chcę być dumna z niego tak jak inne kobiety, gdy ich mężczyźni jadą na front - ciągnęłam, myśląc o znanych mi parach. - Chcę czuć do niego namiętność. - Zachichotałam nerwowo. - Kitty sądzi, że nie żywimy do siebie wystarczająco mocnej namiętności.
- A żywicie? - zapytała wyczekującym tonem Maxine.
- Nie wiem - odparłam, po czym otrząsnęłam się z tej myśli. - Ależ o tym przynudzam. Jaką jestem okropną narzeczoną, że w ogóle tak mówię. - Pokręciłam głową. - Gerard jest spełnieniem moich marzeń. Mam szczęście, że z nim jestem. Czas, żebym zaczęła grać swoją rolę.
Napotkałam spojrzenie Maxine. Zobaczyłam, że płonie w nim ogień.
- Nie wolno ci tak mówić, Antoinette - oznajmiła, wypowiadając każde słowo tak wyraźnie i stanowczo, jak pozwalał jej mocny akcent. - W życiu, a szczególnie w miłości, nie można odgrywać żadnej roli.
Objęła mnie ramieniem tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem, przyciskając policzek do mojego.
- Bądź sobą. I nigdy nie lekceważ tego, co mówi ci serce, nawet jeśli to boli, nawet jeśli wydaje ci się, że pójście za jego głosem będzie bardzo trudne.
Westchnęłam i wtuliłam twarz w jej bark.
- Maxine, dlaczego mi to mówisz? Dlaczego teraz? Zmusiła się do uśmiechu, choć jej twarz emanowała żalem.
- Ponieważ ja nie poszłam za głosem serca. A szkoda.

Wygląd matki Gerarda Grace Godfrey onieśmielał. Jej ciemne oczy i ostre rysy - dzięki którym Gerard był tak przystojny - na kobiecej twarzy robiły wrażenie niepokojących, mało harmonijnych. Jednak kiedy się uśmiechała, te linie łagodniały. Jako dziecko często żałowałam, że moja matka nie jest do niej bardziej podobna: praktyczna i konkretna, mimo swojego bogactwa i pozycji. W czasach kiedy kobiety z jej klasy zrzucały wychowanie dzieci na służbę, pani Godfrey tego nie zrobiła. Jeśli któryś z jej synów otarł sobie kolano, odprawiała nianię i biegła sama je opatrzyć i delikatnie ucałować zranione dziecko.
- Nie pojmuję, dlaczego Grace Godfrey nie pozwala swojej niani robić tego, co do niej należy - w podstawówce podsłuchałam, jak matka skarży się papie.
I faktycznie: kiedy tego popołudnia moi rodzice i ja szliśmy po trawniku Godfreyów, Grace pomagała kelnerom przenieść z tarasu na stół rzeźbę z lodu, ogromną kaczkę z trzema ciągnącymi za nią niepewnie kacząt kami.
- Pozwól, że ci z tym pomogę! - zawołał zza moich pleców papa.
- Grace, bądź ostrożna - przyłączyła się matka. - Nadwerężysz plecy.
Pani Godfrey puściła kaczkę, która wyglądała, jakby zaraz miała się rozpaść, właśnie w chwili, kiedy papa rzucił się do pomocy.
- Dziękuję - powiedziała i odwróciła się do matki. - Witajcie, Luellen, Anne. Czyż to nie cudowny dzień na przyjęcie?
- Tak - odparłam, zerkając na błękitne niebo, na którym widniał samotny biały obłok. Rozległy trawnik był usiany stołami, a w każdym z wazonów na liliowych obrusach tkwiło pięć fioletowych hortensji. - To... - przypływ uczuć na widok tej demonstracji miłości dla mnie, dla Gerarda, dla naszego zbliżającego się małżeństwa, na chwilę odebrał mi głos. - Wszystko to takie piękne.
- Cieszę się, że ci się podoba - pani Godfrey objęła mnie silnym ramieniem. - Gerard czeka na ciebie na tarasie, kochanie.

Widziałam z daleka, że leży wyciągnięty na szezlongu i wraz z ojcem pali cygaro. Był elegancki, przystojny i silny - jakby wyszedł prosto ze stron jednego z magazynów matki. Kiedy mnie zobaczył, wstał pospiesznie i zgasił uroczystego dymka.
- Anne! - zawołał, machając do mnie. - Już do ciebie idę.
Poprawiłam szarfę sukienki, a w głowie rozbrzmiały mi słowa Maxine: „W życiu, a szczególnie w miłości, nie można odgrywać żadnej roli". Wszyscy przecież grają jakąś rolę, czyż nie? Matka. Papa. Kitty też, pod pewnymi względami. Nawet Maxine. Dlaczego ja miałabym zachowywać się inaczej?
Chwilę później poczułam wokół talii ręce Gerarda.
- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - wyszeptał mi do ucha.
Zarumieniłam się.
- Naprawdę tak myślisz?
- Wiem to. Skąd masz tę sukienkę? Wyglądasz zjawiskowo.
- Włożyłam ją dla ciebie. Chciałam, żebyś...
- Zaraz, czy to Ethan Waggoner? - przeniósł wzrok na bramę do ogrodu, którą właśnie przekroczył jakiś mężczyzna i jego żona w bardzo zaawansowanej ciąży. - Przepraszam, że ci przerywam, kochanie, ale to stary kolega z uczelni. Pozwól, że ci go przedstawię.
Popołudnie było tak wypełnione prezentacjami i banalnymi rozmowami, że prawie nie miałam kontaktu z Gerardem poza tym, że czasem pomachał mi z drugiego końca tarasu lub cmoknął przelotnie w policzek. Przyjęć zaręczynowych nie wyprawia się dla zaręczonej pary.
Kiedy zadzwonił dzwonek obwieszczający kolację, rozejrzałam się za Kitty i zdałam sobie sprawę, że nie widziałam jej tego popołudnia. To dziwne; wiedziała o przyjęciu od tygodni. Jej miejsce przy głównym stole obok Gerarda i mnie przez całą kolację pozostało puste. Kiedy muzycy zaczęli grać pierwszy utwór, *Uderzyłaś mi do głowy,* zaczęłam się martwić.

- Gerardzie - szepnęłam mu do ucha, gdy kołysaliśmy się na parkiecie. Miałam wrażenie, że tego ciepłego wieczora wlepia w nas wzrok tysiąc par oczu. Usiłowałam je ignorować. - Kitty się nie pojawiła. Niepokoję się o nią.
- Zapewne się spóźni - odparł bez śladu troski. - Wiesz, jaka ona jest.
To prawda, Kitty często się spóźniała. Ale nie aż pięć godzin, i nie na przyjęcie zaręczynowe swojej najlepszej przyjaciółki. Nie, coś było nie w porządku. Czułam to.
Położyłam głowę na piersi Gerarda, a on powiódł mnie po parkiecie z idealną gracją. Zamknęłam oczy i pozwoliłam mu się prowadzić - tak jak zawsze - ani na chwilę nie przejmując kontroli. Słuchałam słów piosenki.
„Uderzyłaś mi do głowy i powracasz jak piękna melodia..." Czy Gerard uderzył mi do głowy?
- Myślisz dużo o wojnie? O zaciągnięciu się? - szepnęłam. Odsunął się nieco, żeby na mnie spojrzeć.
- Kochanie, jeśli martwisz się o to, czy obejmie mnie pobór, niepotrzebnie. Ojciec już się tym zajął.
Zmarszczyłam czoło.
- Och - urwałam, ostrożnie dobierając słowa. - Ale czy nie martwisz się czasem...
- O co?
Z toku myśli wyrwało mnie to, że kątem oka dostrzegłam jakiś ruch przy wejściu do ogrodu. Ktoś machał ręką, usiłując przyciągnąć moją uwagę. Światła otaczające parkiet utrudniały dojrzenie skraju ogrodu, ale wysiliłam wzrok, żeby rozpoznać tę osobę. Kitty. Stała za bramą. Czy jest zamknięta? Dlaczego Kitty nie wchodzi? Przyłożyła do oczu chusteczkę. Nie, coś się stało.
Piosenka się skończyła i kilka innych par dołączyło do nas na parkiecie. Nachyliłam się blisko do Gerarda i wyszeptałam:
- Miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy przesiedzieli ten taniec?

Rzucił mi pełen zmieszania uśmiech, ale kiwnął głową. Podążyłam za bramę, gdzie Kitty siedziała na chodniku zgarbiona i opierała czoło na kolanach.
- Kitty, co się stało? - Momentalnie zauważyłam makijaż rozmazany na jej policzkach, oczy czerwone od łez.
- Na pewno myślisz, że jestem okropną przyjaciółką - za-szlochała.
Przygładziłam jej włosy, wsuwając zabłąkane kosmyki z powrotem w spinki, choć nic to nie dało. Jeszcze nigdy nie widziałam jej loczków w takim nieładzie.
- Oczywiście, że nie, skarbie. Co się stało? Powiedz mi.
- Anne, tak mi przykro, że cię zawiodłam - pociągnęła nosem. - Z pewnością uważasz mnie za okropną przyjaciółkę. I tak jest. Jestem beznadziejną, niewartą ciebie przyjaciółką. -Kolejne szlochy.
Wyciągnęłam świeżą chusteczkę z kieszonki w fałdzie sukni i podałam ją Kitty.
- Nie jesteś beznadziejną przyjaciółką - oznajmiłam. - Jesteś moją najbliższą przyjaciółką.
Kitty wytarła nos i podniosła na mnie oczy przepełnione straszliwym żalem. Jej spojrzenie wyrażało smutek, to było pewne, ale także cień desperacji. Miałam przed sobą kobietę zdolną do jakiegoś drastycznego posunięcia. Odwróciłam wzrok.
- Przyjechałam kilka godzin temu - powiedziała. - Ale nie mogłam zdobyć się na to, żeby wejść.
- Dlaczego, u licha? Znów wydmuchała nos.
- Bo nie mogę znieść myśli o tym, że mnie opuszczasz.
- Przecież nigdzie się nie wybieram, Kitty.
- Ależ tak - odparła. - Wychodzisz za mąż. Zmieniasz się. Wiem, że powinnam cieszyć się twoim szczęściem, ale nie potrafię przestać myśleć o tym, że cię tracę.
- Och, Kitty - powiedziałam. - Nigdy mnie nie stracisz! Pokiwała głową.

- Ależ tak. I tak musi być. Po prostu jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłam. - Wskazała przyjęcie toczące się po drugiej stronie żywopłotu. - Dlatego właśnie nie mogłam się dziś przyłączyć. Tak mi przykro, Anne.
Chwyciłam ją za rękę i oznajmiłam stanowczo:
- Nie. Nie przepraszaj. - Skrajem sukienki starłam łzę z jej policzka.
- Anne - ciągnęła pozbawionym wyrazu głosem - muszę ci coś powiedzieć.
Puściłam jej rękę.
- Co takiego?
- To ci się rTfe spodoba.
- Powiedz mi tak czy owak. - Przygotowałam się na to, co miałam usłyszeć.
- Podjęłam ważną decyzję... o przyszłości. - Odchrząknęła. - Twoje życie toczy się dalej, więc i moje musi.
- Kitty, co też masz na myśli?
Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić.
- Pamiętasz, jaką złożyłyśmy sobie przysięgę, kiedy zapisywałyśmy się razem do szkoły dla pielęgniarek? - Tak. Obiecałyśmy sobie, że nie skończymy jak nasze matki.
- Otóż to - odparła, patrząc prosto przed siebie. - Mówiłyśmy, że chcemy innego życia, życia, które znaczyłoby coś więcej. Zmarszczyłam brwi. - Kitty, jeśli sugerujesz, że wychodząc za Gerarda, będę...
- Nie - przerwała mi pospiesznie. - Wcale nie to mam na myśli. Po prostu przyszło mi do głowy, że jest coś, co mogę zrobić ze swoim życiem, umiejętnościami... coś bardzo ważnego. Myślę o tym już od dość dawna, od kiedy dotarły do nas pierwsze pogłoski o wojnie, ale dziś wieczorem, Anne, stało się dla mnie jasne, czego muszę się podjąć.
Splotłam mocno dłonie na kolanach.
- Wyjeżdżam - oznajmiła. - Daleko, na południowy Pacyfik. Dołączę do armii jako pielęgniarka, żeby pomóc na froncie.

Byłam dziś w mieście, w ośrodku rejestracji dla ochotników. Anne, oni potrzebują wyszkolonych pielęgniarek. Rozpaczliwie ich potrzebują. To może w końcu byłaby dla mnie szansa, żebym zrobiła coś wartościowego.
Zalała mnie fala uczuć. Pomyślałam o tym, co Norah opowiadała mi w listach - o parnych nocach, kiedy gwiazdy były tak blisko, że prawie można było ich dotknąć, o tym, jak piękne i tajemnicze są wyspy, o strachu przez zniszczeniem i wojną, które czyhały za każdym zakrętem. O mężczyznach. Choć pozwalałam sobie tylko marzyć o tym, jak tam jest, nie miałam pojęcia, że Kitty po cichu planuje tam pojechać.
Kopnęłam kamyk na ulicę.
- Jesteś pewna?
- Tak - odparła cicho. Westchnęłam.
- Posłuchaj - ciągnęła Kitty - ty bierzesz ślub. Wszyscy biorą ślub, idą na uniwersytet albo gdzieś jadą. Nie będę tu siedzieć bezczynnie i patrzeć, jak wszystko się zmienia. Chcę uczestniczyć w tej zmianie.
Tak, w życiu nas obu coś się zmieniało, bez względu na to, czy miałyśmy ochotę w tym brać udział. Im bardziej zbliżałyśmy się do tej zmiany, tym bardziej była bolesna, a teraz, kiedy znalazłyśmy się tuż-tuż, wzbudzała w moim sercu ból, którego nie potrafiłam zlekceważyć.
Kitty mówiła dalej:
- Matka oczywiście jest zrozpaczona, że uciekam na nieucywilizowaną wyspę, gdzie będę zadawać się z dzikusami i mieszkać wśród żołnierzy, ale nie dbam o to. Nie dbam o niczyje zdanie, poza... - jej ton stał się ostrożniejszy - poza twoim.
Ja też nie mogłam znieść myśli o wyjeździe Kitty, ale nie z powodu „dzikusów" czy mężczyzn, choć ci drudzy dosyć mnie martwili. Nie, nie mogłam znieść tego, że Kitty wyjeżdża, umyka na drugi koniec świata... beze mnie.
- Koresponduję z Norah - przyznałam w końcu.

Kitty nie wyglądała na zachwyconą, ale po chwili oczy jej zalśniły.
- Czy ona nie jest teraz na południowym Pacyfiku?
- Tak. Namawia mnie, żebym się zgłosiła. Kitty wyszczerzyła zęby.
- No to traci tylko czas.
- Może nie - powiedziałam cicho.
Pomyślałam o ślubie, który czekał mnie za ledwie kilka tygodni. Wszystkie jego szczegóły przebiegły mi przez myśl jak pojedyncze klatki filmu. Moja suknia z francuskiego jedwabiu. Błękitna podwiązka. Pięciopiętrowy tort pokryty masą cukrową. Koronkowe serwetki. Bukiety dla druhen. Białe piwonie i róże w kolorze lawendy. Przebiegł mnie dreszcz. Jak mogę wyjść za mąż, jeśli Kitty nie będzie u mojego boku?
Wyprostowałam plecy i kiwnęłam głową.
- Jadę z tobą - oznajmiłam rzeczowo. Twarz Kitty rozjaśnił uśmiech.
- Anne! Nie, nie mówisz poważnie. Co ze ślubem? Musiałybyśmy wyjechać w ciągu tygodnia, a misja trwa co najmniej dziewięć miesięcy, może dłużej.
Wzruszyłam ramionami.
- Potrzebują pielęgniarek, czyż nie? - Serce waliło mi z ekscytacji, wyczekiwania, ale i strachu.
Kitty przytaknęła, wciąż pociągając nosem.
- Tak. Ktoś w biurze rekrutacyjnym powiedział, że walki na Pacyfiku stają się coraz intensywniejsze i bardzo trzeba im pielęgniarek.
Uśmiechnęłam się.
- Jaką byłabym przyjaciółką, gdybym pozwoliła ci wyruszyć na przygodę życia beze mnie?
Kitty przytuliła mnie mocno i przesiedziałyśmy na krawężniku całą następną piosenkę, a potem kolejną. Miałam wrażenie, że muzyka dobiegająca z przyjęcia pochodzi z jakiegoś innego świata, i pod pewnymi względami tak było. Przycięty

żywopłot z wawrzynu symbolizował granicę między pewnością i niepewnością.
- Gerard nigdy mi nie wybaczy, że wykradłam mu narzeczoną w przeddzień ślubu.
Pokręciłam głową.
- Bzdury. Nie bierzesz mnie w niewolę. Jadę, ponieważ sama tego chcę.
Obejrzałam się przez ramię na przyjęcie. Wiedziałam, że moja decyzja pociągnie za sobą konsekwencje. Matka wyjdzie z siebie. Papa będzie mi to odradzał. A Gerard... Gerard. Westchnęłam. Będzie mu trudno zaakceptować, że jego narzeczona jedzie na front, podczas gdy on zostaje w wygodnym domu. Wiedziałam też, że będzie mu przykro, i ta myśl dręczyła mnie najbardziej. Nie mogłam jednak teraz o tym myśleć. Jeśli mnie kocha, naprawdę kocha, poczeka - a jeśli nie poczeka, no cóż... wtedy będę się martwić.
Czułam, że z każdą chwilą nabieram determinacji. Musiałam pojechać na wyspy południowego Pacyfiku wraz z Kitty. Dlaczego? Odpowiedź wciąż była niejasna. Jedno było jednak pewne: podczas tej nowej przygody nie będę tylko odgrywać jakiejś roli.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kitty trąciła mnie łokciem, a ja jęknęłam i uniosłam ciężkie powieki. - Wyjrzyj przez okno! - pisnęła z radością. - Prawie jesteśmy na miejscu!
Lot z wyspy na północy, na którą przybyłyśmy statkiem, trwał trzy kwadranse. Od czterech dni cierpiałam na chorobę morską i bardzo chciałam znaleźć się na lądzie. Rozejrzałam się po kabinie małego samolotu: wypełniona różnymi mechanizmami, wyglądała bardzo szaro. Miejsce dla mężczyzn. Jednak poza pilotami i jednym żołnierzem - wysokim, kościstym chłopakiem o jasnorudych włosach, ubranym w świeżo wyprasowany mundur, który wracał z długiej przepustki zdrowotnej -samolot był pełen pielęgniarek.
- Spójrz! - zawołała Kitty, przyciskając dłoń do piersi. - Widziałaś kiedyś coś piękniejszego?
Wychyliłam się przed nią, żeby wyjrzeć przez małe okienko. Na widok krajobrazu poniżej aż się zachłysnęłam - niemożliwie błękitna woda, biały piasek i porośnięte bujną zielenią zbocze wzgórza. Nie spodziewałam się, że ta panorama tak mnie zachwyci. Szczerze mówiąc, nie miałam zbyt wygórowanych oczekiwań. Norah, która teraz była na pokładzie statku wracającego do Stanów, oczywiście wspominała o uroku wysp,

ale artykuły w amerykańskich gazetach malowały inny obraz: świat bezlitosnego tropikalnego upału, nędzy i nieszczęścia, gdzie żołnierze walczyli na rojących się od moskitów bagnach opisywanych w listach jako „piekło na ziemi". A jednak widok z samolotu nie odpowiadał tej wizji. Nie, ta wyspa była inna, zupełnie inna.
Wróciłam myślami do Gerarda i tego, jak na mnie patrzył, kiedy wchodziłam na pokład samolotu - ze smutkiem, niepewnością, odrobiną strachu. Kiedy dzień po przyjęciu powiedziałam mu, że wyjeżdżam, zachował się wspaniale. Jednak w jego oczach było też coś, co mnie zmartwiło. Oczywiście próbował mi wyperswadować wyjazd, ale w końcu ścisnął moją dłoń i zmusił się do uśmiechu.
- Będę czekał, kiedy wrócisz. Nic tego nie zmieni - powiedział.
Po długiej rozmowie postanowiliśmy przesunąć ślub o rok. Kiedy matka dowiedziała się o tym, zrozpaczona pobiegła do swojej sypialni, szlochając. Reakcję papy nieco trudniej było mi zinterpretować. Poczekałam do wieczora po przyjęciu u God-freyów; tuż przed kolacją sączył szkocką w gabinecie. Na jego czole perliły się kropelki potu.
- Jesteś pewna, że tego chcesz, mała?
- Tak - odparłam. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, po prostu mam poczucie, że to właściwa decyzja.
Kiwnął głową, po czym zapalił cygaro, wypuszczając dym w stronę otwartego okna. Jego oczy zalśniły.
- Żałuję, że nie jestem równie odważny.
- Papo...
- No dobrze - oznajmił nagle i zgasił w popielniczce cygaro, a wraz z nim wszystkie pulsujące w powietrzu uczucia. -Nie spóźnijmy się na kolację. Maxine szykuje croque monsieur.
Tego wieczora zjadł jednak ledwie kilka kęsów. Wygładziłam materiał sukienki. Dlaczego moja tak się pogniotła, a spódniczka Kitty wyglądała na świeżo wyprasowaną?

Zmarszczyłam brwi. Czy popełniłam błąd, przyjeżdżając tutaj? Splotłam dłonie i obrzuciłam wzrokiem rozciągający się poniżej krajobraz - mój nowy dom na co najmniej większą część roku. Constance Hildebrand, pielęgniarka, która miała być naszą przełożoną na wyspie, stanęła z przodu kabiny i zmierzyła naszą grupę surowym spojrzeniem. Była korpulentną kobietą o siwych włosach schowanych pod czepkiem przypiętym tak ciasno, że musiało ją to boleć. Jeśli miała w sobie też łagodność, bardzo pilnowała, żeby się z nią nie zdradzić.
- Prawie jesteśmy na miejscu - oznajmiła. W samolocie było głośno i choć mówiła podniesionym głosem, musiałam czytać z ruchu jej warg, żeby zrozumieć każde słowo. - Nie dajcie się zwieść pięknu wyspy, nie znajdziecie tu luksusów. Będziecie pracowały ciężej i pociły się bardziej, niż możecie sobie wyobrazić. Upał doskwiera, wilgotność jest dusząca. Jeśli nie dopadną was moskity, zrobią to miejscowi. Ci, którzy mieszkają blisko brzegu, są przyjacielscy, ale nie zapuszczajcie się głębiej. Niedaleko bazy wciąż istnieją kolonie kanibali.
Zerknęłam na inne kobiety siedzące przy przejściu, na ich wybałuszone, przestraszone oczy, a siostra Hildebrand odchrząknęła.
- Wiem, że jesteście zmęczone, ale czeka nas praca - ciągnęła. - Odnajdziecie swoje kwatery, odświeżycie się i o czternastej przyjdziecie do szpitala. Jeszcze ostrzeżenie: wasz przyjazd będzie obserwować wielu mężczyzn, którzy od bardzo dawna nie widzieli żadnej kobiety poza wahine. - Pokręciła głową, aby podkreślić swoje słowa. - Nie zaszczycajcie ich spojrzeniami. Mają się zachowywać jak dżentelmeni.
Jedna z dziewczyn siedzących przed nami natychmiast przypudrowała nos i nałożyła świeżą warstwę czerwonej pomadki. Kitty nachyliła się do mnie z uśmiechem i wyszeptała:
- Na wyspie są dwa tysiące mężczyzn. Nas jest czterdzieści pięć.

Zmarszczyłam brwi. Jak mogła myśleć o mężczyznach po mrożących krew w żyłach ostrzeżeniach siostry Hildebrand?
- Naprawdę sądzisz, że są tam kanibale?
- E, nie - odparła pewnym tonem Kitty. - Chce nas tylko nastraszyć.
Kiwnęłam głową, żeby się uspokoić.
- Poza tym - dodałam - Norah nie wspominała w listach o moskitach.
- Meredith Lewis, wiesz, siostra Jillian, stacjonowała na innej wyspie w tych okolicach. Przyjechała z pierwszym oddziałem żołnierzy. Mówiła, że historie o kanibalach to nieprawda.
Słowa Kitty mnie nie pocieszyły, przeciwnie, wbiły mi się w serce jak odłamek pocisku. Meredith Lewis chodziła do klasy z Gerardem w szkole średniej. Stała obok niego na fotografii w księdze pamiątkowej rocznika. Na to wspomnienie zatęskniłam za domem. Nagły przypływ niepewności ustąpił jednak, kiedy samolotem zaczęło rzucać.
Kitty i ja trzymałyśmy się za ręce, kiedy wylądowaliśmy z hukiem i pomknęliśmy pasem startowym, który biegł niebezpiecznie blisko oceanu. Przez chwilę wydawało się całkiem prawdopodobne, że wpadniemy niczym torpeda prosto do wody. Przeżegnałam się i zmówiłam pacierz.
- No to w drogę - szepnęłam pod nosem chwilę później, kiedy stanęłam w kolejce do wyjścia z samolotu.
Poczułam, że stojąca za mną Kitty kładzie mi dłoń na ramieniu.
- Dziękuję, że ze mną przyjechałaś - powiedziała cicho. -Nie pożałujesz, obiecuję.
Zeszłyśmy gęsiego po schodach na lądowisko. Poczułam na twarzy ciepły, wilgotny wiatr, a kiedy nabrałam powietrza, odniosłam wrażenie, że moje płuca napełniły się parą. Po naszej prawej stała pielęgniarka, która przypudrowała nos tuż przed lądowaniem: twarz miała błyszczącą i wilgotną, a po policzku spływała jej kropla potu. Oparłam się pokusie wyciągnięcia

puderniczki z torebki, przypominając sobie, że mój wygląd nie ma znaczenia: byłam przecież zaręczona.
Spojrzałam na drugi koniec lądowiska i okazało się, ze siostra Hildebrand miała rację - przynajmniej jeśli chodziło o mężczyzn. Ciemnozielone mundury tłoczyły się jak rój szerszeni. Co śmielsi gwizdali; inni tylko opierali się o samochody
i wlepiali w nas wzrok, paląc papierosy.
- Można by pomyśleć, że w życiu kobiety nie widzieli - szepnęła Kitty, trzepocząc rzęsami w stronę żołnierza na czele tłumu. Ten wypiął pierś i rzucił nam pewny siebie uśmiech. - Ten jest uroczy - dodała, nieco głośniej, niż należało.
Siostra Hildebrand odwróciła się do nas.
- Moje panie, przedstawiam wam pułkownika Donahue -oznajmiła, wskazując mężczyznę w mundurze ozdobionym co najmniej tuzinem medali i odznaczeń.
Kiedy szedł po asfalcie, jego ludzie stanęli na baczność. Zapanowała cisza: pielęgniarki obserwowały go z fascynacją. Pułkownik mógł mieć czterdzieści lat, może nieco więcej. Był opalony na złoto, miał szpakowate włosy i oczy, od których trudno było oderwać wzrok. Mundur nadawał mu potężny i odrobinę groźny wygląd.
- Siostro Hildebrand, drogie panie - zaczął, uchylając przed nami czapki. - Chciałbym oficjalnie powitać was na Bora-Bora. Jesteśmy wdzięczni za to, jak poświęcacie się dla kraju, i mogę was zapewnić, że żołnierze stacjonujący na wyspie, w tym ja, serdecznie podziękują wam za waszą pracę.
- Odwrócił się do ludzi i krzyknął: „Spocznij!", na co ci zgotowali nam owację.
- Cóż za dżentelmen - szepnęła Kitty, nie spuszczając z niego wzroku.
Wzruszyłam ramionami. Miałam wrażenie, że słońce pali jeszcze mocniej; tuż po wyjściu z samolotu nie zauważyłam, jak ostre są jego promienie. Żar odbijał się od asfaltu, wznosząc się dookoła nas nieustępliwymi falami. Kitty kołysała się powoli obok mnie. Początkowo myślałam, że rusza się do rytmu

piosenki Elli Fitzgerald dobiegającej z jednego z jeepów, ale kiedy odwróciłam się w jej stronę, zobaczyłam, że pobladła, a jej ramiona zwisają bezwładnie.
- Kitty - sięgnęłam po jej dłoń. - Wszystko w porządku? Jej powieki zadrgały, a nogi ugięły się pod nią. Zdążyłam ją
złapać, ale to jej wypchana zbyt eleganckimi sukienkami torba naprawdę ją uratowała: ochroniła jej głowę przed zderzeniem z twardą nawierzchnią. Kitty padła jak kłoda na parzący asfalt lotniska.
- Kitty! - krzyknęłam, układając sobie jej głowę na kolanach i odruchowo obciągając skraj jej niebieskiej sukienki.
- Sole trzeźwiące! - rozkazała siostra Hildebrand, przepychając się przez krąg stojących nad nami kobiet. Wydobyła zieloną buteleczkę i podsunęła ją pod nos Kitty. - To od słońca - dodała beznamiętnym tonem. - Z czasem się przyzwyczai.
Pułkownik Donahue stanął u boku siostry Hildebrand.
- Przynieść nosze! - krzyknął do człowieka przy samolocie. - Ale szybko!
- Pułkowniku Donahue, mamy do czynienia z prostym przypadkiem udaru cieplnego - oznajmiła siostra Hildebrand. -Nic jej nie będzie.
Pułkownik obrzucił Kitty zaborczym spojrzeniem.
- Mimo to chciałbym dopilnować, żeby było jej wygodnie.
- Jak pan uważa - odparła siostra Hildebrand.
Chwilę później dwaj ludzie przynieśli nosze i ułożyli na nich Kitty, już przytomną, ale wciąż zamroczoną.
- Anne - zapytała, odwracając głowę w moją stronę - co się stało?
Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do jej boku przypadł pułkownik Donahue.
- Zawsze te najładniejsze mdleją w tropikach - powiedział z szerokim uśmiechem.
Nie podobał mi się jego ton, ale twarz Kitty się rozjaśniła.
- Cóż za wstyd. Długo byłam nieprzytomna?

Pułkownik nie przestawał się uśmiechać. Otaczający nas tłum był już tak gęsty, że nie widziałam nic poza zgromadzonymi ludźmi.
- Tylko na tyle długo, aby nie usłyszeć, że organizujemy dzis wieczorem zabawę taneczną na cześć pani przyjazdu - ujął to tak, jakby potańcówka odbywała się wyłącznie dla niej.
Uśmiech, który mu posłała, był zdecydowanie zbyt zalotny jak na rozmowę z wojskowym o takiej randze.
- Zabawę? - mruknęła słabym głosem.
- Nie inaczej. - Odwrócił się do tłumu. - Dobrze słyszeliście, ludzie, dziś o dwudziestej.
- Dziękuję - odparła Kitty. Uśmiech nie znikał jej z twarzy.
- Nie ma o czym mówić - powiedział z galanterią. - Poproszę tylko o jedno.
- Oczywiście.
- Żeby zarezerwowała pani dla mnie taniec.
- Z przyjemnością - odpowiedziała rozmarzonym głosem, a żołnierze zaczęli przenosić ją przez tłum. Kitty zawsze wiedziała, jak zrobić sobie wejście.
Reszta zebranych zaczęła się rozpraszać. Spojrzałam na moją walizkę oraz ogromną torbę Kitty i jęknęłam. Żołnierze zdążyli odejść i teraz sama musiałam nieść obie sztuki bagażu.
- Nie wierzę własnym oczom - zza moich pleców rozległ się kobiecy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam jedną z nowo przybyłych pielęgniarek. Miękkie kasztanowe fale jej włosów przypominały mi zdjęcia Rity Hayworth z magazynu „Life", ale na tym podobieństwo się kończyło.
- Słucham? - zapytałam niepewna, co ma na myśli.
- Twoja przyjaciółka wycięła niezły numer, żeby przyciągnąć uwagę pułkownika - odparła z krzywym uśmieszkiem. Nad górnym guzikiem jej sukienki wystawała odrobina koronki. Byłam ciekawa, czy to celowe.
Moment później u jej boku pojawiła się inna pielęgniarka. Miała lśniące, ciemne włosy i potulny uśmiech sugerujący, że zgadza się z tym, co mówi jej przyjaciółka.

- Och, nie, nie. Nie sugerujesz chyba, że Kitty straciła przytomność umyślnie?
- Właśnie to sugeruję - odparła dziewczyna o kasztanowych włosach, najwyraźniej bardziej agresywna z nich dwóch. - Takie rzeczy nie dzieją się same z siebie. Tylko udawała.
- Z pewnością tak nie było - zaprotestowałam. - Moim zdaniem jesteś po prostu zazdrosna.
Ciemnowłosa pielęgniarka aż się zachłysnęła, a druga dziewczyna wzruszyła ramionami pewnym siebie gestem.
- Kiedyś nam podziękujesz - oznajmiła.
- Za co? - zapytałam podejrzliwie.
- Za to, że ostrzegłyśmy cię, na co stać twoją przyjaciółeczkę. Nie miałabym do niej cienia zaufania, gdyby chodziło o mojego mężczyznę.
Pokręciłam głową i ruszyłam z miejsca, najszybciej jak mogłam, z dwiema ciężkimi torbami.
- Jakie to z naszej strony nieuprzejme - odezwała się pielęgniarka o kasztanowych włosach.
Przeprosiny, których się spodziewałam, jednak nie nastąpiły. - Niemal zapomniałam się przedstawić. Jestem Stella, a to Liz - wskazała swoją ciemnowłosą koleżankę.
Szłam dalej, nie zwracając na nią uwagi.
- A ty jak masz na imię?
- Anne - warknęłam, nie odwracając się i maszerując przed siebie.
Nasza kwatera na drugim piętrze baraków pielęgniarek była prosta - w najlepszym razie można byłoby ją nazwać skromną. Były tam tylko dwa prymitywne łóżka, toaletka i jedna szafa na nas dwie. Wątpiłam, czy cienkie bladożółte zasłony z bawełny, spłowiałe od ostrego słońca, osłonią nas przed światłem i spojrzeniami mężczyzn. Kiedy dotarłam na miejsce, Kitty stała na jednym z łóżek i wbijała gwóźdź w ścianę.

- Sądzisz, że to dobre miejsce na zdjęcie? - zapytała, przechylając nieco głowę. - Pomyślałam, że powieszę sobie tu portret mamy i papy.
Odstawiłam jej torbę na ziemię z głuchym odgłosem i otarłam czoło.
- W porządku - powiedziałam obojętnie. - Widzę, że juz ci lepiej.
- Tak, dzięki, kochana - odparła. - Głupio mi, że tak cię zostawiłam w tłumie, ale pułkownik Donahue nalegał.
Zaczynałam bać się samego dźwięku nazwiska pułkownika, ale tego nie okazałam.
- Cieszę się po prostu, że wszystko już w porządku.
Kitty śmigała po naszym pokoiku jak ptak na wiosnę i paplała o tym, jak go urządzimy. Z zapasowego prześcieradła będzie można zrobić wspaniały lambrekin i z pewnością uda nam się zdobyć gdzieś stolik do herbaty. Z pewnością. A czyż kolor ścian nie jest śliczny, taki kojący? Tak, szpitalny beż, bardzo kojący.
Według mnie jednak pokój był wilgotny i obcy. Dwa materace w granatowe i białe pasy były nagie i usiane plamami. Na każdym leżał stosik schludnie poskładanej, wytartej bielizny pościelowej. Zatęskniłam za Maxine, choć ta myśl wydała mi się dziecinna. Natychmiast pościeliłaby łóżka, wcześniej podając nam kojącą herbatę.
Teraz musiałam radzić sobie sama.
- Anne, uwierzysz, że dziś wieczorem są tańce? Tańce! A pułkownik Donahue chce tańczyć właśnie ze mną!
Znowu to nazwisko. Dlaczego tak na mnie wpływa? Może jego zamiary budzą we mnie podejrzliwość, a może moje uczucia są nieuzasadnione? Przypomniałam sobie, co Stella i Liz powiedziały na lądowisku. Były zazdrosne. Bałam się myśleć, że być może ja też jestem.
Kitty potrafiła postępować z mężczyznami w sposób, który dla mnie zawsze będzie tajemnicą.
Pomyślałam o Gerardzie i okręciłam pierścionek zaręczynowy na spuchniętym od upału palcu.

- Tak, będzie świetna zabawa! - Bardzo starałam się, żeby mój głos brzmiał radośnie.
- Założę tę żółtą sukienkę - Kitty podbiegła do swojej torby. Wspaniale wyglądała w żółtym, a szczególnie w sukience,
którą teraz podniosła, żebym wyraziła aprobatę. Widziałam ją w niej kilka razy - przy ostatniej okazji pan Gelfman obejmował ją ciasno w talii. Zabawne: kiedy wyjeżdżałyśmy ze Seattle, była zrozpaczona, że go zostawia, ale przybycie na wyspę chyba' wymazało jej pamięć. Obiecałam sobie, że ja na to nie pozwolę.
Kitty przejrzała się w lustrze, przykładając sukienkę do ciała i wygładzając zagniecenia, które wilgotne wyspiarskie powietrze i tak wkrótce usunie.
- Nie jestem pewna - powiedziała. - Może powinnam założyć tę niebieską, którą kupiłyśmy zeszłej wiosny u Fredericka i Nelsona. Jest chyba trochę skromniejsza.
Pokręciłam głową.
- Nie - powiedziałam, myśląc o Liz i Stelli. Postanowiłam przynajmniej sobie udowodnić, że nie jestem zazdrosna i darzę Kitty jak najprawdziwszą przyjaźnią. Napomniałam siebie w duchu, że dlatego przecież tu z nią przyjechałam. - Załóż tę żółtą. Wyglądasz w niej zjawiskowo.
Kitty będzie najpiękniejszą kobietą tego wieczora. Będzie się świetnie bawić. A ja będę cieszyć się jej szczęściem.
* **
W szpitalu, białym budynku z czerwonym krzyżem nad wejściem, unosiła się woń mydła i syropu z ipekakuany, z nutką spirytusu na dodatek. Kitty i ja jako ostatnie wsunęłyśmy się w krąg kobiet obserwujących siostrę Hildebrand, która demonstrowała na ramieniu jednej z pielęgniarek właściwy sposób opatrywania rany w tropikach. Wyjaśniła, że bandaże należy zawijać przeciwnie do kierunku wskazówek zegara i niezbyt mocno, ale dość ciasno, żeby zatamować krwawienie.

- Rana musi oddychać - powiedziała. - Jeśli dostęp powietrza jest zbyt duży lub zbyt mały, wda się zakażenie. - Przerwała i wyjrzała przez okno, patrząc na widoczne w oddali wzgórza. - Szczególnie w tym zakazanym miejscu.
Resztę popołudniowej zmiany spędziłyśmy, rolując bandaże w ciasne zwoje, które potem układałyśmy w skrzynkach wyciągniętych z samolotu. Rozłożyłam duże bele brązowoszarego płótna na stole, usiłując nie myśleć o ranach, do których będzie któregoś dnia przylegać. Kitty chwyciła jeden koniec, ja drugi. Po godzinie bolały mnie palce.
Pracowałyśmy w milczeniu głównie ze strachu przed siostrą Hildebrand; wszystkie miałyśmy sporo do powiedzenia. Kiedy wyszła załatwić coś w kantynie, kobietom zaczęły wracać głosy.
- Twarda ta siostra Hildebrand - skomentowała pielęgniarka po lewej. Była o kilka lat starsza ode mnie i Kitty. Miała włosy koloru słomy, nos usiany piegami i duże oczy o przyjaznym spojrzeniu. Jej uśmiech odsłaniał krzywe zęby, które bezskutecznie próbowała ukryć za zaciśniętymi wargami.
- Rzeczywiście - zgodziłam się. - Nie rozumiem... Jeśli tak nie znosi tego miejsca, dlaczego zgłosiła się na ochotniczkę?
- Ma tu przeszłość - odparła moja rozmówczyni.
- Co masz na myśli?
- Wiem tylko to, co powiedziała mi jeszcze na stałym lądzie inna pielęgniarka - szepnęła. - Była tu już kiedyś, bardzo dawno temu. Stało się coś złego.
- Co takiego?
- Nie wiem dokładnie, ale jakiś skandal.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że to przestępczyni? - zawołała Kitty.
Kobieta wzruszyła ramionami.
- Kto wie? Ale nie chciałabym jej podpaść. Jestem Mary -ciągnęła, kiwnąwszy nam głową.
- Jestem Anne.

- A ja Kitty.
Mary włożyła kolejny zwinięty bandaż do skrzynki ustawionej na stole.
- Co was tu sprowadza?
Kitty otworzyła usta, ale ja odezwałam się pierwsza.
- Chcemy służyć naszemu krajowi - powiedziałam z prostotą. Mary uśmiechnęła się znacząco.
- Wszystkie tak mówimy. Dlaczego naprawdę tu jesteście? Każda przed czymś ucieka albo czegoś szuka. Jak to jest z wami? - zerknęła na mój pierścionek, może dlatego że za niego szarpałam.
Tym razem Kitty odpowiedziała, zanim zdążyłam się odezwać.
- Anne była zaręczona... - zaczęła, ale jej przerwałam.
- Jest zaręczona - poprawiłam ją.
- Tak, Anne jest zaręczona, ale odłożyła wesele, żeby przyjechać ze mną - Kitty z wdzięcznością potarła barkiem o moje ramię. - Zanim wyjechałyśmy, byłam w strasznych miłosnych tarapatach. Czułam, że muszę uciec.
- Ja też - Mary podniosła nagą lewą rękę. - Mój narzeczony zerwał zaręczyny. Przyszedł któregoś dnia i powiedział, że mnie nie kocha. Zaraz, jak to on dokładnie powiedział? - spojrzała w sufit, sięgając pamięcią wstecz. - Ach, tak. Powiedział: „Skarbie, kocham cię, ale nie jestem w tobie zakochany". Jakby tego było mało, ogłosił później, że bierze ślub z moją najlepszą przyjaciółką. Okazało się, że widywali się od miesięcy. Powiem szczerze, dziewczyny, omal przez tę sprawę nie trafiłam do wariatkowa. Kiedy byłam już na tyle przytomna, żeby zastanowić się nad kolejnym ruchem, zrozumiałam, że muszę wyjechać z miasta. Żeby ukoić ból, chciałam pojechać na drugi koniec świata. Nasze wesele miało być na jesieni, w hotelu Cartwright w San Francisco. - Spojrzała na własne dłonie i westchnęła. -Miało być naprawdę huczne.
- Tak mi przykro - powiedziałam.

- Dziękuję. Teraz już mogę o tym mówić. - Zaczęła pracować nad kolejnym zwojem bandaży. - Mieliśmy się przeprowadzić do Paryża. On miał wstąpić... to znaczy wstąpi... do służby dyplomatycznej. - Pokręciła smutno głową. - Nie powinnam była zakochiwać się w Edwardzie. Matka miała rację. Był dla mnie zdecydowanie zbyt przystojny. - Wzruszyła ramionami, maskując ból w swoim spojrzeniu praktyczną miną. - I teraz jestem tutaj. A ty? - Spojrzała na mnie. - Kochasz tego, za którego masz wyjść?
- Oczywiście, że tak - powiedziałam tonem nieco bardziej obronnym, niż planowałam.
- Dlaczego więc jesteś tutaj, a nie w domu, z nim?
No właśnie, dlaczego jestem tutaj, a nie z nim? Czy odpowiedź naprawdę jest taka prosta? Przez moment zastanawiałam się nad tym pytaniem. Czy szukam przygody, jak Kitty? Czy słucham słów Maxine i daję sobie szansę na to, aby poczekać na coś - o Boże, na kogoś - co pojawi się, zanim przypieczętuję mój los? Opędziłam się od tej myśli. Nie, jestem tutaj dla Kitty. Tak, oto odpowiedź, prosta i jasna.
- Ponieważ moja przyjaciółka mnie potrzebowała - ścisnęłam Kitty za rękę.
- To miłe - powiedziała Mary. - Poszczęściło się wam, że macie siebie nawzajem. Ja nie mam takiej przyjaciółki.
Jak zawsze wielkoduszna Kitty obdarzyła Mary ciepłym uśmiechem.
- Możesz zaprzyjaźnić się z nami.
Mary odsłoniła swoje niedoskonałe zęby w uroczym uśmiechu.
- Chętnie - powiedziała, układając w skrzyni kolejny bandaż.
Zwinęłyśmy ich jakąś setkę. Nie był to wielki wyczyn, ale byłam dumna z naszego dokonania. Góra bandaży podczas pierwszego dnia na Bora-Bora. Robiłyśmy coś. Naprawdę żyłyśmy.

Kantyna znajdowała się w prostym budynku wypełnionym rzędami długich stołów, z których dwa przeznaczono dla pielęgniarek. Siostra Hildebrand powiedziała, że mamy nie jeść z żołnierzami. Mimo to byłyśmy świadome każdego ich ruchu, a oni naszego. Czułyśmy na sobie ich spojrzenia, kiedy jadłyśmy mielonkę i fasolę.
- To jest okropne! - oznajmiła Mary. Nabiła strączek fasolki szparagowej na widelec i podniosła go do światła. - Patrzcie, jest jak z kamienia.
- Świetna kuracja odchudzająca - stwierdziła Kitty, optymistyczna jak zawsze.
Stella i Liz usiadły naprzeciwko nas, ale pamiętałam ich komentarze na temat Kitty, więc zlekceważyłam ich obecność.
- No, no! Patrzcie tylko na to! - Stella dramatycznie wskazała stół w rogu, przy którym siedziało trzech żołnierzy.
Nieświadome mojej urazy Mary i Kitty odwróciły się, aby sprawdzić, o co chodzi.
- Wygląda kubek w kubek jak Clark Gable - zgodziła się Kitty. - Ciekawe, kto to?
- Nazywa się Elliot - powiedziała Stella. - Przedstawił mi go kapral, który niósł moją torbę. Uroczy, prawda?
- Bardzo - Mary kiwnęła głową i z trudem przełknęła kęs mielonki.
- Szkoda - ciągnęła Stella. - Podobno jest na śmierć zakochany w pewnej kobiecie w Stanach. Mężatce.
Wybałuszyłyśmy jednocześnie oczy.
- Mógłby przebierać wśród kobiet tutaj - Stella kręciła głową - ale krążą plotki, że podczas każdej przepustki zaszywa się na pryczy i pisze w dzienniku, rozmyślając o niej.
- Jakie to romantyczne - powiedziała rozmarzonym tonem Kitty.
Kiwnęłam głową.
- Mężczyzna, który tak bardzo kocha kobietę, to niezwykły widok.

- Albo niezwykły głupiec - odcięła się Stella. Zaczęła paplać dalej o swoim planie zwrócenia na siebie uwagi Elliota, a ja wróciłam do grzebania w talerzu.
Jeszcze raz zerknęłam na stół, przy którym siedział ten Elliot. Faktycznie był podobny do Clarka Gable'a. Był przystojny, miał ciemne oczy i gęste hebanowe włosy, które opadały lokami na jego czoło. Mój wzrok przyciągnął jednak ktoś inny: człowiek, który siedział po jego lewej, wysoki, choć nie tak muskularny, z jaśniejszymi, bardziej zmierzwionymi włosami i opaloną skórą usianą piegami. Lewą ręką ładował jedzenie do ust, a prawą trzymał książkę, od której najwyraźniej nie mógł się oderwać. Przewracając stronę, podniósł wzrok. Natychmiast napotkał moje spojrzenie, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. Błyskawicznie odwróciłam głowę. Co we mnie wstąpiło? Od razu pożałowałam tego naruszenia zasad.
Zmusiłam się do przełknięcia kęsa mielonki, próbując powstrzymać odruch wymiotny i czując, jak płoną mi policzki. Stella, która widziała tę wymianę spojrzeń, zerknęła na mnie kpiąco, ale zignorowałam to, z całych sił próbując odzyskać panowanie nad sobą.
***
Zdecydowałam, że noce w tropikach są lepsze niż dni, nawet mimo obecności moskitów. Nienagrzane słońcem powietrze było przyjemniejsze. Znad morza unosiła się też chłodna mgiełka, no i świeciły gwiazdy, te skrzące się gwiazdy, tak bliskie, że niemal można było wyciągnąć rękę i zerwać jedną z nich z kobaltowego nieba.
Kitty i ja szłyśmy pod rękę żwirową ścieżką prowadzącą do centrum obozu na wieczorną zabawę; ona miała na sobie żółtą sukienkę, a ja czerwoną. Namawiała mnie, żebym włożyła coś śmielszego, i w ostatniej chwili ustąpiłam.

Spacer nie był długi, równy może przejściu pięciu miejskich przecznic, ale z powodu wysokich obcasów wydawało się nam, że to bardzo daleko. Mijając szpital, zauważyłyśmy, że pali się w nim światło. Czy jest tam siostra Hildebrand? Pospieszyłyśmy dalej. Zbliżywszy się do baraków żołnierzy, udawałyśmy, że nie słyszymy gwizdów mężczyzn palących na zewnątrz papierosy.
Kiedy znalazłyśmy się już w bezpiecznej odległości, Kitty pociągnęła mnie za ramię.
- Popatrz - wskazała wielki zielony krzak obsypany zapierającymi dech w piersiach kwiatami.
- Jakie piękne - powiedziałam. - Co to za roślina? Kitty zerwała z krzaka czerwony kwiat.
- Hibiskus - odparła i zatknęła kwiat za prawym uchem, po czym podała jeden mnie. - Zgodnie z polinezyjskim zwyczajem kobieta, której serce jest zajęte, nosi kwiat za lewym uchem, a jeśli jest wolna, za prawym.
- Skąd wiesz?
Kitty uśmiechnęła się szeroko.
- Po prostu wiem.
Przyjrzałam się dokładniej: pomarszczone płatki ogromnego hibiskusa miały jaskrawy odcień szkarłatu.
- Zatem muszę go założyć po lewej stronie - odparłam, sumiennie zatykając kwiat za uchem.
- Jak ładnie - powiedziała Kitty, wskazując prowizoryczny parkiet widoczny w oddali. Zbito go naprędce ze sklejki. -Światełka!
Nad parkietem, pod krokwiami zrobionymi z liści palmowych zawieszono sznury maleńkich białych lampek. Stłoczeni dookoła żołnierze szeptali do siebie, a grupa pielęgniarek podeszła trawnikiem. Na scenę weszło pięciu muzyków i zaczęli stroić instrumenty, a wodzirej chwycił mikrofon.
- Chciałbym powitać na naszej wysepce korpus pielęgniarek - ogłosił. - Pokażmy im, co znaczy dobra zabawa, chłopcy.

Rozległy się wiwaty i owacja, po czym muzycy zaczęli grać i przez chwilę nikt się nie ruszył.
- Co mamy robić? - szepnęła Kitty. Czułam na barku jej oddech.
- Nic nie rób - odparłam, żałując, że nie zostałam w pokoju z książką.
Stella i Liz odważyły się zrobić kilka kroków przed siebie, a dwaj mężczyźni poszli za ich przykładem.
- Czy mogę prosić do tańca? - zaproponował Stelli śmielszy z nich, żołnierz z akcentem z Południa i zawadiackimi ruchami.
Drugi zbliżył się chyłkiem do Liz. Obie się zgodziły.
- Popatrz na nie - powiedziałam do Kitty. - Szybko im poszło. Kitty mnie nie dosłyszała, zajęta czym innym. Wiedziałam, za
kim się rozgląda. Nagle jednak ktoś podszedł do nas - a właściwie do Kitty. Rozpoznałam go: rano widziałam go na lądowisku.
- Zwróciłem uwagę na twój kwiat - oznajmił, kłaniając się z emfazą. Mężczyźni dziwnie się zachowywali przy Kitty. - Mam na imię Lance. - Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu dłoń. Złożył na niej teatralny pocałunek.
Wywróciłam oczami. Był wysoki i muskularny, miał włosy w kolorze nijakiego brązu, ostre rysy i pokrętny uśmieszek, przez który od razu wydał mi się niegodny zaufania.
- Jestem Kitty - wszystko to najwyraźniej jej pochlebiło. Lance wyszczerzył zęby.
- Zatańczymy?
Kitty kiwnęła głową, a on porwał ją na parkiet. Zostałam sama. Wystukiwałam stopą rytm muzyki. Muzycy byli nieźli -jak na miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Poczułam gęsią skórkę na ramionach, kiedy usłyszałam, że klarnecista gra pierwsze nuty *A String ofPearls.* Tę melodię Glenna Millera słyszałam ostatnio u Godfreyów. Na naszym przyjęciu zaręczynowym. Westchnęłam, nagle czując, jaka jestem samotna, jak nie pasuję do otoczenia, jaka jestem niezgrabna. Obciągnęłam sukienkę. Odpięłam zabłąkaną spinkę do włosów i zapięłam ją ponownie.

Gdzie jest Mary? Rozejrzałam się, ale zobaczyłam tylko gapiących się na mnie nieznajomych mężczyzn. Dzięki Bogu za kwiat.
Jednak mimo pierścionka na moim palcu i sygnału nadawanego przez kwiat podszedł do mnie jakiś żołnierz w pomiętej koszuli. Poczułam od niego alkohol, zanim zdążył otworzyć usta.
- Chcesz zatańczyć?
- Dziękuję - odpowiedziałam uprzejmie - ale nie. Myślę, że ten utwór przesiedzę.
- Jesteś zdecydowanie za ładna, żeby podpierać ściany - zaprotestował. - Poza tym znudziły mi się wahine. Chcę zatańczyć z prawdziwą Amerykanką. - Chwycił moją dłoń i wyciągnął mnie na parkiet.
- No cóż, widzisz, wolałabym nie. - Ta brawura mnie zaskoczyła.
- Bzdury - uśmiechnął się szeroko. Jego oddech miał kwaśną woń piwa; zbyt wielu piw.
Przycisnął mnie do siebie, a ja poczułam na policzku jego ostrą szczecinę.
- Ładna jesteś - powiedział, kiedy muzycy zaczęli grać.
Oby to nie była wolna piosenka. Dusiłam się w ciasnym uścisku jego gorących i wilgotnych dłoni, ale zmusiłam się, żeby to wytrzymać; nie chciałam robić sceny. Musiałam wytrwać do końca piosenki. Jednak ku mojemu przerażeniu gdy utwór się skończył, podszedł kolejny mężczyzna, zapewne kolega mojego partnera, i kiedy muzyka nabrała tempa, utknęłam między nimi. Jeden obracał mnie dookoła, posyłając w ramiona drugiego. Odbijali mnie tam i z powrotem, jak piłkę na sznurku. Rozejrzałam się rozpaczliwie za Kitty i zauważyłam, że wciąż jest wtulona w Lancea. Wyglądała na szczęśliwą i rozbawioną. „Nie rób sceny". Poczułam, że czyjaś ręka ociera się o moje piersi. Czyja? Struchlałam, choć moje nogi dalej się ruszały. Zerkałam na wszystkie strony i nagle dookoła mojej talii zacisnęła się inna, jeszcze bardziej zdecydowana ręka. Parkiet zaczął

wirować - a może ja zaczęłam. Wszędzie dookoła byli mężczyźni, zgrzani i spoceni. Pełne wilgoci powietrze było gęste. Poczułam, że głos wyrywa mi się z gardła, ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Nagle dały się słyszeć odgłosy szamotaniny i głośne, głuche uderzenie. Ktoś upadł na ziemię. Muzyka się urwała, a ludzie zebrali się dookoła mojego byłego partnera. Krew ciekła mu z nosa. Był nieprzytomny.
Przepchnęłam się przez tłum i zeszłam z parkietu, z zażenowaniem pochylając głowę. Czułam się winna, choć nie zrobiłam nic złego. Nie chciałam, żeby ktokolwiek za mną szedł. Śmignęłam w stronę ścieżki prowadzącej do baraków, truchtem mijając kwatery mężczyzn. Łzy zakręciły mi się w oczach, gdy wiatr zaświstał w liściach palm. Był to tak obcy, tak dziwny odgłos; przywodził na myśl samotność. Zatęskniłam za orzechowcem. Tęskniłam za Seattle.
Spłoszona jakimś odgłosem z krzaków, odruchowo skręciłam w stronę szpitala, zamiast iść prosto. Słabo oświetlona ścieżka i tropikalna noc robiły wrażenie niebywale niebezpiecznych, kiedy nie było przy mnie Kitty. Martwiłam się o to, że zostawiłam ją tam samą. Ale nic się jej nie stanie, Lance wyglądał na porządnego. Tak przynajmniej sobie wmawiałam.
W środku paliło się światło i spodziewałam się, że zastanę za biurkiem siostrę Hildebrand. Zamiast tego był tam mężczyzna, ten sam, którego dostrzegłam w kantynie przy kolacji.
Uśmiechnął się, a ja odwzajemniłam się przestraszonym uśmiechem.
- Cześć - rzucił z drugiego końca sali. - Nie bój się. Szukam tylko bandażu. Myślałem, że jakiś tu znajdę, ale chyba zabezpieczyłyście to miejsce przed żołnierzami.
Zmrużyłam oczy i dostrzegłam, że ma zakrwawioną rękę. Podbiegłam do skrzyni z opatrunkami, które zwinęłam tego popołudnia.
- Pozwól, że ci pomogę - powiedziałam, wyciągając jedną z rolek.

Powtarzałam sobie, że nie ma się czego wstydzić. Ja byłam pielęgniarką, on pacjentem. Nie było powodu, żeby wzbudziło to we mnie jakiekolwiek dziwne uczucia; w przebywaniu po zmroku sam na sam z tym mężczyzną nie było nic niezręcznego.
- Co się stało? - zapytałam, przykładając do ranki gazę, na którą wylałam nieco spirytusu.
Syknął, ale nie przestawał się uśmiechać.
- Nie widziałaś?
- Czego?
- Nie mogłem patrzeć, jak Randy Connors poczyna sobie z tobą na parkiecie.
- Randy Connors? Poczyna sobie ze mną? Za pozwoleniem...
- No co? Ręce miał wszędzie.
Stwierdził fakt, ale i tak wbiłam spojrzenie w podłogę zawstydzona. Uniósł mój podbródek dłonią.
- Właśnie dlatego go uderzyłem. Uśmiechnęłam się szeroko.
- Och... - robiłam, co mogłam, żeby się opanować. Czy widzi łzy w moich oczach? - To byłeś ty. No cóż, w takim razie mam wobec ciebie dług wdzięczności.
- Musisz wybaczyć mężczyznom - powiedział. - Nie widzieli kobiet takich jak wy od miesięcy, niektórzy jeszcze dłużej. Od dawna siedzimy na tej skale.
Przypomniało mi się słowo, które wypowiedział tamten żołnierz: „wahine". W jego ustach brzmiało wulgarnie, ostro.
- Wiesz przypadkiem, co znaczy słowo „wahine"? Jego oczy zalśniły.
- Ależ tak. To po tahitańsku „kobieta". Skinęłam głową.
- Niechby nie widzieli kobiety i od stu lat, to nie usprawiedliwia takiego barbarzyństwa.
- Nie. Dlatego większości z nich unikam. Jest tutaj kilku porządnych mężczyzn. Musisz nauczyć się zachowywać wobec nich bezpośrednio. W domu możesz bawić się w nieśmiałość,

możesz oczekiwać przestrzegania zasad i dystyngowanego zachowania. Tutaj nie. Tropiki z nas wszystkich robią dzikusów. Wyspa sprawia, że łatwiej pozbyć się zahamowań. Zmienia ludzi. Zobaczysz.
- Jeśli chodzi o mnie, nie sądzę, żeby coś mogło nas zmienić, jeśli sami nie chcemy się zmienić. Nie słyszałeś nigdy o wolnej woli? - powiedziałam lekceważącym tonem, owijając kostki jego dłoni płóciennym bandażem tak, jak nauczyła nas siostra Hildebrand.
- Jasne - odparł z niezwykle rozbawioną miną. - Chcę tylko powiedzieć, że to miejsce potrafi ukazać prawdę o ludziach, odsłonić to, za czym się chowają, i odkryć ich prawdziwe ja.
Umocowałam końcówkę opatrunku aluminiową zapinką i wypuściłam powietrze.
- Nie byłabym tego taka pewna - odparłam. - W każdym razie gotowe.
- Jestem Westry - oznajmił, wyciągając zabandażowaną rękę. - Westry Green.
- Anne Calloway - uścisnęłam ostrożnie jego dłoń.
- Do zobaczenia. - Nie zwlekając, ruszył w stronę drzwi.
- Do zobaczenia - odpowiedziałam i zauważyłam mgnienie czerwieni w jego lewej ręce. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, sięgnęłam do ucha. Kwiat hibiskusa zniknął.

ROZDZIAŁ CZWARTY

której wczoraj wróciłaś? - zapytałam następnego ranka Kitty.
Czytałam w łóżku od co najmniej dwóch go-
dzin, czekając, aż się obudzi.
Zerknęła na zegar, a potem na powrót wcisnęła twarz w poduszkę.
- Późno - odparła głosem stłumionym przez warstwę puchu.
- Prawie dziewiąta - oznajmiłam, myśląc, jakie miałyśmy szczęście, że dotarłyśmy na wyspę w piątek. Sobota była jedynym dniem, kiedy przysługiwała nam przepustka. - Nie pozwolę ci przespać naszego jedynego wolnego dnia. No już, ubierajmy się!
Ziewnęła i usiadła.
- Nie mogę uwierzyć, że już dziewiąta.
- Tak, śpiochu.
Podeszłam do szafy. Chciałam zobaczyć plażę i potrzebowałam czegoś lekkiego. Kitty wstała szybko.
- Muszę się pospieszyć. Lance zabiera mnie dziś do miasta. Zrobiło mi się przykro. Kitty to zauważyła.
- Ty też możesz jechać - zaproponowała. - Jesteś zaproszona.
- Żebym była piątym kołem u wozu? Nie, dzięki. Jedź sama.

Kitty pokręciła głową, rozpięła koszulę nocną i pozwoliła jej opaść na ziemię, co odsłoniło jej piersi, dwie idealne półkule.
- Jedziesz z nami - powiedziała. - Będzie jeszcze kilka osób. Lance poprowadzi jeepa. Bierzemy ze sobą Elliota i Stellę.
- Co? Jak jej się udało go do tego nakłonić?
- Nie jej. To sprawka Lancea.
Zaciągnęłam zasłony, żeby ukryć nagą Kitty przed wścibski-mi spojrzeniami mężczyzn.
- Ktoś jeszcze jedzie? - Pomyślałam o Westrym.
- Chyba nie - Kitty zajrzała do szafy. - A co, miałaś kogoś na myśli? - w jej głosie była nuta przekory.
Pokręciłam głową.
- Tylko Mary.
Kitty nie podniosła oczu.
- Nie widziałam jej wczoraj, a ty?
- Nie - odparła, wyciągając bladoniebieską sukienkę z krótkimi rękawami. - Co myślisz o tej?
- W porządku. - Bardziej niż o garderobę Kitty troszczyłam się o bezpieczeństwo naszej nowej koleżanki. - Nie sądzisz, że powinnyśmy zapytać siostrę Hildebrand, czy z Mary wszystko w porządku?
Kitty wzruszyła ramionami i podniosła parę jasnobrązo-wych butów na wysokim obcasie.
- Tak czy nie? - Nie. Włóż te niebieskie. Twoje stopy będą mi wdzięczne. Zapięła stanik i narzuciła białą jedwabną halkę, a potem
włożyła sukienkę.
- Jaki jest Lance? - zapytałam ostrożnie, zapinając jej suwak. - Lubisz go?
- Tak - odparła, choć wydało mi się, że wyczuwam w jej głosie wahanie. - Jest świetny.
- Udało ci się wczoraj zatańczyć z pułkownikiem? - Wyciągnęłam z szafy ostentacyjnie prostą brązową sukienkę.

- Tak - Kitty kiwnęła głową z uśmiechem. - Było bosko. Lance nie był zachwycony, ale nie mógł się sprzeciwić przełożonemu.
Przejrzałam się w owalnym lustrze wiszącym na ścianie. Byłam zarumieniona od porannego upału, a moje włosy wyglądały na przyklapnięte. W bitwie z wilgocią wygrała wilgoć. Wzruszyłam ramionami i spięłam włosy. I tak miałam zamiar włożyć kapelusz chroniący przed słońcem.
- Gotowa? - zapytała Kitty, chwytając torebkę. Zagapiłam się na nią. Jej policzki były delikatnie różowe,
a nie czerwone jak moje. Włosy, skręcone w jeszcze dziksze loczki niż zazwyczaj, miała twarzowo upięte na bok. Tropiki dobrze jej robiły.
- Gotowa - odparłam, wychodząc za nią z pokoju.
Lance prowadził zdecydowanie zbyt szybko. Kitty jednak to nie przeszkadzało; z wesołą miną siedziała z przodu, podczas gdy Stella, Elliot i ja tłoczyliśmy się z tyłu jak ogórki kiszone w jednym ze słojów Maxine. Nogi zaczęły mi się pocić od rozgrzanego płóciennego siedzenia. Przytrzymywałam kapelusz z całej siły, kiedy Lance dociskał pedał gazu. Usiana wybojami żwirowa droga, która biegła wzdłuż wybrzeża wyspy, była wyłącznie dla ludzi o mocnych nerwach. Unosiły się z niej gęste obłoki pyłu i żałowałam, że nie wzięłam szala.
- Najpierw do centrum miasta - oznajmił Lance tonem nadgorliwego przewodnika. - A potem na plażę.
Kitty wzniosła nieśmiały wiwat, a Stella zerknęła na Elliota, który wlepiał wzrok w drogę.
- Często jeździsz do miasta? - zapytała go miłym tonem. Nie odpowiedział.
- Pytałam, czy często jeździsz do miasta?! - powtórzyła donośniej, przekrzykując hałas silnika.

Elliot spojrzał na nas najpierw zaskoczony, a potem zmieszany, jakby nie był pewien, która z nas się odezwała i dlaczego tak głośno.
- Nie, nieczęsto - odparł zwięźle i znów przeniósł wzrok na drogę.
Stella sapnęła i skrzyżowała ręce na piersiach. Powietrze pachniało jak ziemia po deszczu. Czuć było też jakiś słodki kwiatowy zapach, którego nie rozpoznałam.
- Widzicie to? - Lance wskazał bramę posiadłości po lewej. Zwolnił, a ja ucieszyłam się, że mogę na chwilę puścić kapelusz. Jeszcze trochę i dostałabym skurczu ramienia. - To plantacja wanilii. Prawie cała wanilia na świecie pochodzi z tej wyspy.
Nie byłam pewna, czy ta wiadomość jest prawdziwa, czy Lance zmyślił ją, żeby zrobić wrażenie na Kitty, ale to, że widzę prawdziwą plantację wanilii było bardzo ekscytujące. Pomyślałam o Maxine. Czy była szczęśliwa, mieszkając dzień w dzień w posiadłości w Windermere i usługując rodzicom, słysząc niewiele więcej niż „Dzięki, Maxine" i „To wszystko, Maxine"?
- Jej właścicielem jest Amerykanin - ciągnął Lance. - Ożenił się z dziewczyną z wyspy.
Stella wytrzeszczyła oczy.
- Myślałam, że wszyscy miejscowi to kanibale.
Elliot oderwał wzrok od drogi, rzucił mi znaczące spojrzenie i znów się zamyślił.
Lance jechał dalej. Przy drodze, pod bujnymi palmami, przycupnęły prowizoryczne domostwa sklecone z resztek drewna. Czasami dostrzegaliśmy dziobiącego w ziemi koguta albo kurczaka, czasami biegające przed jednym z domów nagie dziecko, ale ani jednego dorosłego. Byłam ciekawa, jak wyglądają ci miejscowi, o których wspominała siostra Hildebrand.
Jeep objechał północny kraniec wyspy, mijając małą zatoczkę wypełnioną turkusową wodą. W pewnej odległości od brzegu stał na kotwicy statek. Wyglądało to jak scena prosto z *Robinsona Crusoe*. Chwilę później Lance zatrzymał samochód przy drodze.

- Jesteśmy na miejscu - ogłosił.
Zeszłam na pylistą ziemię i objęłam spojrzeniem tętniącą życiem scenę przed sobą; patrząc na nią, nikt by nie zgadł, że ledwie kilka kilometrów od brzegu toczy się wojna. Dookoła stały rzędy stołów zastawionych egzotycznymi owocami i warzywami, ręcznie zrobionymi naszyjnikami, paczkami papierosów i butelkami coca-coli. Skąpo ubrane sprzedawczynie o oliwkowej skórze i tajemniczych oczach siedziały za stołami i wyglądały na znudzone albo zaspane, albo jedno i drugie. Żołnierze uwijali się dookoła, wydając ciężko zarobione pieniądze na każdy drobiazg, który przyciągnął ich uwagę.
- Patrzcie - powiedziała stłumionym głosem Stella. Wskazała idącą w naszą stronę miejscową kobietę, która była
naga od pasa w górę. Włosy zaplotła w warkocz, który opadał między jej piersiami, a dookoła talii miała niebezpiecznie luźno zawiązany kawałek zielonego materiału. Zauważyłam kwiat za jej lewym uchem, a ona podeszła prosto do nas, jakby nas znała. Próbowałam odwrócić wzrok, ale jej piersi i ciemne sutki przyciągały go z magnetyczną siłą. Widać było, że Stella, Kitty i Elliot, a przede wszystkim Lance mają ten sam problem.
- Panie Lance - powiedziała kobieta, odstawiając torbę, którą niosła. Jej głos, którym mówiła z silnym akcentem, był miły i łagodny. Mogła mieć osiemnaście lat, może mniej. Kiedy schyliła się do torby i wyciągnęła paczkę papierosów, jej piersi się zakołysały. - Pana papierosy. - Podała mu je.
Skąd Lance zna tę kobietę, a raczej kobietę dziecko?
- Dziękuję - odparł Lance. Kitty zmierzyła go wzrokiem, kiedy wkładał paczkę do kieszeni koszuli. - Atea jest jedyną sprzedawczynią, która potrafi zdobyć moje lucky strikes. Co czwartek odkłada dla mnie paczkę.
Półnaga Atea, ani trochę niezawstydzona, wyglądała na dumną. Nie spuszczała z Lancea lśniących oczu.
- Przyjdziesz dzisiaj? - zapytała nieświadoma niezręcznej atmosfery.

- Nie dzisiaj, Ateo - powiedział, odprawiając ją zażenowanym ruchem głowy. - Bądź dobrą dziewczynką i zorganizuj mi ich więcej, jeśli możesz. Wrócę za kilka dni. - Wsunął monetę w jej dłoń i sięgnął po ramię Kitty. - A teraz chodźmy zobaczyć resztę targu.
- To było dziwne - oceniła Stella chwilę później, nachylając się w moją stronę.
Faktycznie, ale nie miałam zamiaru o tym z nią rozmawiać, nie w sytuacji kiedy mogła to usłyszeć Kitty.
- Co tak dziwnego w tym, że Lance kupuje papierosy od kobiety? - zapytałam zamiast tego.
Stella rzuciła mi krzywy uśmieszek, poszła dalej i zatrzymała się przy stole z kolorowymi paciorkami.
- Wszystko w porządku? - zwróciłam się do Kitty, kiedy Lance znalazł się w bezpiecznej odległości.
- Oczywiście - odparła. - Dlaczego pytasz?
Dobrze. Ta rozmowa jej nie zasmuciła. W takim razie po prostu zostawię ten temat.
- Och, bez powodu. Chciałam się tylko upewnić, czy upał ci nie doskwiera.
Nabrała do płuc głęboki haust wilgotnego tropikalnego powietrza i się uśmiechnęła.
- Nigdy nie czułam się lepiej - odparła radośnie.
Stella rozłożyła koc na plaży, pilnując, żeby ułożyć się obok Elliota.
- Umieram z głodu, a ty? - zagaiła, próbując zwrócić na siebie jego uwagę, ale on tylko wzruszył ramionami i wymamrotał:
- Zjadłem solidne śniadanie. - Potem oparł się o kawał wyrzuconego przez morze drewna i uciął dalsze próby nawiązania rozmowy, nasuwając kapelusz na oczy.

Zdążyliśmy już wtedy wrócić na drugi koniec wyspy, w okolice bazy. Choć wybraliśmy na piknik miejsce w cieniu palm, od białego piasku wciąż bił żar. Nie mogłam się na nim wygodnie umościć. Kitty wyciągnęła bochenek chleba, zabawną kiść miniaturowych bananów, cztery butelki coca-coli i kawałek sera -nasz lunch, sklecony naprędce na targu.
Początkowo jedliśmy w ciszy, obserwując fale rozbijające się o brzeg. Potem Kitty wskazała morze i powiedziała to, co wszyscy czuliśmy:
- Trudno uwierzyć, że gdzieś tam trwa wojna. Ten zakątek świata jest zbyt piękny, żeby go zniszczyć.
Kiwnęłam głową, sięgając po jeszcze jednego banana. Smakowały inaczej niż banany w domu: były nieco bardziej cierpkie, z posmakiem cytryny.
- Ale trwa - oznajmiłam trzeźwo.
- I to poważna - dodał Lance. - Ledwie wczoraj Japońce zestrzelili trzy nasze samoloty.
Stella wyglądała na zmartwioną.
- Sądzicie, że walki będą się toczyć na naszej wyspie?
- Myślę, że to możliwe - odparł poważnym tonem Lance. -Choć pułkownik Donahue tak nie uważa. Jest głupcem. Mówię wam, będziemy słodko spali, a Japońce nadlecą nad wyspę i zbombardują ją, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewać.
Kitty podniosła zmartwione oczy, a potem pokręciła głową.
- Pułkownik Donahue ochroni tę wyspę.
- Skoro tak mówisz - wzruszył ramionami. Potem uśmiechnął się z wyższością i mruknął: - Sam lepiej poprowadziłbym tę operację, i to z zawiązanymi oczami.
Było to zbyt chełpliwe zdanie jak na mężczyznę w wieku dwudziestu pięciu lat, ale ta arogancja najwyraźniej nie zniechęciła Kitty: położyła mu głowę na kolanach. Po jego uśmiechu widziałam, że to mu się spodobało.
Elliot zaczął chrapać. Stella się nachmurzyła.

- Chyba pójdę na spacer - oznajmiłam, wstając. Kitty miała zamknięte oczy i udawała, że śpi. Poprawiłam rondo kapelusza i zrzuciłam buty. - Niedługo wrócę - dodałam, choć nikt chyba nawet na mnie nie spojrzał.

Ruszyłam plażą, od czasu do czasu zatrzymując się nad kamieniem lub muszlą albo z niedowierzaniem przyglądając się palmom, które rosły poziomo, sięgając w stronę morza. Ich pnie wyrzeźbiły lata wiatru i tropikalnych burz, ale ja wolałam myśleć, że rosną tak, ponieważ wzywa je morze. Przypomniały mi się słowa Westryego o tym, jak wyspa zmienia ludzi. Czy będę w stanie oprzeć się jej wpływowi?

Pomaszerowałam dalej, mocniej odpychając się stopami od piasku. Po ranku spędzonym na targu cieszyłam się, że jestem sama ze swoimi myślami i cichym szumem fal. Miałam wrażenie, że pusta plaża ciągnie się w nieskończoność. Podeszłam bliżej wody, rozkoszując się dotykiem chłodnego, przesyconego morzem piasku. Każdy mój krok zostawiał po sobie płytkie wgłębienie.

Jakiś ptak zaskrzeczał ze skały widocznej kilka kroków przede mną. Zauważyłam przy niej inne ślady kroków: mniej wyraźne, starsze, ale wciąż względnie świeże. Czyje?

Niemądrze byłoby za nimi podążyć - powiedziałam sobie. A co, jeśli to jakiś miejscowy? Kanibal? Pokręciłam głową. Byłam sama. Powinnam zawrócić. A jednak zwabiły mnie i poszłam dalej, za zakręt. Jeszcze tylko kilka kroków.

Ślady urwały się przy pogniecionym beżowym kocu, przyciśniętym do piasku tylko książką. Od razu rozpoznałam tkaninę, ponieważ taki sam przydziałowy koc leżał na moim łóżku w barakach. Ale kto tu jest?

Odwróciłam się szybko, kiedy usłyszałam szelest w gęstych zaroślach za palmami rosnącymi na skraju plaży.

- Cześć - powiedział mężczyzna, który wyłonił się jakby znikąd kilkaset kroków ode mnie. Niósł wielki liść palmy, który zasłaniał jego twarz, ale kiedy go odsunął, dostrzegłam, że to Westry.

- Cześć - odparłam nieco zaskoczona, ale zadowolona, że ominęło mnie bardziej niebezpieczne spotkanie.
- Śledziłaś mnie? - zapytał żartobliwie.
Zrobiło mi się głupio, a potem poczułam przypływ irytacji.
- Oczywiście, że nie! - odparłam głosem pełnym dumy. Nie może sobie pomyśleć, że za nim biegam.
- Po prostu się przechadzałam... a właśnie, muszę już iść. Przyjaciele na mnie czekają.
Westry się uśmiechnął.
- Och, nie idź - powiedział, wciskając w piasek łodygę liścia palmowego i siadając pod nim. - Spójrz, jaki wspaniały cień. Może usiądziesz? Choć na chwilkę?
Nie sposób było się oprzeć jego uśmiechowi. Zawahałam się, a potem poczułam, że kąciki moich ust same się unoszą.
- No dobrze - odparłam, uśmiechając się wbrew własnej woli. - Tylko na chwilę.
- Ładny dzień - powiedział i oparł się na łokciach.
- Faktycznie. - Obciągnęłam skraj sukienki.
- Co cię sprowadza na moją plażę?
- Twoją plażę?
- Tak - oznajmił rzeczowo. - To ja ją odkryłem. Roześmiałam się.
- Ale z ciebie numer.
- Wiesz, to dziewicze wybrzeże - powiedział Westry. -Oczywiście miejscowi są tu od niepamiętnych czasów i to miejsce zawsze będzie należało do nich. Ale reszta świata jeszcze nie wpadła na jego trop. Jak na razie ten kawałek nieba na ziemi jest mój. - Zerknął na mnie. - A właściwie nasz. Możesz sobie wziąć połowę. - Och, to niebywale szczodre z twojej strony - dałam się wciągnąć w żart.
- Wiesz, co zrobię, kiedy wojna się skończy? -Co?
- Kupię ten odcinek plaży - odpowiedział poważnym tonem. - Tyle, na ile będzie mnie stać. Zbuduję dom i założę

rodzinę, właśnie tutaj. Moja żona i ja będziemy każdego ranka oglądać z ganku wschód słońca, a nocą słuchać, jak fale rozbijają się o brzeg.
- Wszystko to brzmi niezwykle romantycznie, ale myślę, że blefujesz. Naprawdę chciałbyś mieszkać tutaj po tym wszystkim? Po wojnie? - wskazałam Pacyfik, gdzie w każdej chwili mogły zająć pozycję japońskie okręty wojenne.
Westry przytaknął.
- Jasne. To raj.
Przypomniałam samej sobie w duchu, że to faktycznie raj.
- Życie nie czeka na ciebie w domu?
- Nie - odparł bez wahania. - Ale na ciebie tak.
To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Widział pierścionek na moim palcu.
- Tak - odpowiedziałam szczerze.
- Kochasz go?
- Co to za pytanie?
- Proste - uśmiechnął się szeroko. - A zatem jaka jest odpowiedź?
- Oczywiście, że go kocham - odpowiedziałam, odwracając wzrok. Dlaczego on tak na mnie patrzy?
- To dobry człowiek? Kiwnęłam głową.
- W przeciwnym razie nie wychodziłabym za niego.
Fale podkradły się bliżej naszego koca i Westry wstał, a ja poszłam jego śladem.
- Lepiej przenieśmy nasz obóz albo Neptun nas pochłonie. Uśmiechnęłam się.
- Naprawdę powinnam wracać. Czekają na mnie przyjaciele.
- Odprowadzę cię.
W drodze powrotnej wybrzeże wyglądało inaczej, może dlatego że teraz patrzyłam na nie z perspektywy Westry ego. Wyobraziłam sobie jego życie na wyspie za wiele lat, jego dom i żonę, dwoje czy troje bosych dzieci, i uśmiechnęłam się w duchu.

- Jak twoja ręka? - zapytałam.
Podniósł dłoń, a ja chwyciłam ją delikatnie, czując gdzieś głęboko dreszcz, który kazałam sobie zlekceważyć.
- Chyba się wyliżę - zakpił.
- Jest brudna - zbeształam go. - Kiedy wrócimy, będę musiała zmienić ci opatrunek. Ryzykujesz zakażenie.
- Tak, siostro - odparł rozbawionym tonem.
Chwilę później Westry wskazał coś w zaroślach, gdzie palmy rosły gęsto. Podeszliśmy bliżej i zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie kończyła się plaża, a zaczynała roślinność. Wyglądała dokładnie tak, jak zawsze wyobrażałam sobie dżunglę: pod sklepieniem potężnych, rzucających cień liści śpiewały ptaki i krzyczały zwierzęta. - Widzisz?
- Co? - pokręciłam głową.
- Przyjrzyj się.
- Nie - wyszeptałam. - Nic nie widzę.
Westry sięgnął po moją rękę, a ja mu ją podałam - tylko dlatego że bałam się, co może czyhać dalej - i odeszłam wraz z nim kilka kroków od plaży. Dopiero wtedy zobaczyłam to co on: krytą strzechą chatkę tuż za gąszczem. Choć zbudowano ją równie niedbale jak domy przy drodze, miała niepowtarzalny czar. Ściany zrobiono z pędów bambusa, w których ktoś starannie wyciął dziury, rodzaj okien wychodzących na ocean. Na pojedynczym zawiasie kołysały się niewielkie drzwi, skrzypiąc na popołudniowej bryzie. - Nie wiem, czy powinniśmy tu być - wyszeptałam.
- Dlaczego nie? - zapytał z szelmowskim uśmiechem. - Skoro ją znaleźliśmy, musimy sprawdzić, co jest w środku. Zanim zdążyłam zaprotestować, Westry stanął na niskim stopniu prowadzącym do drzwi. Drewno zatrzeszczało pod jego butem, a ja odskoczyłam nieco, wystraszona.
Zdjął z zawiasu zrujnowane drzwi i odstawił je na piasek, zajrzał do środka, po czym odwrócił się do mnie i puścił oko.

- Droga wolna.
Pomógł mi wejść i w milczeniu rozejrzeliśmy się po wnętrzu. Od środka ściany wyłożono posplatanymi w piękny wzór liśćmi palmowymi, które wyblakły do barwy karmelu. Było to idealne tło dla krzesła z ciemnego mahoniu i biureczka z szufladą. Westry sięgnął do niej i wyciągnął książkę, kilka francuskich monet i banknotów, a także kawałek pożółkłego, zwiniętego od wilgoci papieru. Podniósł go, żebym mogła się przyjrzeć.
- Czytasz po francusku? Pokręciłam głową.
- Żałuję, że nie uważałam bardziej w szkole.
- Ja też - wsunął kartkę z powrotem do szuflady.
Mimo pokrywającej je warstwy kurzu pojedyncze łóżko wyglądało schludnie, jakby ktoś obudził się pewnego ranka i pościelił, spodziewając się, że wróci, choć tak się nie stało.
Wędrowałam wzrokiem po wnętrzu, patrząc wszędzie, tylko nie na Westry ego. Oto ja, zaręczona kobieta, znalazłam się w sypialni sam na sam z żołnierzem, o którym nic nie wiedziałam.
Z zamyślenia wyrwał mnie widok pająka wielkości mojej ręki, który wypełzł spod biurka i smyrgnął przez otwarte drzwi, co przeraziło mnie tak, że wskoczyłam na łóżko.
- Widziałeś to? - wrzasnęłam, pewna, że w każdej chwili pojawi się kolejny.
- Są nieszkodliwe - zapewnił mnie ubawiony Westry. - Poza tym żywią się moskitami, więc powinniśmy im nakrywać do stołu.
Ostrożnie zeszłam z łóżka.
- Jak sądzisz, kto tu mieszkał? Westry wyjrzał w stronę morza.
- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że... - odwrócił twarz z powrotem i zmierzył uważnym spojrzeniem wnętrze domku - rozbitek.
Brzmiało to przekonywająco.
- Ale co stało się z jego statkiem?

- Może zatonął.
- Jak zatem odzyskał papier i tę książkę? - Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam tom oprawny w ciemnobrązową skórę.
Westry przytknął palec do podbródka, jakby kontemplując los naszego rozbitka.
- Może miał worek z odrobiną jedzenia. - Wskazał lampę stojącą na biurku. - Latarenkę, tę książkę, puszkę sucharów. Szczęściem natrafił na kawał drewna, z pomocą którego dryfował, aż dotarł na wyspę.
- Książka by zmokła - powiedziałam.
- Możliwe - przyznał Westry. - Ale może wysuszył ją na słońcu. - Otworzył książkę i faktycznie okazało się, że kartki są pokryte plamami po wodzie. - Widzisz?
Skinęłam głową.
- Dokąd mógł płynąć? To oczywiste, że był Francuzem.
- Niezbyt bogatym - dodał Westry, wskazując niewielką garść monet w szufladzie.
- Może był piratem? Westry pokręcił głową.
- Domowe wygody nie interesowałyby pirata. Zerknęłam na zasłonki w oknach; były wystrzępione, ale
zachowały wyraźny bordowy kolor, jakby ktoś namoczył materiał w winie.
- No dobrze, mamy więc ubogiego rozbitka z Francji, który lubi czytać - podsumowałam.
- I pić - dodał Westry. Podniósł zakurzoną zieloną butelkę z korkiem. - Czerwone wino.
- Ceni też sztukę - dodałam, ściągając kawałek grubej tkaniny z obrazu zawieszonego nad łóżkiem. Przedstawiał frapującą scenę: domek na plaży, bardzo podobny do tego, w którym się znaleźliśmy, przycupnięty między niemożliwie błękitną wodą a krzakiem hibiskusa o jaskrawożółtych kwiatach. W oddali stały dwie postaci.
- Mój Boże - szepnął Westry. - Jaki piękny.
- Znasz się dobrze na sztuce?

- Trochę. Niech się przyjrzę. - Wszedł na łóżko. - Wygląda... jakby znajomo - dodał, drapiąc się w głowę.
Matka szczyciła się tym, że zaznajomiła mnie z francuskimi impresjonistami, a jednak moja znajomość historii sztuki okazała się absolutnie niewystarczająca. Mimo to upajałam się myślą o tym, że znajdujemy się na skraju jakiegoś odkrycia.
- Myślisz, że ten malarz mieszkał tutaj?
- Możliwe - Westry nie odrywał wzroku od płótna. - W którym roku wydano tę książkę?
Przerzuciłam pierwsze strony, aby odnaleźć datę. -O, jest. W 1877.
- To mógł być jeden z mistrzów impresjonizmu - powiedział.
- Nie mówisz chyba poważnie - odparłam oniemiała.
- To możliwe - oświadczył z uśmiechem. - Jestem prawie pewien, że widziałem ten obraz w albumach... albo coś podobnego. Ta wyspa, jak wszystkie wyspy na Pacyfiku, była bardzo popularna wśród francuskich artystów. To mógł być którykolwiek z gigantów. - W oczach Westryego widać było błysk szalonej ekscytacji. - Wiesz, co to znaczy, prawda?
- Co takiego?
- Musimy zaopiekować się tym miejscem.
- Ale jak?
- To będzie nasz projekt na czas pobytu tutaj. Odnowimy ten domek.
- Przydałoby się go porządnie wyczyścić.
- I zamontować nowe drzwi - dodał Westry.
- A te zasłony wyglądają jak szmaty. Mogę uszyć nowe.
- Czyli wchodzisz w to? - patrzył na mnie nieco szelmowsko. Dlaczego nie? Będę miała się czym zająć, kiedy Kitty będzie z Lanceem.
- Wchodzę w to - oznajmiłam. - Ale jak uda nam się znaleźć choć trochę czasu i jak możemy się tu dostać?

- Piechotą - odparł po prostu. - Baza jest niecały kilometr stąd. Można tu wyskoczyć i wrócić, zanim ktokolwiek się zorientuje. Do głównej drogi prowadzi ścieżka, więc przywiozę narzędzia i drewno jeepem. Będzie trzeba obmyślić jakiś plan, ale poradzimy sobie.
Westry odwrócił się w stronę drzwi, a słaba deska w podłodze zatrzeszczała i ugięła się pod jego ciężarem. Klęknął i ją podniósł, odsłaniając rozpadające się podłoże i niewielką wnękę.
- O, proszę, to będzie nasza skrzynka pocztowa. Za każdym razem kiedy przyjdę tu sam, zostawię ci list, a ty możesz robić to samo.
Serce zabiło mi mocniej z podniecenia wywołanego domkiem, artystą, perspektywą listów zatkniętych pod podłogę, ale przede wszystkim mężczyzną, który trzymał klucz do tego wszystkiego.
Westry zawinął obraz w tkaninę, która go wcześniej chroniła, i ostrożnie wsunął całość pod łóżko.
- Jeszcze tylko jedno - oznajmił. -Co?
- Nie możemy o tym miejscu nikomu powiedzieć.
Z przykrością pomyślałam o ukrywaniu tak cudownego znaleziska przed Kitty, a mimo to nie potrafiłam sobie wyobrazić jej tutaj, w miejscu, które już - po ledwie kilku chwilach - robiło na mnie wrażenie wyjątkowego, niemal świętego. Dotknęłam broszki od Kitty i poczułam przypływ wyrzutów sumienia. Czy to niewłaściwe, że chcę zachować tę chatkę dla siebie, szczególnie po tym jak przyrzekłyśmy nie mieć przed sobą tajemnic?
- Co ty na to? - ciągnął Westry. Pozwoliłam mojej dłoni opaść i kiwnęłam głową.
- Obiecuję - odparłam, przekonując samą siebie, że Kitty nie musi wiedzieć... a przynajmniej jeszcze nie teraz. - Nikomu nie powiem.
- Dobrze. Odprowadzić cię?

- Tak. Pewnie zastanawiają się, czy nie utonęłam.
- Albo czy nie pożarł cię rekin - poddał Westry z uśmiechem. Piękno wyspy nie ograniczało się do turkusowej wody ani
zielonych wzgórz. To piękno było wyłącznie powierzchowne. Prawdziwy podziw budziły związane z tym miejscem opowieści. Za każdą krzywizną wybrzeża czekała kolejna.

ROZDZIAŁ PIATY

Westry wygląda na miłego - powiedziała Kitty później tego dnia, kiedy tylko zamknęłyśmy drzwi naszego pokoju.

- Jest w porządku - odparłam niezobowiązująco, zdejmując kapelusz i odkładając go na górną półkę szafy.

- Skąd pochodzi?

- Nie jestem pewna. Rozmawialiśmy tylko chwilę. Był na tyle miły, że mnie odprowadził.

Nawet nie podnosząc oczu, wyczułam, że Kitty się uśmiecha.

- Wygląda na to, że ty i Lance nieźle się dogadujecie - zmieniłam temat.

- Tak - odparła Kitty, opierając się o wezgłowie swojego łóżka. - Lubię go. I to bardzo. Tylko... - urwała i pokręciła głową -tylko nie podoba mi się, jak wyraża się o pułkowniku Donahue. Nie sądzisz, że powinien okazywać mu więcej szacunku?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam jeszcze, kto byłby dla Kitty mniejszym złem: arogancki żołnierz czyjego apodyktyczny przełożony.

- No cóż - ciągnęła Kitty - to pewnie nic ważnego. Lance ma tyle niezwykłych zalet.

Na przykład skłonność do brawury. I to, jak lata za miejscowymi kobietami. I arogancję.

- Tak - powiedziałam na głos - mnóstwo.
- Anne - w głosie Kitty była nutka nieśmiałości. - Nie miałam jeszcze okazji ci tego powiedzieć, ale podczas zabawy pułkownik Donahue...
Rozległo się głośne, szybkie stukanie do drzwi i obie z zaskoczeniem podniosłyśmy głowy.
- Tak? - przekręciłam gałkę. Na zewnątrz stała zdyszana Liz.
- Mary jest w szpitalu. Chodźcie, szybko. Podążyłyśmy za Liz schodami i poza barak, a kiedy tylko znalazłyśmy się na ścieżce, przyspieszyłyśmy. Szpital nie był daleko, ale przybyłyśmy na miejsce bez tchu.
Nad łóżkiem Mary stała siostra Hildebrand, a także doktor Livingston, łysiejący okularnik w średnim wieku. Mary była nienaturalnie blada. Oczy miała zamknięte, ale nieznaczny ruch jej klatki piersiowej wskazywał, że wciąż oddycha.
- Dobry Boże - szepnęłam. - Co się stało?
Lekarz sięgnął po strzykawkę i wstrzyknął w ramię Mary przezroczysty płyn. Nie zareagowała, kiedy igła przebiła jej skórę.
- Jedna z kobiet znalazła ją w pokoju. Zemdlała przy łóżku - powiedziała siostra Hildebrand. - Leżała tam od co najmniej szesnastu godzin. Malaria. Musiała się zarazić pierwszego dnia na wyspie.
- Malaria - powtórzyłam. Słowo to brzmiało tak obco, a jednak choroba była rzeczywista, groziła życiu wspaniałej dziewczyny, którą dopiero poznałyśmy, która miała przed sobą przyszłość, która przybyła na południowy Pacyfik, aby zacząć od nowa, a nie umrzeć.
- Gorączka ustąpiła - stwierdził doktor Livingston - obawiam się jednak, że choroba osłabiła jej serce. Teraz możemy tylko czekać.
Ręce mi się trzęsły.
- Ale wyzdrowieje - powiedziałam. - Przetrwa to. Musi to przetrwać.

Doktor Livingston odwrócił wzrok.
Pomyślałam o Mary, biednej Mary, wysokiej, może trochę zbyt wysokiej; jej nieco krzywych zębach; jej złamanym sercu. Narzeczony ją porzucił, a ona czuła się samotna - tak nam powiedziała. Nie, nie pozwolę jej umrzeć samej.
- Kitty - rzuciłam - biegnij do baraków, przynieś mi okulary i wszystko do czytania, co znajdziesz. Weź przeklęty „War Digest", jeśli nie będzie nic innego, cokolwiek znajdziesz.
Kitty przytaknęła.
- Będziemy nad nią czuwać - oznajmiłam. - Czy mogę przysunąć sobie łóżko i zostać tutaj dziś na noc? - zapytałam siostrę Hildebrand.
Zgodziła się.
Kitty wróciła z dwoma magazynami, trzema książkami - jedną od Liz, drugą od Stelli - numerem „War Digest" oraz podręcznikiem pielęgniarstwa na wszelki wypadek.
- Dobrze - powiedziałam, oglądając książkę o podniszczonym grzbiecie. - Będziemy jej czytać na zmianę. Nie przestaniemy, dopóki nie odzyska przytomności, albo...
Kitty chwyciła mnie za rękę.
- Anne, nie uratujesz jej, jeśli ona...
- Nie pozwolę jej umrzeć w samotności - otarłam łzę. - Nikt na to nie zasługuje.
Kitty przytaknęła.
Odłożyłam książkę i sięgnęłam po numer „Vogue'a" z Ritą Hayworth na okładce. Otworzyłam go na pierwszej stronie i zaczęłam czytać treść reklamy: „Marzysz o pięknej figurze na wiosnę? Jeśli wolisz nie wydawać fortuny na ubrania i chcesz nosić standardowe rozmiary z szykiem i elegancją, już teraz zacznij pracować nad pozbyciem się zimowego tłuszczyku. Z pomocą branych co wieczór tabletek Bile Beans możesz »schud-nąć przez sen« bezpiecznie i stopniowo..."

Przez cztery godziny czytałam każde słowo na każdej stronie magazynu, aż zaczęło mi się dwoić w oczach. Kitty mnie zastąpiła; kiedy zaszło słońce, włączyła lampkę na stole obok łóżka. Kilka godzin później, gdy zachrypła, ponownie przekazała lekturę mnie.
Zdążyłyśmy przeczytać trzy magazyny i trzy czwarte powieści, zanim pierwsze promienie słońca zaświeciły przez okno szpitala. To wtedy powieki Mary zaczęły drgać.
Uniosła je powoli, po czym znów opuściła, a my przyglądałyśmy się z ogromnym wyczekiwaniem przez kilka chwil, aż poruszyła ręką, potem nogami, a w końcu znów otworzyła oczy i tym razem spojrzała prosto na mnie.
- Gdzie ja jestem? - zapytała słabym głosem.
- W szpitalu - odparłam i odsunęłam z jej twarzy kosmyk włosów koloru słomy. - Nabawiłaś się malarii, kochanie - ciągnęłam, przełykając łzy. - Ale wszystko będzie dobrze.
Mary rozejrzała się po pokoju, a potem znów spojrzała na Kitty i mnie.
- Miałam przedziwny sen. Próbowałam pójść w stronę jasnego światła, ale towarzyszył mi jakiś głos. Wciąż wabił mnie z powrotem.
- Zawróciłaś?
- Nie chciałam - odparła. - Chciałam iść przed siebie, ale ten głos wzywał mnie przy każdym kroku.
- To dobrze - przyłożyłam jej do ust szklankę wody, a potem ułożyłam jej chłodne ramiona pod kocem. - Kochanie, będziemy miały mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać, ale teraz musisz odpocząć.

❖ ❖ ❖

To, jak zaopiekowałyśmy się Mary, nie skłoniło siostry Hildebrand do pochwalenia naszego talentu pielęgniarskiego, ale zwolniła nas tego dnia z pracy, a Kitty i ja ucieszyłyśmy się na myśl o odpoczynku.

Spałam do południa, kiedy to obudził mnie dzwonek wzywający na obiad do kantyny. Burczało mi w brzuchu, ale wciąż byłam wykończona i kusiło mnie, żeby zostać w łóżku.
- Kitty? - odezwałam się, nie podnosząc głowy. - Nie śpisz?
Odwróciłam ciężką głowę, ale zamiast pogrążonej we śnie przyjaciółki zobaczyłam ciasno naciągniętą na łóżko narzutę i schludnie oparte o wezgłowie poduszki.
Gdzie ona jest? Usiadłam i przeciągnęłam się, po czym dostrzegłam kartkę na toaletce.
Anne,
nie chciałam cię budzić. Wyszłam o 10 na kajaki z Lanceem. Wrócę po południu. Uściski
Kitty
Poszła popływać z Lanceem. Było to oczywiście całkowicie normalne, a jednak poczułam niepokój. Dostałyśmy wolny dzień ledwie kilka godzin temu, kiedy zdążyli to zaplanować? Pomyślałam o domku na plaży i zdałam sobie sprawę, że w naszej małej sypialni już jest gęsto od tajemnic.
Dzwonek zadzwonił po raz drugi i ostatni. Gdybym ubrała się szybko i pobiegła, może bym zdążyła. Zobaczyłam jednak na toaletce lśniące czerwone jabłko i wpadłam na znacznie lepszy pomysł.
***
Zarzuciłam na ramię plecak z jabłkiem, kawałkiem chleba przyniesionym przez Kitty z kantyny oraz menażką pełną wody, a potem przemknęłam przed wejściem do szpitala, zatrzymując się na moment, aby zerknąć przez otwarte okno na pracującą w środku Stellę, Liz i kilka innych pielęgniarek. Wyglądały na - w najlepszym razie - znudzone. Kilka z nich męczyło się z żarówką,

którą trzeba było wymienić, a inna mała grupka kręciła się dookoła jedynego pacjenta, który, zdaje się, otarł tylko kolano. Po jego uśmiechu widać było, że ta sytuacja go cieszy.
Nie takiej wojny się spodziewałam. Jednak czekały nas zmiany. Słyszałam plotkę, że pułkownik Donahue planuje sporą operację. Zastanawiałam się, jaki będzie miała ona wpływ na naszą pracę, nasz świat.
Ruszyłam w stronę ścieżki prowadzącej na plażę. Westry wspomniał, że bungalow znajduje się ledwie niecały kilometr od bazy. Miałam nadzieję, że się nie mylił.
Szłam szybko i nierzadko oglądałam się przez ramię. Co pomyśleliby ludzie, gdyby zobaczyli, że tak wymykam się z bazy, i to sama? To nie było w stylu Anne Calloway.
Tuż za zakrętem dostrzegłam strzechę domku ukrytego w zaroślach, dokładnie tam gdzie go zostawiliśmy. Kiedy się zbliżyłam, usłyszałam dźwięk piły do drewna.
Serce zabiło mi mocniej. Westry tu jest.
- Hop, hop! - zapukałam oficjalnie w ścianę obok miejsca, gdzie wcześniej wisiały niepewnie drzwi. - Jest tam kto?
Westry podniósł oczy, otarł czoło i strzepnął z dłoni trociny.
- O, cześć - powiedział. - To naprawdę ty czy tylko przywidzenie? Spędziłem tutaj całe rano bez wody i nie wiem, czy mam halucynacje, czy w drzwiach rzeczywiście stoi piękna kobieta. Proszę, powiedz mi, że to to drugie.
Uśmiechnęłam się promiennie.
- Nie masz halucynacji - wyciągnęłam z plecaka menażkę. - Napij się.
Westry wypił spory łyk, wypuścił powietrze i oddał mi menażkę.
- Już prawie naprawiłem drzwi. Nie pasowały do framugi, musiały się wypaczyć od deszczu. Trzeba było odciąć z boku spory kawałek. Widzisz? Udało mi się znaleźć stare zawiasy w składzie z zaopatrzeniem. - Podniósł kawałki metalu z dumą, jakby były bardzo cenne. - Nasz bungalow musi mieć porządne, działające drzwi.

Uśmiechnęłam się. Podobała mi się myśl o tym, że jest nasz. Wyciągnęłam z torby boraks i szmaty.
- Pomyślałam, że tu posprzątam - oznajmiłam.
- Cieszę się, że dołączysz do grupy roboczej - powiedział Westry i wrócił do piłowania.
O trzeciej po południu z podłogi można byłoby jeść, a drzwi znajdowały się na miejscu.
- Prawie bym zapomniał - wyciągnął z plecaka poobijaną mosiężną gałkę. - Zamontowanie jej zajmie mi tylko chwilkę.
Patrzyłam, jak przykręca gałkę, starannie wpasowując śruby w odpowiednie otwory.
- Nasz klucz - powiedział, podnosząc lśniący kawałek stali. -Znajdźmy dla niego odpowiednią kryjówkę.
Wskazałam pozbawione szyb okna.
- Przecież każdy, kto chce, może po prostu wgramolić się do środka.
Westry kiwnął głową.
- Jasne. Wkrótce zainstalujemy okna. Poza tym każdy dom potrzebuje zamka. Pozostaje tylko kwestia, gdzie ukryć klucz.
Wyszłam z nim przed chatkę i rozejrzeliśmy się po okolicach wejścia.
- Może tutaj? - zasugerowałam, wskazując łachę piasku. -Moglibyśmy go tu zakopać.
Westry pokręcił głową.
- To pierwsze miejsce, gdzie każdy by poszukał. Jest jak wycieraczka, każdy oszust wie, żeby pod nią sprawdzić najpierw. Czekaj... - urwał, kiedy przyszło mu coś do głowy. Wbiegł do środka i wrócił z książką, którą wyciągnął z plecaka. - Użyjemy tego.
- Książki?
- Tak - odparł, wyciągając wstążkę przymocowaną do grzbietu. Można było dzięki niej zaznaczyć stronę, na której się skończyło, ale Westry miał inne plany. Zawiązał wstążkę ciasno dookoła klucza i wsunął go między kartki książki. Potem schował ją pod schodkiem.

- O, proszę. Nasza skrytka. Fale rozbijały się głośno o brzeg.
- Zaczyna się przypływ - powiedział. - Chciałabyś popatrzeć ze mną?
Zawahałam się.
- Chyba powinnam się zbierać. - Nie zostawiłam notki dla Kitty. Nie chciałam, żeby się martwiła.
- No co ty, możesz zostać jeszcze kilka chwil - powiedział Westry.
- Niech będzie - ustąpiłam. - Tylko chwilę.
- Proszę - wskazał kłodę przyniesioną przez morze leżącą kilka kroków dalej. - Nasze siedzisko.
Chwycił butelkę z winem, którą znalazł poprzedniego dnia w chatce, i cynowy kubek z plecaka, po czym usiadł obok mnie na piasku. Oparliśmy wygodnie głowy o drewno wygładzone przez miażdżącą siłę fal.
- Wznoszę toast - oznajmił, wlewając wiekowe wino do kubka - za panią domu na plaży.
Podał mi naczynie, a ja wychyliłam ostrożnie łyk i wykrzywiłam odruchowo twarz.
- Za skwaśniałe, stuletnie wino.
W oddali śpiewał ptak, a my siedzieliśmy tak razem zahipnotyzowani ruchem fal.
- Nic o tobie nie wiem - stwierdziłam, odwracając się do niego raptownie.
- A ja nie wiem nic o tobie - odparł.
- Ty pierwszy.
Westry kiwnął głową i wyprostował plecy.
- Urodziłem się w Ohio. Nie mieszkaliśmy tam długo. Matka zmarła na szkarlatynę, a ojciec i ja przenieśliśmy się na zachód, do San Francisco. Był inżynierem, pracował na kolei. Wlekłem się za nim, co miesiąc chodziłem do innej szkoły.
- To niezbyt gruntowne wykształcenie. Westry wzruszył ramionami.

- Wyszkoliłem się lepiej niż wielu innych. Zobaczyłem kraj. Nauczyłem się dużo o kolei.
- I co teraz? Mówiłeś, że po tym wszystkim chcesz wrócić tutaj, na wyspę, ale na pewno masz inne aspiracje, inne rzeczy, którymi chcesz się wcześniej zająć?
Spojrzenie dużych oczu Westryego było pełne życia, pełne nadziei na przyszłość.
- Nie jestem pewien - powiedział. - Może wrócę do szkoły i zostanę inżynierem, jak tato. Może pojadę do Francji, nauczę się malować jak wielcy impresjoniści. A może po prostu zostanę tutaj - wskazał głową bungalow.
- Och, nie możesz tego zrobić. Jakież to byłoby samotne życie!
- Dlaczego samotne? - sprzeciwił się. - Miałbym wszystko, o czym bym zamarzył. Dach nad głową. Łóżko. Najpiękniejsze widoki na świecie. Niektórzy mogliby uznać to miejsce za raj.
Przypomniało mi się, jak wspomniał, że zamieszka z rodziną właśnie na tym kawałku plaży.
- Ale co z towarzystwem? - zapytałam trochę nieśmiało. -Co z... miłością?
Westry uśmiechnął się szeroko.
- Tobie łatwo mówić. Ty to już masz.
Spojrzałam na własne stopy i wsunęłam jedną z nich w piasek, który był tak gorący, że czułam go przez skórę buta.
- No cóż - ciągnął - pewnie ją znajdę. Gdzieś tam jest.
- A jeśli nie? - zapytałam.
- Znajdę - odparł z pewnym siebie uśmiechem. Odwróciłam szybko twarz.
- A teraz ty opowiedz o sobie.
Szarpałam za nitkę zwisającą z mojego plecaka, aż cisza zrobiła się niezręczna.
- No cóż, nie ma za bardzo o czym opowiadać.
- Na pewno jest o czym - zachęcił mnie Westry. - Każdy ma swoją opowieść.

Pokręciłam głową.
- Urodziłam się w Seattle. Spędziłam tam całe życie. Zdobyłam dyplom pielęgniarki i teraz jestem tutaj.
- No i proszę - oznajmił dramatycznym tonem. - Całe życie zawarte w trzech zdaniach.
Poczułam, że płoną mi policzki.
- Przepraszam. Moje życie nie jest chyba tak ekscytujące jak twoje.
- Myślę, że nie mówisz wszystkiego - zmierzył mnie wzrokiem. - Mężczyzna, z którym jesteś zaręczona... - ciągnął, wskazując mój pierścionek - dlaczego nie wyszłaś za niego przed wyjazdem?
Jak śmie mnie o to pytać?
- Ponieważ... - mój głos ucichł i nie odpowiedziałam. Pomyślałam o wszystkich praktycznych powodach: ponieważ nie chciałam przyspieszać całej sprawy; ponieważ matka marzyła o wielkim przyjęciu w hotelu Olympic; ponieważ... A jednak żaden z tych powodów nie był wystarczający. Gdybym zechciała, mogłam pójść po prostu do urzędu miasta, jak zasugerował Gerard, i załatwić sprawę. Mogłam zostać panią Gerardową Godfrey bez przeszkody w postaci rocznej odysei na południowy Pacyfik, która nas rozdzieliła. Dlaczego tak się nie stało?
- Widzisz? - ciągnął Westry. - Masz jakąś opowieść.
- Zapewniam cię, że doszukujesz się dramatu tam, gdzie go nie ma.
Westry puścił do mnie oko.
- Zobaczymy.
♦ ♦ ♦
Kiedy wróciłam, Kitty nie było w pokoju, więc na zapowiadający kolację dzwonek z kantyny wyszłam z baraku sama. Po drodze wstąpiłam do szpitala odwiedzić Mary i z radością zobaczyłam, że siedzi na łóżku i pije sok pomarańczowy przez słomkę.

- Cześć, Anne - mruknęła. Jej głos, choć wciąż dość słaby, brzmiał energiczniej. Miał w sobie siłę, której jeszcze rano był pozbawiony.
- Cześć. Idę na kolację. Chciałam tylko zapytać, czy coś ci -przynieść. Pewnie przykrzy ci się już płynna dieta.
- To prawda - odparła. - Byłoby cudownie zjeść bułkę z masłem.
- Zajmę się tym - odpowiedziałam z uśmiechem. Wróciłam na ścieżkę prowadzącą do kantyny; wiodła obok
krzaka hibiskusa, z którego Kitty i j a zerwałyśmy kwiaty pierwszego wieczora. Szłam dalej, aż dostrzegłam rekreacyjną część nabrzeża. Na wodzie unosił się tuzin zacumowanych kajaków, które czekały, aby żołnierze na przepustce popłynęli nimi na morze. Zdarzało się to nieczęsto, choć na Bora-Bora było całkiem bezpiecznie - jak na razie.
Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam sylwetki dwojga ludzi wychodzących z kajaka. Zmierzwione loki jednej z tych osób mogły należeć tylko do Kitty, ale mężczyzna, który pomagał jej wejść na pomost, nie wyglądał jak Lance. Aż się zachłysnęłam, kiedy dostrzegłam twarz pułkownika Donahue. Kitty uśmiechnęła się do niego słodko, gdy chował wiosła do kajaka. Przeszli pod rękę na trawnik, gdzie ją pożegnał, a Kitty ruszyła pospiesznym krokiem w stronę ścieżki wiodącej do baraków kobiet. Czy powinnam pobiec za nią? Postanowiłam tego nie robić; w końcu nie powiedziała mi prawdy o swojej randce, najprawdopodobniej dlatego że spodziewała się, iż wzbudzi ona mój sprzeciw - i faktycznie, wzbudziła. Nie chciałam jednak, aby myślała, że ją szpieguję. Nie, powie mi, kiedy będzie gotowa. Zawróciłam do kantyny, żeby porozmawiać z kucharzem o przygotowaniu tacy z jedzeniem dla Mary.
- Jak tam Lance? - Stella zwróciła się do Kitty pozornie niewinnym tonem, kiedy jadłyśmy śniadanie.

Może i ona widziała ją z pułkownikiem?
- Dobrze - odparła Kitty, grzebiąc w gumowatej jajecznicy i równie okropnej owsiance. - Widzimy się dziś wieczorem.
Stella pokręciła zazdrośnie głową. W dniu, w którym się poznałyśmy, ten gest mógłby wzbudzić moją niechęć, ale szybko nauczyłam się, że Stella po prostu taka jest.
- Ależ ty masz szczęście do mężczyzn - powiedziała i westchnęła ze smutkiem. - Spisałam Elliota na straty. Zdecydowanie za dużo myśli o tamtej kobiecie z domu. Ciągle albo robi sam zdjęcia na plaży, albo chowa się w barakach, pisząc o niej wiersze. Ta to musi być nie z tej ziemi. W każdym razie poznałam wczoraj lotnika. Ma na imię Will i nie jest najgorszy.
Podeszła do nas Liz i położyła swoją tacę na stole.
- Czy Mary wraca do zdrowia?
- Dzięki Bogu tak - odparłam. - Czuje się dziś znacznie lepiej.
Liz przyjrzała się uważnie kopercie, którą trzymała.
- Ten list przyszedł do niej dzisiaj - powiedziała ostrożnym tonem. - Nie mogłam nie zauważyć imienia przy adresie zwrotnym. Czy nie wspominała, że jej były narzeczony nazywał się Edward?
Kiwnęłam głową.
- Niech no zobaczę.
Spojrzałam na kopertę pod światło, ale nie udało mi się dostrzec niczego znaczącego poza tym, że nadawcą faktycznie był Edward, Edward Naughton. Adres zwrotny był w Paryżu.
- Anne! - zrugała mnie Kitty. - Nie powinnaś czytać jej listów. To prywatne sprawy.
- Zrobię to, jeśli uznam, że utrudnią jej one wyzdrowienie -odparłam. - Słuchaj, ten człowiek porzucił ją niemal przed ołtarzem i tak się przez niego załamała, że uciekła na wyspę na drugim końcu świata. Wyobraź sobie, jak może na nią wpłynąć list od niego.
Pozostałe kobiety pokiwały głowami, a mina Kitty złagodniała.

- Nie przeczytam go - powiedziałam. - Zachowam go po prostu do chwili, kiedy Mary będzie już gotowa. Jej serce jest osłabione. Musi najpierw odzyskać siły. Nie pozwolę, żeby ten list stanął na jej drodze do zdrowia.
- No dobrze - zgodziła się Kitty. - Ale naprawdę nie powinnaś się wtrącać w sprawy miłości.
Czy to ma być dla mnie jakieś ostrzeżenie dotyczące jej życia? Poirytowana zmarszczyłam nos i wsunęłam kopertę do kieszeni sukienki.
- Przecież ja się nie wtrącam - powiedziałam prosto do Kitty. - To kwestia zdrowia.
Kitty odsunęła swój talerz.
- No dobrze, dziewczyny, chyba nie przełknę już ani kęsa tych przegotowanych jajek. Idę do pracy. Siostra Hildebrand mówi, że możemy się dzisiaj spodziewać transportu.

❖ ❖ ❖

Rozmyślałam nad słowami Kitty, kiedy szłyśmy do szpitala, ale całkiem zapomniałam o całej rozmowie na wieść o tym, że według radiowego raportu medyka z innej wyspy właśnie wieziono do nas rannego pilota. Byłby to nasz pierwszy prawdziwy pacjent poza Westrym, którym zaopiekowałam się sama.
Lotnik pojawił się kwadrans po dziesiątej. Był to bardzo poważny przypadek - rany głowy po odłamkach pocisku. Kitty, która wiozła żołnierza do sali zabiegowej, pracowała wraz z lekarzem, pewnymi ruchami usuwając drobiny zakrwawionego metalu i odkładając je do miski obok stołu operacyjnego. Liz wyszła, żeby zwymiotować, ale Kitty nawet się nie wzdrygnęła. Poradziła sobie tak świetnie, że lekarz poprosił, aby została jeszcze godzinę i pomogła przy pacjencie. Natychmiast się zgodziła.
Po zakończeniu zmiany wróciłam do baraków; nie mogłam się doczekać, żeby uciec ze sterylnego szpitala i odpocząć w domku na plaży. Zapakowałam do małej torby nożyczki, igłę, nitkę

i kawał bladożółtego materiału, który znalazłam w śmietniku przed szpitalem. Pomyślałam, że będzie się świetnie nadawał na zasłony, i porwałam go, zanim żołnierze zajmujący się wywozem śmieci zdążyli go usunąć.
Kiedy przybyłam na miejsce, Westry'ego nie było, więc wyciągnęłam klucz z książki, przypominając sobie, jak wpadł na pomysł ukrycia go. Otworzyłam drzwi i odstawiłam torbę na stare mahoniowe krzesło.
Natychmiast zabrałam się do roboty nad zasłonami, mierząc szerokość okna i obliczając rozmiary każdego kawałka materiału. Rozłożyłam go na ziemi, przy okazji odganiając małą jaszczurkę, i zaczęłam ciąć. Obszywając zasłony, słuchałam śpiewu ptaków. Nie miałam żelazka, ale jakość szwów wystarczyła jak na domek na plaży, a ciepłe, wilgotne powietrze z czasem wygładzi zagniecenia.
Szyjąc, myślałam o Westrym, tak pełnym werwy i spontanicznym, tak niepodobnym do Gerarda i jego konsekwentnego, wyważonego zachowania. Dlaczego Gerard nie może być bardziej swobodny, nie może bardziej kochać życia? Przeciągając igłę i nitkę przez materiał, zdałam sobie sprawę, że obawy, które czułam względem niego w Seattle, w tropikach tylko się wzmogły. Szczególnie dręczyło mnie to, że uniknął poboru. Dlaczego nie sprzeciwił się ojcu i nie zrobił tego, co nakazuje honor?
Kiedy wsuwałam pierwszy zestaw zasłon na karnisz, przypomniałam sobie obraz schowany pod łóżkiem. Zaczęłam rozmyślać o ludziach na nim namalowanych, ale przede wszystkim o jego autorze. Kto mieszkał tutaj dawno temu? Ktoś taki jak Westry, wielbiciel przygód? Wyobraziłam sobie, jak Westry spędza resztę życia na wyspie. Może ożeni się z miejscową dziewczyną podobną do tej, którą spotkaliśmy z Lanceem i Kitty na targu. Jak miała na imię? Ach tak, Atea. Ale czy byłby szczęśliwy? Czy taka kobieta by go uszczęśliwiła? Uśmiechnęłam się szeroko. Tak, pod

jednym względem na pewno, ale czy byliby na tym samym poziomie intelektualnym? Namiętność blednie, ale miłość trwa. Chciałam, żeby Kitty to w końcu zrozumiała.
Nad domkiem zapadła ciemność; wyjrzałam przez okno na szare, nabrzmiałe od deszczu chmury wiszące na niebie, gotowe przemoczyć ziemię, czy tego chciała, czy nie. Przesunęłam wzrokiem po plaży z nadzieją, że zobaczę Westryego biegnącego w stronę bungalowu, ale wtedy przypomniałam sobie o skrzynce pocztowej - czy raczej skrzypiącej desce podłogowej w rogu. Podeszłam tam, uniosłam ją i zajrzałam pod spód. Mój wzrok przyciągnęła biała koperta.
Rozdarłam ją z wyczekiwaniem.
Droga Pani Cleo Hodge,
zapewne zastanawia się Pani, kim jest Cleo Hodge. Otóż, moja droga, to Pani. Potrzebujemy pseudonimów, w razie gdyby ktoś nas nakrył. Nie zapominajmy, że trwa wojna. Pani zatem będzie miała na imię Cleo, a ja - Grayson. Co Pani o tym sądzi? Brałem pod uwagę nazwisko „Quacken-bush", ale pokładalibyśmy się ze śmiechu przy każdej rozmowie i do niczego byśmy nie doszli. Będziemy zatem państwem Hodge, o ile nie ma Pani lepszego pomysłu.
Z poważaniem
Hodge
PS Proszę zajrzeć do szuflady biurka. Czeka tam na Panią niespodzianka.
Zachichotałam, otworzyłam szufladę i znalazłam w niej pomarańczę. Jej lśniąca, poznaczona wgłębieniami skórka pięknie kontrastowała z ciemną barwą mahoniowego drewna. Podniosłam ją do nosa, rozkoszując się cytrusowym zapachem, po czym odwróciłam list i napisałam wiadomość dla Westryego:

Drogi panie Graysonie Hodge,
napracowałam się dziś nad zasłonami, które, mam nadzieję, przypadną Panu do gustu. Czy sądzi Pan, że przydałby się nam dywan? Jakiś ładny, perski? A co powiedziałby Pan na półkę na książki i jakieś miejsce do siedzenia poza łóżkiem? Jeśli nam się poszczęści, morze wyrzuci na brzeg kanapę.
Dziękuję za pomarańczę - była cudowna.
Z poważaniem
Pani Hodge
PS Pana wyobraźnia nie ma granic. Jak przyszło Panu do głowy nazwisko „Quackenbush"? Z trudnością powstrzymuję śmiech.
Wsunęłam notkę pod deskę i zamknęłam za sobą drzwi. Od kiedy przyszłam na miejsce, wiatr się wzmógł, a wiszące nade mną chmury - teraz jeszcze ciemniejsze - groziły deszczem. Szłam pospiesznie plażą, skubiąc pomarańczę.
Wystraszyłam się, kiedy niedaleko od domku z zarośli dobiegł szelest. Zamarłam. Co to było? Czy ktoś mnie śledzi?
Zrobiłam kilka kroków w stronę skraju dżungli i stanęłam. Znów ten odgłos. Szelest i ciche głosy. Podkradłam się bliżej, ukryłam za pniem ogromnej palmy i wytężyłam wzrok. W cieniu bujnej tropikalnej roślinności stało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Mignął mi charakterystyczny rękaw wojskowej koszuli i naga kobieca noga. Schowałam się z powrotem za palmę, a potem wróciłam cicho na plażę i ruszyłam biegiem, oglądając się co chwilę przez ramię.
Po powrocie do pokoju czekało mnie rozczarowanie: Kitty tam nie było.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dasz wiarę, że od naszego przyjazdu minęły dwa miesiące? - nie mogła się nadziwić Mary. Policzki miała zarumienione; dobrze było zobaczyć, że jej twarz znów nabrała życia. Mary wymogła na siostrze Hildebrand, żeby pozwoliła jej pracować na ranną zmianę i nie leżeć już w łóżku. Choć czasem drżały jej ręce, była coraz silniejsza i tego ranka chętnie zgłosiła się, żeby pomóc mi przy szczepieniach.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałam. - Czasami mam wrażenie, że przyjechałyśmy wczoraj. - Urwałam, żeby policzyć fiolki szczepionki, którą po śniadaniu miałyśmy zaaplikować żołnierzom. - A jednak tyle się już zdarzyło. Mam wrażenie, że nie jestem tą samą dziewczyną, która zeszła tego pierwszego dnia na płytę lądowiska.

Mary skinęła głową.

- Ja też. Trudno mi wyobrazić sobie życie w domu. Westchnęłam.

- Prawie zapomniałam, jak brzmi głos Gerarda. Czy to nie okropne?

- Nie bardzo - odparła Mary. - Wciąż go kochasz.

- Tak, oczywiście - oznajmiłam zdecydowanym tonem. Miałam wyrzuty sumienia, że nie zdążyłam jeszcze do niego napisać.

- Ja prawie zapomniałam, jak brzmi głos Edwarda - ciągnęła Mary. - Ale nie ma w tym absolutnie niczego okropnego -stwierdziła z uśmiechem, a ja przytaknęłam.
Przypomniałam sobie o liście, który przed nią schowałam. Czy jest już gotowa? Słuchałam, jak nuci, rozpakowując pudełka z fiolkami i rozkładając je na tacach. Ten list może wszystko zepsuć.
- Gdzie Kitty? - zapytała Mary. - Wydawało mi się, że widziałam ją tu wcześniej.
- Och, gdzieś tu jest - odpowiedziałam. - Przyszłyśmy razem.
- Nie - burknęła siostra Hildebrand. - Wspomniała, że nie czuje się dobrze, więc odesłałam ją do baraków.
Dziwne. Dziś rano wyglądała na zdrową. Próbowałam nie rozpraszać się myśleniem o niej, ale Kitty zachowywała się dziwnie niemal od chwili przybycia na wyspę: mówiła, że gdzieś idzie, i pojawiała się zupełnie gdzie indziej, obiecywała, że spotkamy się przy śniadaniu czy obiedzie, a potem znikała. Rzadko wspominała o pułkowniku Donahue, a ja nie przyznałam się, że widziałam ich wycieczkę kajakową. Ta sprawa wyglądała na zakończoną, ale Kitty spędzała zdecydowanie zbyt dużo czasu z Lanceem. Poprzedniego wieczora rozstali się koło północy; rozbudzona zerknęłam na zegar, kiedy Kitty w końcu padła na łóżko.
- Pewnie złapała tego wirusa, który ostatnio krąży po bazie -powiedziała Mary. - Straszne dolegliwości żołądkowe.
Nie sądziłam, żeby Kitty cierpiała na dolegliwości żołądkowe. Nie, coś innego było na rzeczy.
Podczas zmian w szpitalu nie miałyśmy czasu na poważne rozmowy, ponieważ z okolicznych wysp, gdzie toczyły się ciężkie walki, coraz liczniej przybywali ranni. Napływali powoli, ale były to poważne przypadki: rany od noży, postrzały w brzuch. Ledwie wczoraj trzeba było amputować niemal odciętą nogę. Całe dnie zajmowały nam ponure obowiązki związane z opieką nad pacjentami, a po

zmianie uciekałyśmy jak myszy do naszych ulubionych kryjówek. Ale gdzie znajdowała się kryjówka Kitty?
Pomyślałam o innych pielęgniarkach. Stella zaczęła spędzać sporo czasu w świetlicy, gdzie bardzo zainteresowała się grą w rzutki, a raczej Willem, który grał w rzutki. Liz oczywiście sumiennie jej towarzyszyła. Mary, która po pracy w szpitalu miała niewiele sił na cokolwiek, wracała do baraków czytać i pisać listy do przyjaciół, a ja wymykałam się do bungalowu. Czasami zastawałam Westryego, czasami nie, ale zawsze miałam nadzieję, że tam będzie.
- Poczta! - krzyknęła od drzwi jedna z pielęgniarek.
Zostawiłam Mary przy szczepionkach i podeszłam do drewnianej skrzynki wypełnionej listami i paczkami. Dostaw poczty było niewiele, ale tym razem otrzymałyśmy górę przesyłek. Kiedy przesunęłam skrzynkę bliżej drzwi, wysypały się na ziemię - tyle listów, które niczym tajne łodzie podwodne przenikały do naszych prywatnych światów.
Stella dostała pięć listów, Liz trzy, a Kitty tylko dwa, oba od matki. Potem zauważyłam kopertę zaadresowaną do mnie i poczułam w sercu znajome drżenie, kiedy rozpoznałam charakter pisma. Gerard.
Otworzyłam dyskretnie list gotowa schować go od razu, gdyby podkradła się do mnie Stella lub inna pielęgniarka.
Ukochana,
liście zmieniają tutaj kolory, a ja tak za Tobą tęsknię. Przypomnij mi, dlaczego musiałaś wyjechać. Seattle ani trochę się zmieniło, jest takie, jakie je zostawiłaś, tylko bez Ciebie bardziej w nim samotnie. Zapewne przyczynia się do tego też wojna. Ludzie nie rozmawiają o niczym innym. Martwię się o Ciebie. Na Pacyfiku będą toczyć się intensywne działania. Modlę się, aby nie wdarły się na Twoją wyspę. Wojskowi, z którymi tutaj rozmawiałem, sądzą, że nic jej nie grozi. Oby mieli rację.

Wojna zabrała nam najlepszych. Klub Cabana jest wymarły, nie poznałabyś tego miejsca. Wszyscy zdolni do służby mężczyźni albo się zaciągnęli, albo objął ich pobór, i chcę, abyś wiedziała, że nawet mimo wszystkiego, co zrobił ojciec, żeby uchronić mnie przed walką, nie mogę opędzić się od myśli, czy też nie powinienem do niej dołączyć. To byłaby słuszna decyzja. Następna fala żołnierzy wyjeżdża piętnastego października i zastanawiam się, czy nie anulować mojego zwolnienia i nie pojechać z nimi. Przed przeprawą do Europy spędziłbym dwa tygodnie na podstawowym szkoleniu w bazie w Kalifornii.
Proszę, nie martw się o mnie. Będę często pisał do Ciebie z wieściami, i śnił o dniu, kiedy znów będziemy razem.
Kocham Cię całym sercem i myślę o Tobie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.
Twój Gerard
Przyłożyłam list do serca i zacisnęłam na moment powieki. Choć zachwycił mnie ten przypływ patriotyzmu, nie potrafiłam znieść myśli, że Gerard może być w niebezpieczeństwie, i wzdrygnęłam się, kiedy przyszło mi do głowy, ile czasu minęło od wysłania listu. Czy możliwe, że już jest na polu bitwy? Czy możliwe, że on...?
Kiedy zgarbiłam się w krześle, próbując ukryć łzy przed pozostałymi kobietami, poczułam dotyk czyjejś dłoni na ramieniu.
- Co się stało, kochana? - zapytała cicho Mary.
- Gerard chyba zaciągnął się do armii - odparłam.
Mary poklepała mnie po plecach, a moje łzy spadły na pognieciony papier listowy, rozmazując słowa skreślone pięknym charakterem pisma Gerarda, aż zostały z nich tylko plamki czarnego atramentu.

- Jak myślisz, jakby to było zostać żoną wojskowego? - zapytała mnie tego wieczora Kitty, zanim poszłyśmy spać. Siedziała na łóżku w różowej bawełnianej koszuli nocnej i czesała blond loki - najwyraźniej czuła się świetnie - podczas gdy ja daremnie próbowałam czytać. Odłożyłam książkę.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że już myślisz o ślubie z Lanceem?
Kitty nie odpowiedziała, czesała tylko dalej włosy.
- Ten styl życia zapewne ma swoje zalety - ciągnęła. - Tyle podróży i ekscytacji.
- Kitty, przecież dopiero go poznałaś - powiedziałam. Rozmawiałyśmy już tylko wieczorami, a przynajmniej w te
wieczory, kiedy Kitty nie miała randki z Lanceem.
Odłożyła szczotkę na stolik nocny i wgramoliła się do łóżka, po czym naciągnęła kołdrę pod brodę i odwróciła twarz do mnie.
- Anne - powiedziała dziecinnym, drżącym, pełnym zaciekawienia i naiwności głosem. - Zawsze wiedziałaś, że Gerard to ten jedyny?
Pytanie zaskoczyło mnie bardziej, niż stałoby się to w Seattle.
- No cóż, tak, oczywiście - odparłam i przypomniałam sobie otrzymany rano list. Poczułam przypływ oddania dla Gerarda. - Po prostu wiedziałam.
Kitty skinęła głową.
- Chyba czuję to samo - oznajmiła, ale odwróciła głowę do ściany, zanim zdążyłam ją o cokolwiek zapytać. - Dobranoc.
Westry wyjechał z trzydziestodniową misją na inną wyspę i kiedy dwudziestego siódmego listopada wrócił, czekałam przy barakach żołnierzy, udając, że zbieram kwiaty hibiskusa. Miałam nadzieję, że spotkam do na ścieżce. Była to środa

poprzedzająca Święto Dziękczynienia i wszyscy w obozie myśleli o tylko dwóch rzeczach: indyku i sosie żurawinowym.
- Hej ty, siostro! - krzyknął jakiś żołnierz z okna na trzecim piętrze. - Myślisz, że podadzą nam ptaka?
- Wyglądam na kucharkę? - odcięłam się.
Żołnierz, który mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat, rzucił mi uśmieszek i się schował.
Przyzwyczajenie się do męskich i wojskowych zwyczajów zajęło mi kilka miesięcy. Nie byłam już nieśmiała: burczałam na tych, którzy burczeli na mnie, i niestosowne uwagi zbywałam ripostami, które były na tym samym poziomie. Matka by tego nie zniosła.
Dwadzieścia minut zbierania kwiatów nie pozwoliło mi zobaczyć Westry ego, więc wróciłam do baraków z ciężkim sercem i torbą pełną hibiskusa.
- Przyszła poczta - oznajmiła Kitty, rzucając na moje łóżko kopertę. - Od twojej matki.
Wzruszyłam ramionami i wsunęłam list do kieszeni sukienki, a Kitty zajrzała do pełnej kwiatów torby, którą zostawiłam przy drzwiach.
- Jakie śliczne! Wstawmy je do wody.
Wyjęła kwiaty i ułożyła je starannie w szklance z wodą, którą postawiła na toaletce.
- Nie wytrzymają długo - powiedziałam. - Fatalnie znoszą zrywanie z krzaka. Do rana zdążą zwiędnąć.
- Wiem. Ale czyż nie wyglądają ładnie właśnie teraz, takie jakie są?
Kiwnęłam głową. Żałowałam, że nie potrafię lepiej dostrzegać piękna chwili, tak jak Kitty. Ta umiejętność była prawdziwym darem.
Kitty cofnęła się, ciesząc oczy prowizorycznym bukietem jaskrawoczerwonych kwiatów, których płatki opadną, zanim wrócimy z kolacji. Potem zerknęła na swój stolik nocny.
- Prawie bym zapomniała, ja też dostałam list z domu. Od ojca.

Oddarła skraj koperty i wyciągnęła list, który zaczęła czytać z uśmiechem. Wkrótce jednak zmarszczyła czoło, po czym zrobiła wstrząśniętą minę. Po jej policzkach zaczęły powoli płynąć łzy.
- Co się stało? - zapytałam, podbiegając do niej. - Co napisał?
Rzuciła się na łóżko i wtuliła twarz w poduszkę.
- Kitty, powiedz mi - nie ustępowałam.
Nie ruszyła się, więc podniosłam z podłogi kartki listu i sama przeczytałam słowa jej ojca.
Musisz wiedzieć, kochanie, że pan Gelfman wyjechał we wrześniu na front do Europy i niestety zginął. Wiem, że trudno będzie Ci pogodzić się z tą wiadomością. Twoja matka nie życzyła sobie, żebym Cię o tym zawiadamiał, ale uznałem, że powinienem to zrobić.
Włożyłam list do stolika nocnego Kitty. Przeklęta poczta. Po co tu trafia i tak nas dręczy? Świetnie sobie radziłyśmy, zanim zaczęły przychodzić listy. Nachyliłam się nad przyjaciółką.
- Kitty, tak mi przykro.
- Zostaw mnie - powiedziała cicho.
- Przyniosę ci kolację - zaproponowałam, ponieważ właśnie dobiegł mnie dźwięk dzwonka w kantynie.
- Nie jestem głodna - jęknęła.
- I tak ją przyniosę.
Nałożyłam sobie górę puree ziemniaczanego i za zgodą kucharza wzięłam dodatkowy talerz dla Kitty; oba obdzieliłam plastrami marchwi i gotowanej szynki, która pod nagrzewającymi jedzenie lampami wyglądała na suchą jak wiór. Przynajmniej nie była z puszki. To mnie ucieszyło.

Stella i Mary pomachały do mnie, a ja skinęłam im głową i podeszłam do stołu pielęgniarek.
- Biorę tylko tace dla siebie i Kitty i wracam do pokoju. Dostała dziś list z domu ze złymi wieściami.
- Przykro mi to słyszeć - powiedziała Mary, marszcząc czoło. - Może jednak usiądziesz na chwilę? Nie poradzisz sobie z obiema tacami na ścieżce. Potkniesz się. Zjedz najpierw.
Przemyślałam to i zgodziłam się. Siadłam obok Mary.
- Podobno dziś w barakach była bójka - zawiadomiła nas Stella ściszonym głosem. - Wyspa naprawdę daje się mężczyznom we znaki.
- Wszystkim nam daje się we znaki - odparłam, próbując przeciąć twardy plaster szynki tępym nożem.
Stella kiwnęła głową.
- Widziałam wczoraj Lancea na targu. Obejmował tę miejscową dziewczynę.
Ucieszyłam się, że Kitty nie było z nami. Dość się już tego dnia nacierpiała.
- Ona ma imię. Nazywa się Atea - powiedziałam. Irytowało mnie, że Stella tak gardzi tubylczą ludnością.
- Może i tak - odparła niedbałym tonem. - Widać, że Lance ma na jej punkcie fioła.
Mary nie wyglądała na przekonaną.
- Och, Stello. To, że ona załatwia mu papierosy, nie oznacza, że się z nim prowadza.
Stella wzruszyła ramionami.
- Mówię wam po prostu, co widziałam.
Biedna Kitty. Nie wspomnę jej o tym. Jeszcze nie. Potrzebuje czasu.
- No dobrze, dziewczyny - oznajmiłam i chwyciłam tacę Kitty. - Idę z dostawą.
- Dobranoc - powiedziała Mary.
Stella skinęła mi głową i zatopiła zęby w herbatniku.

Idąc ścieżką, odganiałam znad tacy muchy. Na chwilę zatrzymałam się przed barakami żołnierzy, łudząc się, że może Westry będzie akurat wyglądał przez okno. Spał na drugim czy czwartym piętrze? Przesunęłam wzrokiem po drugim piętrze i moją uwagę zwróciło otwarte okno mniej więcej w połowie budynku. Ze środka dobiegały dźwięki gwałtownych ruchów. Bójka.
- Tak jest, sir! - usłyszałam. - Błagam, sir! - Rozpoznałam głos Westry ego.
Na Boga! Ktoś robi mu krzywdę, bije go. Odstawiłam tacę na ławkę i zbliżyłam się do wejścia do baraków. Musiałam mu pomóc. Ale jak? Kobiety nie miały wstępu do środka. Stałam na stopniach, z rozpaczą słuchając kolejnych ciosów i trzasku mebli. To się musi skończyć.
Chwilę później tak się stało. Huknęły drzwi, a potem w korytarzu i na schodach prowadzących do wejścia rozległ się łoskot ciężkich kroków. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy w drzwiach pojawił się pułkownik Donahue z zakrwawioną ręką. Ukryłam się za krzakiem hibiskusa i patrzyłam, jak odchodzi prosto w stronę szpitala.
Serce waliło mi jak szalone.
- Westry! - zawołałam niegłośno, z paniką. - Westry! -podniosłam trochę głos, mając nadzieję, że dosięgnie otwartego okna.
Odpowiedziała mi tylko cisza. Zaczęłam obawiać się najgorszego.
Wróciłam biegiem do kantyny, gdzie wielu żołnierzy wciąż jadło, i odszukałam wzrokiem Elliota przy stole niedaleko wejścia. Kiedy odwzajemnił moje spojrzenie, przywołałam go gestem.
- Co się stało, Anne? - zapytał, wyciągając serwetkę zza kołnierza.
- Chodzi o Westry ego - szepnęłam. - Został pobity. Przez pułkownika Donahue. Jest w swoim pokoju. Może być nieprzytomny. - Wyrzuciłam z siebie słowa z prędkością karabinu.

Elliot wytrzeszczył oczy.
- Pójdę do niego - powiedział, po czym pchnął dwuskrzydłowe drzwi i pobiegł ścieżką.
Czekałam pod barakami długą chwilę, to chodząc w kółko, to patrząc na drugie piętro z nadzieją, że zobaczę coś przez okno. W końcu drzwi się otworzyły i Elliot wyszedł na zewnątrz.
- Nieźle dostał - oznajmił. - Ma ranę szarpaną na czole, którą będzie trzeba zszyć.
- Dlaczego zatem nie zejdzie na dół?
- Nie chce - odparł Elliot.
- Nie rozumiem. Dlaczego pułkownik Donahue mu to zrobił?
- Nie chce o tym mówić - powiedział Elliot, patrząc w kierunku, w którym odszedł pułkownik. - Ale musiało się stać coś złego. Coś jest nie w porządku.
Potarłam czoło.
- W takim razie możesz z nim zostać? Upewnić się, że dobrze się czuje, spróbować zaprowadzić go do szpitala?
- Zrobię co w mojej mocy - Elliot kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi.
- Dzięki - odparłam. - Jeszcze tylko jedno. -Tak?
- Powiedz mu, że za nim tęsknię. Elliot uśmiechnął się szeroko.
- Ucieszy się.
❖ ❖ ❖
Jedzenie Kitty zdążyło wystygnąć, zanim wróciłam do pokoju, ale to nie miało znaczenia. Wciąż nie chciała jeść.
- Mogę coś dla ciebie zrobić, kochanie? - zapytałam, głaszcząc jej miękkie loki.
- Nie - odpowiedziała potulnie. - Po prostu muszę być sama.
- Rozumiem - odparłam nieco zraniona.

Słońce już zaszło, ale dzięki księżycowi było zachęcająco jasno. Zerknęłam na mój plecak. Bungalow. Czułam w głębi serca, że właśnie tam powinnam być.
- Kitty - odezwałam się cicho, wkładając do torby książkę. -Wychodzę na chwilę.
Nie zareagowała, ale nie miałam jej tego za złe.
- Niedługo wrócę - powiedziałam i zamknęłam za sobą drzwi.
Silniejszy niż zazwyczaj wiatr targał moimi włosami, kiedy brnęłam po piasku w stronę domku. Gdy dotarłam na miejsce, otworzyłam drzwi i położyłam się na łóżku. Nowa narzuta, którą znalazłam na górnej półce szafy i przyniosłam tydzień wcześniej, ogrzała i ukoiła moje zmęczone ciało. Nie zajrzałam nawet do skrzynki pocztowej. Westry na pewno nie zdążył tu wpaść po powrocie, a teraz krył się w barakach, ranny. Zadrżałam na myśl o brutalności pułkownika Donahue. Dlaczego tak go skrzywdził? Niezależnie od przyczyny byłam przekonana, że Westry na to nie zasłużył.
Podłożyłam sobie poduszkę pod głowę i wyciągnęłam list od matki, który wcześniej schowałam w kieszeni.
Najdroższa Anne,
piszę z ciężkim sercem, ponieważ to ja muszę przekazać Ci okropne wieści. Wierz mi, bardzo długo zastanawiałam się, czy Ci o tym pisać, czy poczekać na Twój powrót. Sądzę jednak, że musisz wiedzieć.
Opuszczam Twojego ojca. Okoliczności naszego rozstania są zbyt poważne, aby omawiać je w liście, ale powiem tylko, że bez względu na wszystko kocham Cię tak samo jak zawsze. Wszystko wyjaśnię, kiedy wrócisz do domu.
Obyście zaznali z Gerardem więcej miłości w swoim małżeństwie, niż ja zaznałam w moim.
Kocham Cię całym sercem i mam nadzieję, że ta wiadomość zbytnio Cię nie zrani.
Twoja matka

Oczy zapiekły mnie od łez. Zostawia papę. Biedny papa. Jak ona może? „Obyście zaznali z Gerardem więcej miłości w swoim małżeństwie, niż ja zaznałam w moim". Co to za bzdury?
Usłyszałam na zewnątrz jakiś odgłos, a potem powolne skrzypnięcie otwieranych drzwi domku. Uspokoiłam się, kiedy zobaczyłam twarz Westry ego.
- Miałem nadzieję, że cię tu zastanę - powiedział z uśmiechem.
- Jak ty wyglądasz! - wykrzyknęłam. Troska pozbawiła mnie hamulców i podbiegłam do niego, odruchowo wyciągając rękę, żeby dotknąć jego policzka. - Dlaczego pułkownik Donahue ci to zrobił?
- Posłuchaj - oznajmił zdecydowanym tonem. - Muszę się jasno wyrazić. Nie widziałaś dzisiaj pułkownika Donahue.
- Ależ tak...
- Nie. Nie widziałaś go.
- Westry, dlaczego?
Wyglądał na rozdartego i zbolałego.
- Proszę, nie wspominaj o tym więcej. Zmarszczyłam brwi.
- Nie rozumiem.
- Tak musi być. Kiedyś zrozumiesz. - Światło padło na jego twarz i zobaczyłam, jak poważne są jego rany.
- Musisz pójść ze mną do szpitala. Rzucił mi przebiegły uśmiech.
- Dlaczego miałbym to zrobić, skoro mam na miejscu prywatną pielęgniarkę?
Rozbawiona sięgnęłam po plecak.
- Hmm, powinnam mieć gdzieś tutaj apteczkę. - Przeszukałam plecak i znalazłam biały pojemnik z podstawowym wyposażeniem, z którego wyciągnęłam zestaw do zakładania szwów. Z białej paczuszki wyciągnęłam nasączony spirytusem kwadrat gazy. - To może szczypać.
Wzięłam Westry'ego za rękę - kiedy dotknęłam jego skóry, poczułam znajomy już dreszcz - i zaprowadziłam go w stronę łóżka. Co to zaszkodzi, jeśli oboje usiądziemy?

- No dobrze - oznajmiłam, kiedy usiedliśmy - nie ruszaj się. Elliot miał rację. Rana na czole Westryego była głęboka
i wątpiłam, czy uda mi się założyć szwy.
- Źle to wygląda - delikatnie przetarłam ranę gazą. Westry wzdrygnął się, ale milczał.
- Wiesz, w szpitalu mamy krem do znieczulenia miejscowego - powiedziałam nerwowo. - Chodźmy tam. Mniej cię będzie bolało.
Już chciałam się podnieść, ale Westry chwycił mnie za rękę i pociągnął z powrotem na miejsce.
- Nie chcę tam iść. Chcę zostać właśnie tutaj.
Jego spojrzenie było przenikliwe i pełne czułości. Kiwnęłam głową i podniosłam zestaw do zakładania szwów.
- No dobrze, ale to może trochę boleć.
Westry nie odrywał wzroku od ściany, kiedy założyłam pierwszy szew, potem drugi. Do zamknięcia rany konieczny był już tylko trzeci. Zawiązałam go starannie i odcięłam końcówki.
- Proszę bardzo. I co, nie było tak źle, prawda? Westry pokręcił głową.
- Masz wrodzony talent, Cleo Hodge - powiedział przekornym tonem, ale patrzył mi w oczy z troską.
Uśmiechnęłam się i odwróciłam szybko.
- Płakałaś. Dlaczego? Pomyślałam o liście od matki.
- Po prostu dostałam nieprzyjemny list z domu.
- O czym? Zawahałam się.
- Przysłała go moja matka. Rozstaje się z ojcem. - Przełknęłam łzy, które znów się pojawiły.
Chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Objął mnie, a ja położyłam skroń na jego piersi. Otoczona jego ramionami, poczułam się bezpiecznie.
- Tak mi przykro - powiedział. Trochę trwało, zanim jego słowa wybrzmiały, ponieważ przez długą chwilę żadne z nas się nie odezwało.

Podniosłam twarz. Westry był przy mnie, tutaj i teraz. W tej chwili nie liczyło się nic innego. Przesunął dłońmi po moich ramionach i szyi, a potem objął moją twarz i przyciągnął do swojej. Poczułam, że moje serce bije nowym rytmem. Westry pocałował mnie tak delikatnie, tak cudownie. Przygarnął mnie mocniej, co osłabiło resztki mojego oporu.
Nie przestawał mnie tulić. Dwudziesty siódmy listopada. Pozbawiona znaczenia data, jeden z wielu dni w kalendarzu. Wtedy jednak zmieniło się moje życie. Tego dnia pokochałam Westryego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słońce paliło bez litości, co wydawało się niewłaściwe -była przecież Wigilia Bożego Narodzenia. W Stanach matka na pewno przycinała w holu domu ogromną jodłę. Niemal czułam zapach iglaka, nawet jeśli był tylko wytworem mojej wyobraźni, zarówno dlatego że otaczały mnie wyłącznie palmy, jak i dlatego że matka nie mieszkała już w domu. W najświeższym liście zawiadomiła mnie, że przeniosła się do mieszkania w Nowym Jorku.

Wspominałam to, jak radosny był zawsze papa o tej porze roku: podawał kolędnikom wielkie kubki grzanego cydru, co chwilę pakował sobie do ust ciasteczka upieczone przez Maxine. Maxine. Nieraz zastanawiałam się, dlaczego jeszcze do mnie nie napisała. Poczta w ogóle docierała teraz wolniej i kobiety każdego popołudnia czekały z nadzieją, że wypatrzą pędzącego po trawniku jeepa ze specjalną dostawą przesyłek.

Nie miałam żadnych wieści od Gerarda, co trapiło mnie najbardziej. Pod pewnymi względami cieszyłam się z jego milczenia: dzięki niemu moje uczucie do Westry ego mogło kwitnąć bez przeszkód. Mimo to martwiłam się o Gerarda codziennie, wyobrażając sobie, jak na zimnym polu bitwy gdzieś za granicą walczy za Amerykę. Walczy za mnie.

Kitty z czasem pogodziła się ze śmiercią pana Gelfmana, choć nie mówiła o tym. Wyglądało na to, że zaangażowała się w związek z Lanceem. Często wymykała się na spotkania z nim i wracała do pokoju zdecydowanie zbyt późno. Ale jak mogłam ją osądzać?

Wigilia nadeszła nagle. Przed wieczornym nabożeństwem miałam czas, żeby pójść na plażę, więc wymknęłam się, zanim siostra Hildebrand zdążyła zagonić mnie do pomocy przy rozpakowywaniu nowego transportu materiałów.

Z rozczarowaniem odkryłam, że bungalow jest pusty. W ciągu ostatniego miesiąca Westry trzykrotnie wyjeżdżał na misje i widywaliśmy się bardzo rzadko. Zajrzałam pod deskę podłogową i zachichotałam, kiedy znalazłam czekającą na mnie kopertę.

Ukochana Cleo,

wesołych świąt, moja miła. Przepraszam, że ostatnio nieczęsto się spotykamy. Odnoszę wrażenie, że mój dowódca upodobnił się do poganiacza niewolników. Miałem nadzieję, że zastanę Cię tu dziś rano - tylko wtedy mogłem się wyrwać - ale niestety. Zostawię zatem tutaj prezent świąteczny dla Ciebie. Może któregoś dnia spędzimy razem prawdziwe święta.

Twój Grayson

Kiedy ponownie przeczytałam ostatnie zdanie, w oczach zakręciły mi się łzy. „Może któregoś dnia spędzimy razem prawdziwe święta". Czy tak się stanie? Ta myśl była przerażająca i ekscytująca zarazem. Pod podłogą czekało pudełko pięknie zawinięte w folię aluminiową, którą Westry musiał podkraść z kantyny; szybko rozwiązałam czerwoną tasiemkę. Podniosłam wieczko i znalazłam w środku złoty owalny medalion na delikatnym łańcuszku. W środku był pusty, ale z tyłu wygrawerowano napis: „Grayson i Cleo".

Uśmiechnęłam się i z dumą zapięłam łańcuszek na szyi, po czym wyciągnęłam z torby pióro i notatnik.
Mój kochany Graysonie,
dziękuję za naszyjnik. Jest przepiękny. Wiesz, że przez dwadzieścia jeden lat życia nigdy nie miałam medalionu? Zawsze było to jednak moim marzeniem, więc będę go nosić z ogromną dumą, a właściwie nie sądzę, żebym kiedykolwiek miała go zdjąć. Mam mnóstwo pomysłów na to, co włożyć do środka. Będziesz musiał pomóc mi zadecydować.
Tak bardzo za Tobą tęsknię, ale pomaga mi przychodzenie tutaj. Nawet kiedy jesteśmy osobno, mogę Cię tutaj odnaleźć. Te ściany emanują Twoją obecnością, od której robi mi się cieplej.
Wesołych świąt.
Z wyrazami miłości
Cleo
♦ ♦ ♦
Tego wieczora, tuż przed pasterką, nadeszła poczta. Po ostatnim liście matki - który tak mnie zaskoczył, tak mną wstrząsnął - obrzuciłam skrzynkę podejrzliwym, ostrożnym spojrzeniem. Zostawiła papę bez słowa wyjaśnienia. Ta historia z pewnością miała drugie dno.
- Tylko jeden dziś dla ciebie, kochana - Mary podała mi bladoróżową kopertę.
Różowa. Ulżyło mi. List na pewno nie jest od Gerarda. Poczułam ulgę, a zaraz potem zrobiło mi się wstyd. Nie chodziło o to, że nie chciałam mieć od niego wieści. Nie, ta sprawa była bardziej skomplikowana. Spojrzałam na elegancki, idealny charakter pisma, na adres zwrotny. Maxine.
Schowałam list do kieszeni i odwróciłam się w stronę drzwi. Kiedy jednak usłyszałam bicie dzwonów w kaplicy, ponownie spojrzałam na siostrę

Hildebrand pogrążoną w papierkowej robocie przy biurku. Co będzie robić na tej obcej wyspie w Wigilię, całkiem sama? Nigdy nie wspominała o swojej rodzinie, a jeśli to, co mówiły dziewczyny, było prawdą, jej przeszłość nie należała do szczęśliwych. Na pewno czuje się samotna o tej porze roku. Fakt, prawie się nie uśmiechała i otwierała usta tylko po to, żeby nami dyrygować - ale przecież były święta. Nikt nie powinien być sam w święta. Czy ktokolwiek zaprosił ją na pasterkę? Podeszłam do niej cichym krokiem.
- Proszę wybaczyć, siostro Hildebrand - zaczęłam ostrożnie. - Wychodzę. Jest Wigilia...
- Zdaję sobie sprawę z daty - warknęła. Kiwnęłam potulnie głową.
- Chciałam tylko...
- Do rzeczy, siostro Calloway - oznajmiła. - Nie widać, że jestem zajęta?
- Tak - powiedziałam - przepraszam. Byłam tylko ciekawa, czy wie pani o dzisiejszej pasterce. Pomyślałam tylko, że może miałaby pani ochotę przyjść, to wszystko.
Podniosła wzrok znad dokumentów i zmierzyła mnie przenikliwym wzrokiem pełnym rozbawienia, a może też konsternacji.
- Niech pani biegnie, siostro Calloway - oznajmiła energicznym tonem. - Pani zmiana się już skończyła.
Kiwnęłam głową i ruszyłam w stronę drzwi, usiłując ukryć rozczarowanie. Jakie to miało znaczenie? Kitty obiecała, że pójdzie ze mną do kaplicy, ale kiedy wróciłam, nie było jej w pokoju. Po kwadransie czekania - nie zostawiła ani słowa wyjaśnienia - poddałam się i podeszłam do szafy, żeby się przebrać. Zauważyłam, że zniknęła ze środka jej żółta sukienka, ta, która przylegała bardzo ściśle do ciała. Gdzież

ona w niej poszła? Dla siebie wybrałam prostą niebieską szmi-zjerkę, a potem sięgnęłam po list od Maxine.

Moja kochana Antoinette,

jak się masz, skarbie? Ach, jak się za Tobą stęskniłam. W domu nie jest tak samo bez Ciebie. Jest samotniej. Mniej w nim życia.

Od kiedy wyjechałaś, tyle się zmieniło. Obawiam się, że nie wiem, od czego zacząć. Ale zawsze byłyśmy ze sobą szczere, więc zacznę od prawdy. Bądź wobec mnie cierpliwa, ponieważ następne zdania mogą być dla Ciebie bardzo trudne.

Musisz wiedzieć, moja droga, że kocham Twojego ojca od bardzo dawna. Walczyłam z tą miłością z całych sił, całą duszą. Ale miłości nie można zwalczyć. Już to wiem.

Ani przez chwilę nie chciałam, żeby ta miłość rozdarła Twoją rodzinę. Przez wiele lat udawało mi się ukrywać moje uczucia, tłumić je tak skutecznie, że sama dałam się nabrać. Jednak wieść, że Twój ojciec odwzajemnia tę miłość, ta blokada, której tak starannie pilnowałam, pękła. Wszystko się zmieniło.

Nie wiem, czy jeszcze się do mnie odezwiesz, czy spojrzysz na mnie tak jak kiedyś, ale modlę się, aby udało Ci się mi wybaczyć. Twój ojciec i ja niczego nie pragniemy bardziej niż Twojego błogosławieństwa.

Po wojnie jedziemy do Francji wziąć ślub. Wiem, że wszystko to musi być dziwne i niespodziewane. Może powoli oswoisz się z tą myślą, droga Antoinette. Obyśmy z czasem znów mogli stać się rodziną.

Z wyrazami miłości

Maxine

Kartki wypadły mi z dłoni na łóżko. Zagapiłam się na nie, na pismo Maxine. Dlaczego robi taką dziwną pętlę w literze „y"?

I ta papeteria ze zdobionymi krawędziami - należała przecież do matki. Za kogo ona się uważa? Za panią domu?
Maxine i papa. To nie miało sensu. Czy byli w sobie zakochani przez całe moje życie? Czy matka wiedziała? Nic dziwnego, że była tak okrutna względem Maxine - kochanka papy mieszkała pod jej dachem. Biedna matka! Jak mogłam tego nie zauważyć? Jak mogłam być tak naiwna?
Podniosłam list i zgniotłam go w ciasną kulkę, którą wrzuciłam do kosza. Nie czułam potrzeby, żeby przeczytać go jeszcze raz. Nie chciałam go więcej widzieć na oczy. A kiedy wyszłam na korytarz, sama siebie zaskoczyłam siłą, z jaką zatrzasnęłam drzwi.
Jeśli Kitty nie miała zamiaru się pojawić, postanowiłam pójść na nabożeństwo sama. Nie mogłam siedzieć w pokoju w Wigilię i myśleć o tym, jak papa i Maxine prażą razem kasztany. Pokręciłam głową i ruszyłam na dół. Zanim jednak zdążyłam pchnąć drzwi i wyjść na zewnątrz, nastawiłam uszu. Ktoś w pokoju na górze zapewne zdobył radio i - co było jeszcze trudniejsze - złowił z drugiego krańca wielkiego błękitnego oceanu sygnał, który niósł ze sobą słodką, piękną, czystą melodię *Tej świętej nocy* śpiewaną przez Binga Crosbyego. Kolana się pode mną ugięły, kiedy słuchałam piosenki, która płynęła po falach eteru jak ciepła bryza i przynosiła mi pocieszenie, przypominając święta w Seattle. Święta z cydrem, kolędnikami, ogromną jodłą w holu, papą palącym przy kominku, matką starannie pakującą prezenty, słodyczami Maxine - choć teraz nie miałam na nie ochoty. I oczywiście z Gerardem. Nie mogłam zapomnieć o Gerardzie.
- Sentymentalnie się robi, no nie? Odwróciłam się, słysząc za sobą głos Stelli.
- Tak - odparłam. Gdyby tylko wiedziała.
W półmroku korytarza rysy jej twarzy wyglądały łagodniej. Czy wyspa ją zmieniła?

- Coś mi nie pasuje - ciągnęła. - Nie ma śniegu. Nie ma nawet choinki. Po raz pierwszy tęsknię za domem. Naprawdę tęsknię.
- Ja też - przyznałam się, biorąc ją pod ramię. Stałyśmy tak, słuchając piosenki, aż się skończyła, a sygnał
zniknął. Ta chwila przepadła na zawsze, pochłonięta przez pusty Pacyfik.
- Idziesz na nabożeństwo? - zapytała Stella.
- Tak, wróciłam tylko po Kitty. Umawiałyśmy się, że pójdziemy razem.
- Och, zapomniałabym ci powiedzieć...
- Co takiego?
- Kitty prosiła, abym przekazała ci, że bardzo przeprasza, ale Lance zaplanował dla niej dziś jakąś wyjątkową świąteczną randkę, więc nie może przyjść.
- Randkę? W Wigilię?! Stella wzruszyła ramionami.
- Ty pewnie wiesz lepiej, o co chodzi. Zdaje się, że spędzają ze sobą strasznie dużo czasu, prawda? Za każdym razem kiedy mijam Kitty w korytarzu, mówi, że idzie się zobaczyć z Lanceem. Lance to, Lance tamto. Moim zdaniem nie jest wart jej sympatii. Ten człowiek jest niebezpieczny.
- Niebezpieczny?
- Tak - oznajmiła. - Wszyscy wiedzą, że zadaje się z miejscowymi dziewczętami. Poza tym jest wybuchowy jak pocisk przeciwpancerny.
Przypomniałam sobie, jak patrzyła na niego Atea, i to, co zaraz potem podpowiedziała mi na jego temat intuicja. Nie miałam jednak okazji widzieć go rozgniewanego. Czy naprawdę mógł być niebezpieczny?
- No cóż - stwierdziłam - może i ogląda się za kobietami, ale Kitty sama decyduje za siebie. Próbowałam już przemówić jej do rozsądku na temat mężczyzn i wierz mi, bezskutecznie.

- Jesteś dobrą przyjaciółką, Anne - Stella spojrzała na mnie z podziwem.
Pomyślałam o swoich tajemnicach.
- Mogłabym być lepszą.
- Chcesz pójść ze mną do kaplicy? - zapytała, zerkając na zegar w korytarzu, który wskazywał kwadrans po siódmej. -Mary i Liz już tam są, przygotowują wszystko. Możemy do nich dołączyć.
- Bardzo chętnie - odparłam z uśmiechem.
Kiedy wychodziłyśmy na zewnątrz, radio znów zaczęło nadawać niewyraźną wersję *Cichej nocy* śpiewanej w języku, którego nie rozpoznałam. W kolędzie pobrzmiewały obcość i osamotnienie; to dokładnie odzwierciedlało moje uczucia.

❖❖❖

Znalazłszy się w małej kaplicy przylegającej do kantyny, aż się zachłysnęłam.
- Skąd, u licha, wzięła się tu choinka? - wlepiłam wzrok w drzewo stojące przy pianinie. - Skąd daglezja w tropikach?
- To był nasz wielki sekret - powiedziała Mary, szczerząc zęby. - Komitet socjalny planował to od miesięcy. Jeden z pilotów przywiózł ją w zeszłym tygodniu razem z dostawą. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zabrał też ozdoby, więc musiałyśmy coś wymyślić. Żołnierze zasługują na choinkę na Gwiazdkę.
Po lewej chór zaczął się przygotowywać do występu, a ja patrzyłam na drzewko ozdobione lametą - zrobioną ręcznie z cieniutko pociętej folii aluminiowej - i czerwonymi jabłuszkami. Niektóre z kobiet musiały pozbyć się swoich wstążek do włosów: po gałęziach rozrzucone były co najmniej dwa tuziny białych atłasowych kokard.
- Jest piękna - powiedziałam, powstrzymując łzy.
- Wszystko w porządku, Anne? - Mary objęła mnie ramieniem.

Chór, grupka ochotników zebrana przez porucznika, który w Stanach uczył muzyki, zaczął śpiewać kolędę *Adeste Fideles*, a moje ramiona pokryła gęsia skórka. Zamknęłam oczy i zobaczyłam pod powiekami uśmiechniętą do mnie twarz Gerarda, jego życzliwe, ufne spojrzenie. Patrzyli na mnie też Maxine i papa, błagając o wybaczenie, a z oddali machała Kitty. Westry też był wśród nich. Stał na plaży i przyglądał się pozostałym. Czekał.
Kolana ugięły się pode mną i zachwiałam się, a Mary pociągnęła mnie w stronę ławki.
- Powinnaś usiąść - zaczęła wachlować moją twarz zbiorkiem hymnów. - Nie wyglądasz dobrze. Stella! Przynieś jej wody - rzuciła.
Widziałam pomieszczenie jak przez mgłę i wydawało mi się, że chór śpiewa w kółko te same słowa. Padnijmy na kolana, padnijmy na kolana, padnijmy na kolana...
Ktoś podał mi kubek, a ja upiłam nieco, czując, jak woda spływa do mojego przełyku.
- Przepraszam - powiedziałam z zażenowaniem. - Nie wiem, co się stało.
- Zbyt ciężko pracujesz, oto, co się stało - oznajmiła Mary. -Porozmawiam o tym z siostrą Hildebrand. Spójrz tylko na siebie... blada, chuda. Jadłaś dziś kolację?
Pokręciłam głową.
Mary pogrzebała w torebce i znalazła batonik.
- Masz. Zjedz to.
- Dziękuję.
Żołnierze zaczęli się zbierać, zdejmując przy wejściu czapki. Stella oraz Liz usadowiły się obok nas. W trakcie nabożeństwa obejrzałam się, żeby zobaczyć, czy nie przyszła może Kitty, ale zamiast niej dostrzegłam siedzącą z tyłu siostrę Hildebrand. Trzymała chusteczkę, ale kiedy złowiła moje spojrzenie, pospiesznie wepchnęła ją do kieszeni sukienki.

Zaraz po tym jak zapalono świeczki, a chór zaczął śpiewać *Słuchaj, brzmi aniołów pieśń,* dobiegły mnie odgłosy zamieszania i spojrzałam na tył kaplicy. Trzasnęły drzwi. Ludzie zaczęli się wiercić. Pielęgniarka siedząca w ławce za nami wydała stłumiony okrzyk.
- Co się dzieje? - wyszeptałam do Stelli, ponieważ tłum zasłaniał mi widok.
- Oto, co się dzieje - odparła z wyższością, wskazując palcem środkową nawę.
W naszą stronę szła Atea: półnaga, piękna Atea ze łzami na policzkach. Wyglądała tak samo zjawiskowo jak tamtego dnia na targu, choć teraz jej twarz była naznaczona cierpieniem.
- Gdzie on jest? - krzyknęła, rozglądając się po ławkach. -Dlaczego on nie tutaj?
Jeden z żołnierzy wstał i wziął ją za ramię.
- Nie widzisz, że zakłócasz nabożeństwo, panienko? Wyrwała mu się.
- Nie dotykaj mnie! Gdzie on jest? On kłamie. Znajdę go. Powiem wszystkim.
Żołnierz chwycił ją ponownie, tym razem mocniej, i spróbował odciągnąć w stronę drzwi. Atea zaczęła krzyczeć.
- Czekaj! - zawołałam, machając rękami. Poczułam, jak krew odpływa mi z głowy, ale oparłam się o bok ławki. - Znam tę kobietę. Pozwól mi z nią porozmawiać.
Nie wyglądało na to, żeby ktoś miał coś przeciwko temu, więc podeszłam do Atei i uśmiechnęłam się ciepło. Jej zaczerwienione od płaczu brązowe oczy szukały w mojej twarzy zrozumienia, spolegliwości.
- Chciałabyś pomówić na zewnątrz? - zapytałam, jakby dookoła nas nie było nikogo.
Kiwnęła głową i wyszła za mną przed kaplicę. W milczeniu poszłyśmy żwirową ścieżką prowadzącą na plażę. Wiał rześki wiatr, lecz nie przejmowałyśmy się nim.

Atea zaprowadziła mnie do kłody leżącej na piasku i usiadłyśmy.
- Stracham się - oznajmiła.
- Chcesz powiedzieć, że się boisz? Kiwnęła głową.
- Czego, kochana? Czego się boisz?
- Jego - odparła z prostotą.
Lance. Moje policzki zalał rumieniec gniewu. Stella miała rację.
- Co ci zrobił, Ateo?
- Zbił mnie - pokazała mi fioletowoczarne siniaki na nadgarstku i ramieniu.
- Tak mi przykro - powiedziałam. - Dlaczego przyszłaś dziś tutaj, do kaplicy?
Miała łzy w oczach.
- Powiem wszystkim, co robi. Wtedy on mnie już nie bije.
- Ateo, musisz opuścić tę bazę - powiedziałam. - Jeśli będzie chciał cię skrzywdzić, znajdzie sposób. Musisz wyjechać i trzymać się z daleka.
Wyglądała na zdezorientowaną.
- Gdzie mam pójść?
- Możesz się do kogoś przenieść? Do matki? Babci? Ciotki? Atea pokręciła głową.
- Nie - odparła. - Nie mam nikogo, tylko Titę.
- Kim jest Tita?
- Najstarsza kobieta na Bora-Bora. Troszczy się o wszystkie. Kiwnęłam głową. Nagle moje własne problemy wydały mi
się pozbawione znaczenia.
- W każdym razie nie możesz tutaj zostać. Widać było, że jakaś myśl ją niepokoi.
- Ale co robić, kiedy on przyjdzie?
- Co znaczy „kiedy przyjdzie"?
- On przyjdzie. Pogładziłam ją po ramieniu.

- Widzisz ten biały budynek w oddali i okno na rogu drugiego piętra, tuż obok palmy?
- Tak - odparła potulnie.
- To mój pokój. Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebować, kiedy będziesz się bała. Zawsze mamy otwarte okno. Usłyszę cię.
Wlepiała we mnie wzrok swoich ogromnych, ufnych oczu.
- A jak cię nie ma?
- To przybiegnij na tę plażę - wskazałam palcem dalszy odcinek wybrzeża. - Jakiś kilometr stąd jest bungalow, mała chatka w zaroślach. Drzwi są zamknięte, ale klucz znajdziesz w książce pod schodami. Nikt tutaj o nim nie wie. Będziesz tam bezpieczna.
Atea wybałuszyła oczy.
- Dom artysty?
Pokręciłam głową z konsternacją.
- Chyba nie wiem, co masz na myśli.
- Tak, malarza. Nikt tam nie idzie. Tita mówi, jest odwiedzony.
- Nawiedzony?! -Tak.
- Czy ty w to wierzysz? - zapytałam. Atea wzruszyła ramionami.
- Może, ale jeśli muszę, to tam idę.
- Dobrze.
Atea się uśmiechnęła.
- Nic ci nie będzie - powiedziałam. - Wszystko będzie dobrze. Zadbam o to.
- Naprawdę? - zaglądała mi z napięciem w oczy. Była tak piękna, tak niewinna i wystraszona.
Przyrzekłam sobie, że będę ją chronić, że poruszę z Westrym temat Lancea. Dopilnuję, żeby jej nigdy więcej nie skrzywdził.
- Naprawdę - zapewniłam. Głęboko odetchnęła i wstała.

- Ateo, jeszcze jedno - dodałam. - Jeśli spotkasz Lancea, nie możesz wspomnieć mu o tym, że przyszłaś do bazy, ani o naszej rozmowie. To go tylko rozgniewa.
Rzuciła mi nierozumiejące spojrzenie, ale kiwnęła głową.
- Dobranoc - powiedziałam.
- *Taoto maitai* - odparła i zniknęła w świetle księżyca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Światło porannego słońca było tak ostre, że dwa jego silne promienie przecisnęły się przez zasłony i tańczyły na drzwiach szafy. Kitty i ja przyglądałyśmy się im z łóżek.

- Możesz sobie wyobrazić tak słoneczny poranek w Seattle, i to w styczniu? - zapytałam, odwracając twarz w stronę Kitty.

- Nie - odparła obojętnym tonem. - Brakuje mi zimna. Przykrzy mi się już to słońce.

- Nie wiem, czy mnie mogłoby się kiedykolwiek sprzykrzyć - oznajmiłam, siadając i sięgając po ułożony w nogach łóżka szlafrok. - Kitty? Mogę ci się z czegoś zwierzyć?

-Tak.

- Martwię się. - O co?

- Wyglądała na zmęczoną, nie tylko dlatego że było wcześnie. Cała jej twarz emanowała wycieńczeniem. Od Wigilii, kiedy to wspomniałam Kitty o słowach Atei, nie poruszyłyśmy tematu Lancea. Ostrzegłam ją przed nim, ale to, co jej o nim powiedziałam, nie zrobiło na niej wrażenia. Wszystko było między nimi skończone - a przynajmniej na to wyglądało. Z każdym dniem robiła się bardziej milcząca i zamyślona, a ja coraz bardziej się martwiłam. Czy Lance zranił ją tak jak Ateę?

- Zastanawiam się, czy ta wyspa nas nie zmieniła - powiedziałam.

- Zmieniła nas - odparła krótko Kitty. Zamiast spojrzeć na mnie, patrzyła na ścianę za moimi plecami.
- Kitty, ja po prostu... - urwałam, gdyż ktoś zastukał nagle do drzwi.
- Kto tam? - zawołałam.
- To ja, Mary.
Zawiązałam szlafrok i otworzyłam drzwi zarumienionej, uśmiechniętej Mary.
- Dzień dobry, moje miłe - powiedziała, wsuwając głowę do pokoju, żeby przyciągnąć spojrzenie Kitty, choć jej się to nie udało.
Mary odzyskała siły po zmaganiach z malarią i teraz podczas pracy w szpitalu zawsze coś nuciła, podczas gdy wszystkie inne pielęgniarki zrzędziły. Stella wspomniała, że Mary spotyka się z żołnierzem o imieniu Lou, choć sama nic jeszcze nie zdradziła na ten temat. Miałam nadzieję, że to prawda. Zasługiwała na szczęście.
Właśnie wtedy poczułam ukłucie w sercu. List. List od byłego narzeczonego Mary. Zerknęłam na wsunięte pod mój stolik nocny pudełko po butach, gdzie schowałam list, przyrzekając sobie, że dam go jej, kiedy uznam, że jest gotowa. Podniosłam wieko i sięgnęłam do środka, a na podłogę wypadł najnowszy list od Gerarda. Zarumieniłam się i pospiesznie schowałam pudełko. Jak Mary może zmierzyć się ze swoją przeszłością, skoro ja nie potrafię nawet myśleć o mojej?
- Chciałam zaprosić was na małe przyjęcie dziś wieczorem -ciągnęła Mary. Jej oczy lśniły tak, jak lśnią oczy kobiety zakochanej... a właściwie kobiety, która dopiero co się zakochała. - Spotykamy się na kolacji na plaży. Będzie Stella, Liz, kilka innych pielęgniarek i kilku żołnierzy. O siódmej trzydzieści pakujemy się do ciężarówki i jedziemy na plażę Leatra. Westry też chyba będzie, Anne.
Rzuciła mi znaczące spojrzenie, którego nie odwzajemniłam. Nie rozmawiałam z Westrym od trzech tygodni i niepokoiło

mnie to. Jego dowódca oczywiście znajdował mu zajęcia - sporo zajęć. Ale rzadko zastawałam go ostatnio w domku na plaży, nawet kiedy wiedziałam, że ma wolną chwilę.
Plaża Leatra. Rzut kamieniem od bungalowu. Naszego bungalowu. Ścisnęło mnie w piersi. „Czym się tak martwię? Przecież nikt go nie znajdzie". Nikt poza Westrym i mną nie wiedział o jego istnieniu. Czasami miałam wrażenie, że ta niewielka chatka jest widoczna tylko dla nas. Właśnie o tym rozmawialiśmy przy poprzedniej okazji, kiedy byliśmy tam razem i zauważyliśmy żołnierza mijającego nasz cichy zazwyczaj odcinek plaży. Na dźwięk jego gwizdania przebiegł mnie dreszcz. Czy dostrzeże bungalow? Zauważy nas? Zdałam sobie wówczas sprawę z tego, jak bardzo kocham ten nasz prywatny światek, jak bardzo chcę, żeby pozostał niezmieniony.
- Ktoś idzie - szepnęłam wtedy do Westry ego w panice. Wyjrzeliśmy przez okno wychodzące na plażę; mężczyzna
zataczał się po białym piasku. Zapewne był pijany. Żołnierze przesadzali z piciem, a upał panujący na wyspie tylko pogarszał ich stan.
- Droga wolna - oznajmił Westry chwilę później. - Nie zauważył nas.
Dlaczego nas nie zauważył? Bungalow nie był znowu aż tak daleko od plaży, schowany nieznacznie za liśćmi palmowymi. Każdy choć odrobinę ciekawy człowiek dostrzegłby go, gdyby tylko przyjrzał się nieco uważniej. Dlaczego zatem nikt inny nie odnalazł chatki? Jak to możliwe, że pozostała niezauważona przez te wszystkie lata, znajdując się tak niedaleko bazy wojskowej zamieszkanej przez kilka tysięcy żołnierzy? Te pytania kazały mi się zastanawiać, czy bungalow nie jest czasem wytworem wyobraźni, naszej wyobraźni; mirażem stworzonym przez polinezyjskie słońce specjalnie dla Westry ego i dla mnie.
- To co, jedziecie z nami? - zapytała z wyczekiwaniem Mary. Obejrzałam się na Kitty. Miała obojętną, nieobecną minę.

- Pojadę - odparłam z wahaniem - ale tylko jeśli dołączy do nas Kitty.
To ją chyba zaskoczyło.
- Och, nie - odparła, kręcąc głową. - Nie, nie mogę.
- Dlaczego nie?
Zamiast wyjaśnić, Kitty tylko milczała.
Skrzyżowałam ramiona na piersi i zmusiłam się do uśmiechu.
- Widzisz? Nawet nie masz dobrej wymówki - powiedziałam i odwróciłam się z powrotem do Mary. - Jedziemy.
- Świetnie. Przyjdźcie na parking o wpół do ósmej.
Kitty dołączyła do mnie z ociąganiem. Zanim wyszłyśmy z pokoju, obrzuciłam ją długim, uważnym spojrzeniem. Co się w niej zmieniło? To prawda, jej policzki były bledsze, a włosy -zawsze niesforne - były teraz wręcz niemożliwe do opanowania. Nie zerknęła nawet w małe owalne lustro wiszące na ścianie. Nie byłam pewna, czy gdyby to zrobiła, potrafiłaby w ogóle zauważyć zmianę. Nie chodziło tylko o jej włosy, ale też figurę. Tydzień wcześniej usłyszałam, jak Stella komentuje w kantynie to, że Kitty poszła po dokładkę puree ziemniaczanego.
- Wróci do domu dziesięć kilo cięższa - szepnęła wtedy do Liz.
Kitty faktycznie nieco przytyła, ale wciąż wyglądała promiennie mimo potarganych włosów, bladych policzków i okrą-glejszej sylwetki. Była piękna niezależnie od wszystkiego.
- Ładnie wyglądasz - powiedziałam, kiedy tego wieczora wychodziłyśmy z baraków.
- Wcale nie - odparła.
Nie podobał mi się ton rezygnacji w jej głosie.
- Nie mów tak - zganiłam ją. - Mogłabyś się otrząsnąć z tego ponurego nastroju. Brakuje mi mojej dawnej przyjaciółki.
Kitty zatrzymała się jak wryta, a kiedy odwróciłam wzrok od jej twarzy, dostrzegłam powód. Zbliżał się pułkownik Donahue.

Na nasz widok uchylił czapki, jednak nie odezwał się ani słowem. Poczułam mdłości, kiedy przypomniałam sobie incydent z Westrym. Od tamtej chwili gardziłam pułkownikiem, ale na widok lekceważenia, które okazał Kitty - nie rzucił jej nawet „Dzień dobry, jak się masz, Kitty?", i to po zainteresowaniu, jakie okazywał jej po naszym przyjeździe - zagotowałam się z gniewu. Krążyły plotki, że spotyka się z inną pielęgniarką: milczącą, ciemnowłosą, z figurą modelki. Powinien się wstydzić.
Kiedy pułkownik znalazł się w bezpiecznej odległości, odwróciłam się do Kitty.
- Nigdy nie lubiłam tego człowieka.
Kitty posmutniała i zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam gafy.
- Nie chciałam...
Sięgnęła po moją dłoń i uścisnęła ją mocno.
- Nic się nie stało, Anne. Nie musisz przepraszać. Tylko... -urwała, jakby chcąc zebrać myśli, a może sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje z jednego z otwartych okien. Zbliżałyśmy się do baraków żołnierzy. - Nieważne.
- Chciałabym, żebyś mi powiedziała. Jesteś smutna z powodu nowej dziewczyny pułkownika? Stella mówi, że to straszna kretynka. A może chodzi o Lancea? Kitty, czy coś się stało? Zrobił ci krzywdę?
Pokręciła głową.
- Anne, proszę, przestań.
- No dobrze. Powiesz mi, kiedy będziesz na to gotowa? Kitty przytaknęła, ale obawiałam się, że to tylko pusta obietnica.
Niedaleko zobaczyłam część naszej grupy wspinającej się na ciężarówkę. Byli tam Stella z Willem, a także Liz i Mary ze swoim nowym kawalerem Lou.
Kitty i ja dołączyłyśmy do nich.
- Cześć - powiedziałam, siadając obok Mary, która uśmiechnęła się szeroko.

- Tak się cieszę, że przyszłyście. Liz namówiła jednego z kucharzy, żeby pojechał z nami; spójrzcie tylko na nasze łupy!
Wskazała skrzynkę z lodem, w której były kurczak, sałatka ziemniaczana i kolby kukurydzy do upieczenia na grillu. Druga lodówka zawierała niezliczone butelki piwa. Rozejrzałam się nieśmiało po pojeździe, starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z żadnym z mężczyzn. Otaczało nas sporo nieznanych mi, podekscytowanych twarzy. Był też Lance w towarzystwie jasnowłosej pielęgniarki. Jak ona ma na imię? Ach tak, Lela. Wzdrygnęłam się, kiedy przypomniała mi się Atea, biedna Atea. Lance wykorzystał ją i skrzywdził. Może w ten sam sposób wykorzystał Kitty. Miałam nadzieję, że moja przyjaciółka nie zauważy, jak Lance rozmawia ze swoją towarzyszką, jak z nią flirtuje.
Postanowiłam na nich nie patrzeć; rozejrzałam się natomiast po ciężarówce za Westrym. Jedzie z nami?
Mary, która zdaje się czytała mi w myślach, szepnęła:
- Wygląda na to, że nie udało mu się do nas dołączyć. Przykro mi.
Wzruszyłam ramionami.
- Niepotrzebnie - stwierdziłam, ciągnąc za pierścionek zaręczynowy. - Nic nas nie łączy. Absolutnie nic. Trzymałam się mocno Kitty, kiedy ciężarówka mknęła po wyboistej drodze. Każda wyrwa przypominała mi o moim wstydzie. Jak mogłam sobie pozwolić na tak bliski związek z Westrym? Jestem zaręczona i ledwie go znam. Co się stało z moim rozsądkiem na tej wyspie? Kitty patrzyła pustym wzrokiem przed siebie. Chwilę później samochód zatrzymał się przy plaży i wszyscy poza nią wstali.
- Kitty, chodź - powiedziałam.
Kiwnęła posłusznie głową i podniosła się tak, jakby było to wyczerpujące. Lance pomógł Leli wyjść, biorąc ją w ramiona i stawiając na piasku. Zachichotała i zatrzepotała rzęsami. Kitty szybko odwróciła wzrok. Może popełniłam błąd, biorąc ją ze sobą? Sama niezbyt miałam ochotę tam być.

Mary poprowadziła całą grupę na plażę, pokazując mężczyznom, gdzie mają rozłożyć koce, rozpalić ogień dla kucharza, ustawić napoje i radio. Rozległy się okrzyki radości, kiedy starszy szeregowy o imieniu Shawn wydobył szare radio i rozłożył jego antenę. Nawet Kitty uśmiechnęła się lekko. Żadne z nas nie było odporne na czar muzyki.
- No dobrze - oznajmiła Mary, kiedy wszyscy sadowili się na kocach - żeby tylko udało mi się teraz złowić sygnał. - Przez jakiś czas kręciła gałką. Zatrzymała się na moment, kiedy usłyszała słaby męski głos z australijskim akcentem, który czytał wiadomości wojenne tak szybko i z takim przejęciem, że poczułam, jak napina się całe moje ciało.
- Japońskie bombowce przypuściły dzisiaj szturm na północne wybrzeże, pozostawiając za sobą pasmo śmierci i zniszczenia. - Wszyscy nachyliliśmy się bliżej odbiornika. - Liczbę ofiar szacuje się na kilkaset, w tym wiele kobiet i dzieci. - Mary szybko przekręciła gałkę. Po kilku chwilach zakłócenia ucichły, aby ustąpić krystalicznie czystemu sygnałowi zza oceanu. Melodia była cicha, pełna słodyczy i zapadająca w pamięć.
- Jakie to dziwne - powiedziała Mary - złapaliśmy francuską stację.
Słowa były w obcym języku, a melodii nie znaliśmy, a jednak oczarowała ona mnie i całą resztę grupki przycupniętej na plaży. Stella przysunęła się do Willa. Lou wziął Mary za rękę i poprosił ją do tańca. Kilka innych pielęgniarek, nawet Liz, dobrało się w pary z nieznanymi mi mężczyznami. Kitty nie sprzeciwiła się, kiedy przysiadł się do niej jakiś żołnierz. Uśmiechnęła się nawet szeroko, ze smakiem obgryzając kolbę kukurydzy. Melodia wywołała u mnie przypływ tęsknoty, który próbowałam stłumić - tęsknoty za Westrym. Przeniosłam wzrok na ocean i odcinek plaży, który prowadził do bungalowu. Robiło się już ciemno. Nie powinnam. Poza tym i tak go tam nie będzie. Ale gdy muzyka płynęła dalej, zew chatki stawał się coraz silniejszy, aż nie potrafiłam się oprzeć. Wstałam i ruszyłam bez słowa

w stronę plaży. Mogę wymknąć się na pół godzinki. Nikt się nie zorientuje. Nikt nie zauważy mojej nieobecności.
Szłam szybko i obejrzałam się za siebie kilkukrotnie, żeby sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie. Wślizgnęłam się w zarośla i podeszłam do schodów domku. Jest. Nasz bungalow. Jego widok mnie uspokoił. Klęknęłam i przesunęłam ręką pod schodkiem w poszukiwaniu książki i klucza, ale zaraz usłyszałam przed sobą skrzypnięcie otwieranych drzwi. Podniosłam wzrok: nade mną w półmroku stał Westry.
Na jego żuchwie widać było cień zarostu, a po mokrych włosach i rozpiętej koszuli można było wywnioskować, że właśnie wyszedł z morza. Uśmiechnął się.
- Miałem nadzieję, że przyjdziesz dziś wieczorem. Widziałaś ten księżyc?
Kiwnęłam głową i popatrzyłam w niebo, na zabarwiony oranżem księżyc w pełni, który wisiał nad horyzontem, tak blisko, że niemal muskał wybrzeże.
Podeszłam bliżej Westry ego.
- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.
- Wejdź - powiedział, wyciągając do mnie rękę. - Mam Coś dla ciebie.
Zamknął za nami drzwi, a ja usiadłam na łóżku. Czułam w powietrzu jakiś puls, przepływ energii. Wiedziałam, że i on go czuje.
- Spójrz - powiedział, podnosząc radio. - Złapałem sygnał. -Przekręcił gałkę i znów usłyszałam ten dźwięk, tę piękną, nie-dającą spokoju, nieznaną melodię.
- Posłuchaj - pokręcił głową. - Francuska stacja. Zamknęłam oczy, kołysząc się do muzyki.
- Znasz tę piosenkę? - zapytał.
Wsłuchałam się uważnie przez chwilę, a potem zaprzeczyłam ruchem głowy.
- Nie, nie wydaje mi się.
- To *La vie en rose*.

Uniosłam brew.
- Skąd tyją znasz?
- Usłyszałem ją tuż przed wyjazdem na wojnę. Mój przyjaciel pracuje w wytwórni płytowej. Nikt jeszcze nie zna tej piosenki, a przynajmniej nie w Stanach. Sprawdzają, jak poradzi sobie na antenie, zanim wypuszczą płytę. Ale to będzie wielki przebój, zapamiętaj moje słowa. Tylko posłuchaj. - Usiadł obok mnie. Jego ramię otarło się o moje i poczułam ciepło jego skóry.
- Co to znaczy? - zapytałam, czując na twarzy spojrzenie Westry'ego. Sama patrzyłam uparcie przed siebie, na radio.
Nabrał tchu.
- Znaczy: „Tul mnie mocno całą noc, magiczną dajesz moc i życie na różowo; niebo wzdycha do twych ust i zawsze będę już mieć życie na różowo; gdy do siebie tulisz mnie, w swój świat uciekać chcę, gdzie róże kwitną wciąż; a do twych słów anielski śpiewa chór".
- Jest piękna - wciąż nie byłam w stanie na niego spojrzeć. Zaczęły mi się trząść dłonie, więc wsunęłam je pod uda. Westry wstał.
- Zatańczysz ze mną?
Kiwnęłam głową i wzięłam go za rękę.
Przytulił mnie, obejmując ramionami nisko w talii, a nasze ciała kołysały się w rytm muzyki; pasowały do siebie idealnie. Przyłożyłam policzek do jego piersi.
- Westry - szepnęłam.
- Chciałaś powiedzieć: Graysonie? Uśmiechnęłam się.
- Mój drogi Graysonie.
- Tak, Cleo?
- No właśnie. Ja jestem Cleo; ty jesteś Grayson. Ale czy my tylko udajemy? Czy to jest naprawdę? Dlaczego kiedy przebywamy razem, czuję, że wszystko jest tak, jak ma być, że jest cudowne? A kiedy...

- Kiedy jesteśmy tam - przerwał mi, wskazując palcem okno - jest inaczej?
-Tak.
- Ponieważ jest inaczej - odparł z prostotą. - Tutaj mamy nasz raj. Tam... no cóż, to skomplikowane.
- Otóż to - powiedziałam. - Nieomal tu dziś nie przyszłam, bo obawiałam się, że się ode mnie oddalasz. Tamta sprawa z pułkownikiem Donahue... dlaczego o niej nie mówisz?
Położył mi palec na ustach.
- Uwierzyłabyś mi, gdybym powiedział, że cię chronię? Rzuciłam mu nierozumiejące spojrzenie.
- Chronisz mnie? Przed czym?
- Otacza nas szalony świat, Anne. Wojna. Kłamstwa. Zdrady. Smutek. Są wszędzie dookoła. - Ujął moją twarz w dłonie. -Następnym razem, kiedy będziesz się martwić, czy się nie oddalam, przyjdź tutaj. Przyjdź do bungalowu, a poczujesz moją miłość.
Miłość. Westry mnie kocha. Tylko to się liczyło. Przywarłam do niego mocniej i poczułam, że wzbiera we mnie uczucie podobne do głodu, nieznane mi pragnienie, którego nigdy nie czułam przy Gerardzie. Namiętność. Czy to miała na myśli Kitty?
Westry cofnął się o krok.
- Gdybyś mogła się widzieć - powiedział. - Wyglądasz zjawiskowo. Zrobię ci zdjęcie. - Wyciągnął aparat z plecaka i polecił mi oprzeć się o przeciwległą ścianę.
- O, proszę. Idealnie - oznajmił, kiedy trzasnęła lampa błyskowa.
- Teraz twoja kolej - wzięłam od niego aparat. - Chcę mieć twoje zdjęcie. Chcę zapamiętać tę noc, tę chwilę.
Posłusznie oparł się o tę samą ścianę. Spojrzałam mu w oczy przez wizjer, mając nadzieję, że zapamiętam ten moment na zawsze, po czym wcisnęłam wyzwalacz.
Odstawiłam aparat na stolik, a Westry podniósł mnie i położył na łóżku z taką łatwością, że poczułam się lekka jak piórko.

Przesunęłam dłońmi po jego silnych ramionach. Jego usta dotknęły moich, a ja z bijącym mocno sercem wdychałam znajomy zapach jego skóry, upajając się nim. Rozpięłam resztę guzików koszuli Westry'ego i pogładziłam jego pierś. Mięśnie zadrżały mu nieco pod moim dotykiem; uśmiechnął się. We mnie też coś zadrżało, kiedy sięgnął do suwaka mojej sukienki. Rozebrał mnie tak delikatnymi, czułymi ruchami, pieszcząc moją skórę, i całował z taką koncentracją, że zastanawiałam się, czy i on marzył o tej chwili tysiące razy.
Nasze ciała pasowały do siebie tak, jakby były dla siebie stworzone, jakby były sobie pisane. Zamknęłam oczy, obiecując sobie, że zapamiętam każdą chwilę, każdy oddech, każde uczucie, a kiedy było po wszystkim, ułożyliśmy się w ciasnym uścisku; czułam na skórze jego ciepłą pierś. Nasze serca biły w tym samym rytmie, a fale uderzały o brzeg przed bungalowem.
- Westry - szepnęłam. - Tak, najmilsza? - Co będzie, jak to wszystko się skończy?
- Masz na myśli wojnę?
- Tak - powiedziałam. - Kiedy wrócimy do domu.
- Sam chciałbym wiedzieć - odparł, całując mnie w czoło. Poczułam na skórze chłód swojego pierścionka zaręczynowego i odruchowo odsunęłam się od Westryego.
- Myślisz o nim, prawda?
- Wszystko to jest takie skomplikowane - westchnęłam.
- Nie, kiedy miłość jest tak pewna - odpowiedział.
Dla niego było to tak proste. Kochaliśmy się, i tyle. A przecież złożyłam obietnicę Gerardowi, który być może właśnie w tej chwili walczył o życie na polu bitwy, który czekał, abym została jego żoną. Jak mogłam mu to zrobić?
Podniosłam wzrok na Westryego. Patrząc mu w oczy, poczułam pewność, że kocham go całą sobą. Pocałowałam go delikatnie i na powrót ułożyłam głowę na jego ramieniu. Długo słuchaliśmy nadawanych przez radio francuskich piosenek,

zapominając o ludziach, miejscu, a nawet czasie, aż poczułam, że ciążą mi powieki.
Może minuty, może godziny później usłyszałam trzask gałązki przed bungalowem i wyskoczyłam z łóżka. Ubrałam się pospiesznie i gmerając przy zamku sukienki, wyjrzałam przez okno. Dostrzegłam na plaży zarys czyjejś sylwetki.
- Jak myślisz, kto to? - szepnęłam do Westry'ego, który szybko wstał z łóżka, naciągnął spodnie i zarzucił na siebie koszulę. Nie zapiął jej nawet, tylko od razu otworzył drzwi. Ruszyłam tuż za nim, zdając sobie sprawę, że nie mam pojęcia, która godzina. Kitty i reszta z pewnością panikowali.
- Kto tam? - krzyknął Westry w stronę rysującej się w oddali postaci.
- To ja - odparł znajomy głos. - Kitty. - Przedarliśmy się przez zarośla i w świetle księżyca pojawiła się jej twarz. Zobaczyłam, że jest wystraszona. - Anne? Czy to ty?
- Tak - nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem rozczochrana. Czy zapięłam do końca sukienkę? Co sobie pomyśli na widok na wpół rozebranego Westry ego?
- Och - powiedziała, dostrzegając go u mojego boku. - Nie... nie chciałam przerywać... tylko że szykujemy się do wyjazdu i nie mogliśmy cię znaleźć.
- Przepraszam, Kitty - byłam trochę zażenowana. - Chyba straciłam poczucie czasu.
Z miejsca, w którym stała Kitty, nie było widać bungalowu, co mnie ucieszyło.
-Właśnie się zbierałam - oznajmiłam, odwracając się do Westry'ego. Na Boga, ależ on był przystojny. Nie miałam ochoty odchodzić. Chciałam zostać z nim tutaj, może na zawsze. -Dobranoc, Westry.
- Dobranoc, Anne - odparł, posyłając mi poufały uśmiech. Kitty i ja ruszyłyśmy w milczeniu plażą, aż w końcu się odezwała:
- Kochasz go, prawda?

- Kitty!
Wsunęła dłoń w zgięcie mojego ramienia.
- Wszystko w porządku - powiedziała. - Nie obchodzi mnie, kogo kochasz. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Jesteś?
Przeniosłam wzrok na księżyc, a potem z powrotem na odcinek plaży, którym można było dotrzeć do domku.
- Tak - oznajmiłam. - Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa. W drodze powrotnej wyboje nikomu nie przeszkadzały. Na
pewno nie Stelli, która ułożyła wygodnie głowę na kolanach Willa; nie Mary, pogrążonej w rozmowie z Lou; ani zamyślonej Kitty; i na pewno nie mnie: moje serce wezbrało prawdziwą i cudowną miłością. Towarzyszył jej jednak ogromny ciężar, ponieważ musiałam podjąć decyzję - obawiałam się, że już niedługo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słyszałyście? - zapytała przy śniadaniu Liz. - Żołnierze opuszczają wyspę. Prawie wszyscy. Na wyspie na południe stąd toczą się jakieś zaciekłe walki. Szykuje się coś poważnego.

Wymieniłyśmy spojrzenia z Mary. Zobaczyłam w jej oczach troskę o Lou i byłam ciekawa, czy ona z kolei wyczuwa to, że martwię się o Westry ego.

- Wyjeżdżają pod wodzą pułkownika Donahue dziś wieczorem - powiedziała Kitty beznamiętnym tonem, jakby czytała komunikat w „War Digest".

- Czy wiadomo, kto jedzie? - zapytałam z nadzieją, że w moim głosie nie słychać paniki, która mnie ogarnęła.

- Tak - powiedziała Stella, wyciągając chusteczkę. - Idź spojrzeć na listę. - Wskazała tablicę ogłoszeń ustawioną przed kantyną. - Znalazłam już na niej nazwisko Willa.

- Stello, tak mi przykro - powiedziała Liz.

- Pójdziesz ze mną? - zapytałam Mary.

Kiwnęła głową i wyszłyśmy w ponurych nastrojach na zewnątrz. W połowie listy zobaczyłam je: nazwisko Westryego, zapisane czarnym atramentem. Westry Green. Lou też widniał na spisie. Mary wydała z siebie stłumiony okrzyk. Chwyciłyśmy się mocno za ręce.

- Musimy ich znaleźć - oznajmiła. - Musimy się pożegnać, zanim...
- Nie traćmy nadziei - powiedziałam. - Bądźmy dobrej myśli. Oni tego potrzebują.
- Anne - mruknęła Mary - nie zniosę jego straty.
- Nie powinnaś tak mówić, kochana - poklepałam ją po ramieniu. - To przynosi pecha.
Przepracowałam już wczesnoporanną zmianę w szpitalu, więc bez wyrzutów sumienia wymknęłam się z niego po śniadaniu, zmierzając w stronę męskich baraków; stojąc pod nimi, podniosłam wzrok na okno Westryego. Z tego, co udało mi się dostrzec z ławki przed budynkiem, jego pokój wyglądał na pusty - łóżko starannie pościelono, na haczyku przy drzwiach nie było kurtki. Czyżby już wyjechał? Liz wspominała wcześniej, że jeden ze szwadronów żołnierzy już opuścił wyspę. Czy Westry był wśród nich?
Pożegnałam się z Mary i podążyłam na plażę, a kiedy tylko pokonałam zakręt, zaczęłam biec. Może czeka na mnie w chatce. Jeśli pobiegnę dość szybko, zobaczę się z nim, zanim wyjedzie. Kiedy brnęłam przed siebie, do butów wsypał mi się piasek, który jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak ciężki, tak paraliżujący. Może próbuje mnie powstrzymać przed spotkaniem z Westrym, próbuje mnie unieruchomić? Potknęłam się o kawałek drewna i chwyciłam za bolące kolano, po czym podniosłam się i znów ruszyłam biegiem. „Szybciej. Biegnij szybciej". Liczyła się każda chwila.
Przecisnęłam się przez zarośla i w końcu dopadłam schodów bungalowu. Poranne słońce padało na jego ściany z liści palmowych, zalewając go światłem. Chwyciłam gałkę, modląc się, by drzwi były otwarte, by Westry siedział w środku. Jednak kiedy ruszyłam ręką, rozległ się ostry szczęk. Zamknięte. Nie zastałam Westryego. Spóźniłam się.
Mimo to odnalazłam klucz i weszłam do środka, po czym opadłam na krzesło rozczarowana. Atmosfera pokoiku od razu mnie uspokoiła. Czułam obecność Westryego. Spróbowałam

odnaleźć w myślach jego dokładne słowa i odnalazłam je w głębi serca: „Następnym razem kiedy będziesz się martwić, czy się nie oddalam, przyjdź tutaj. Przyjdź do bungalowu, a poczujesz moją miłość". Tak, czułam ją. Spowijała mnie całą.
Uniosłam deskę podłogową i zalała mnie fala ciepła, kiedy zobaczyłam leżący pod nią list.
Moja kochana Cleo,
muszę wyjechać, najmilsza. Wysyłają nas na Guadalcanal, na coś, co dowódca nazywa „poważnymi walkami". Ludzie nie wiedzą, czego się spodziewać; ja też nie. W końcu tak długo tkwiliśmy na tej skale, że prawie uwierzyliśmy, iż jesteśmy na wakacjach. Najwyższy czas, żebyśmy spełnili swoje zadanie, zrobili to, po co tu przyjechaliśmy. Żebyśmy walczyli.
Wstąpiłem dziś rano do szpitala, żeby się pożegnać, ale byłaś zajęta i nie chciałem ci przeszkadzać. Przez chwilę patrzyłem przez okno, jak pracujesz. Ależ Ty jesteś piękna. To, jak się poruszasz, jak mówisz... Jeszcze nigdy nie kochałem tak, jak kocham Ciebie.
Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Może kilka dni. Może kilka miesięcy. Ale modlę się, żebyś zachowała w sercu wspomnienie poprzedniej nocy, tak jak i ja. Modlę się, żebyś myślała o mnie i czekała na mnie, ponieważ wrócę i znów będziemy razem. A kiedy wojna skończy się na dobre, nigdy już się nie rozstaniemy.
Pamiętaj o mnie, *la vie en rose,* najdroższa.
Twój na zawsze
Grayson
Otarłam łzy, a potem wybiegłam nad morze, kiedy dywizjon samolotów przeleciał nad plażą w szyku. Posłałam w niebo pocałunek.
Wróci. Musi wrócić.

Mijały kolejne dni, kiedy byliśmy prawie pozbawieni wieści z frontu. Żołnierze, którzy zostali na wyspie, robili wrażenie zmartwionych i spiętych; może mieli wyrzuty sumienia ze i oni nie walczą, albo wstydzili się, że nie wybrano ich na tak
ważną misję. , ,
Liz wyjaśniła, że alianci zaczynają osaczać Japończyków na Pacyfiku i że jest to kluczowa potyczka w obronie Nowej Zelandii Z nas wszystkich to Liz wiedziała o wojnie najwięcej. Powiedziała, że Japończycy mają zamiar skolonizować Nową Zelandię, gwałcić i zabijać. I choć alianci zajęli Guadalcanal, na południowym Pacyfiku wciąż działały jednostki wroga. Musieliśmy zwyciężyć. Nikt nie rozmawiał o tym, co będzie, jeśli me wygramy wojny, ale myśl ta ciążyła nam wszystkim.
Każdego dnia wynoszono z samolotów coraz liczniejszych żołnierzy. Niektórzy leżeli na noszach oszołomieni i zakrwawieni, niemi, jakby to, co widzieli, odebrało im głos i zmysły. Inni mieli tak poważne obrażenia - oderwane nogi i ręce, odłamki w oczach - że jękiem domagali się morfiny, a my podawałyśmy im ją tak szybko, jak tylko udawało nam się wbic igły w ich wyniszczone bólem ciała.
Z powodu nieprzerwanego strumienia pacjentów miałyśmy w szpitalu pełne ręce roboty; zastanawiałyśmy się czy walki przebiegają zgodnie z planem. Siostra Hildebrand, która kierowała nami z tak beznamiętną precyzją, robiła wrażenie niemal maszyny.
- Liz! - krzyczała. - Idź do magazynu po swieze bandaże. Nie widzisz, że prawie się skończyły? Stella! Chodź tu i pomóż mi przygotować tego do operacji. Kitty! Przy łóżku numer dziewięć trzeba morfiny. Ale szybko.
Zachowywała się jak instruktor musztry, i słusznie. Nigdy w życiu nie pracowałyśmy ciężej. Ponadto nie brakowało emocji Kiedy tylko wnoszono do szpitala kolejnych żołnierzy, kobiety tłoczyły się dookoła, szukając znajomych twarzy.
W końcu któregoś ranka na początku kwietnia usłyszałyśmy przy drzwiach zamieszanie. Ktoś krzyknął:

- Potrzebuję tu pielęgniarki, szybko!
Zobaczyłam, że przy wejściu stoi pilot z zakrwawionym żołnierzem w ramionach.
- Nie mogłem czekać na nosze, więc sam go przyniosłem -powiedział. - Bardzo krwawił w samolocie. Nie wiem, co możecie dla niego zrobić, ale spieszcie się. To dobry człowiek.
Przysunęłam do drzwi łóżko na kółkach i pomogłam pilotowi ułożyć na nim żołnierza. Choć jego twarz i szyję pokrywała krew, natychmiast go rozpoznałam. Dobry Boże, to Will. Will Stelli.
- Ja się nim zajmę - oznajmiłam. - Dziękuję, kapitanie.
- Będą kolejni - ciągnął poważnym tonem. - Właśnie usłyszałem przez radio. Jest źle. Dużo rannych.
Przerażona, zawiozłam Willa do pokoju zabiegowego, gdzie mył ręce doktor Wheeler.
- Panie doktorze! - krzyknęłam. - Ten potrzebuje natychmiastowej pomocy.
Gestem przywołałam do siebie Mary.
- To Will - szepnęłam, kiedy tylko się zbliżyła. Wskazałam drzwi pokoju zabiegowego. - Jest ciężko ranny. Gdzie Stella?
Mary kiwnęła głową w stronę drugiego końca szpitala, gdzie Stella zakładała wraz z siostrą Hildebrand szynę na nogę żołnierza. Jęczał, kiedy nastawiały mu kolano.
- Musimy jej powiedzieć.
- Nie - sprzeciwiłam się. - Potrzebujemy jej. Potrzebujemy teraz na wyspie każdej zdolnej do pracy pielęgniarki. Pilot powiedział, że wiozą następnych. Może będzie to Lou, może Westry. Musimy pracować dalej. Nie możemy pozwalać sobie na opłakiwanie nikogo.
Skinęła głową z powagą.
- Zrobię, co będę mogła, żeby trzymać ją z daleka.
- Dzięki - odparłam. - Będę miała na niego oko. Jeśli jego stan się zmieni, przyprowadzę Stellę.
Godzinę później przywieziono dwudziestu trzech rannych, potem kolejnych dziewięciu, a później jeszcze jedenastu. Trzej

zmarli Większość doprowadziłyśmy do stabilnego stanu i wysłałyśmy na pokłady samolotów lecących z powrotem do domu, aby otrzymali opiekę, której nie byłyśmy im w stanie zapewnie.
- Co za rzeź - powiedziała Liz, przykładając do oczu chusteczkę. Napięcie dawało się jej we znaki, tak jak nam wszystkim.
- Wszystko w porządku? - zapytałam, gładząc ją po plecach - Porozmawiam z siostrą Hildebrand, może cię zwolni.
- Nie - odparła, wygładzając biały materiał fartucha. - Nie, dam radę. Muszę dać radę. .
Zerknęłam na Kitty: wraz z inną pielęgniarką uwijała się gorączkowo przy żołnierzu, którego dopiero co przywieziono. Z bandaży, po które sięgały, wywnioskowałam, ze miał ranną głowę, i to poważnie. Kitty pracowała szybko, dezynfekując czoło mężczyzny spirytusem. Skrzywił się. Owinęła bandaż dookoła jego głowy, ale widać było, że Kitty stoi niepewnie. Cos było nie w porządku. Nagle nogi się pod nią ugięły, tak jak na lądowisku, pierwszego dnia na wyspie. Tym razem jednak nic nie zamortyzowało jej upadku.
Podbiegłam do niej i zaczęłam wachlować jej twarz.
- Kitty, Kitty! Ocknij się. Zemdlałaś.
Liz podała mi fiolkę soli trzeźwiących. Podsunęłam ją Kitty pod nos, a ona chwilę później otworzyła oczy.
- Przepraszam - mruknęła. - Spójrz tylko na mnie. Mamy tu ciężko rannych, a ja nawet nie umiem ustać na nogach.
- Musisz odpocząć - oznajmiłam. - Pomogę ci wrocic do pokoju. Siostra Hildebrand zrozumie.
- Dobrze - odparła - ale nie możesz iść ze mną. Jesteś tutaj potrzebna. Poradzę sobie.
- Zgoda - ustąpiłam. - Proszę, bądź ostrożna.
Kitty wyszła, a ja odwróciłam się z powrotem w stronę rzędów mężczyzn czekających na leki, na opatrunek, na operację albo po prostu na śmierć.
- Musimy jej powiedzieć - rozległ się za mną głos Mary. -Lekarz mówi, że Will może nie przeżyć.

Kiwnęłam głową.
- Pójdziesz ze mną?
Podeszłyśmy do Stelli, która szukała czegoś w szafce.
- Pomyślałby kto, że ktoś uzupełni materiały w tym przeklętym miejscu - burknęła, wstając. - Widziałyście może w tym bałaganie jodynę?
- Stello - zaczęła Mary - powinnaś usiąść.
- Usiąść? - Stella pokręciła głową podejrzliwie. - Dlaczego niby miałabym siadać?
- Chodzi o Willa - powiedziałam, prowadząc ją do krzesła. -Jest ranny. Ciężko ranny.
Stella krzyknęła cicho i zakryła usta dłonią.
- Nie, nie wierzę. - Spojrzała na mnie, a potem na Mary. -Gdzie jest?
Mary wskazała pokój zabiegowy.
- Jest z nim teraz doktor Wheeler, ale nie wiadomo, czy Will przeżyje.
Stella ruszyła biegiem, a my podążyłyśmy za nią.
- Will! Will, to ja. - Uklękła przy łóżku, delikatnie obejmując jego pierś ramieniem. - To ja, Stella.
Will się nie poruszył. Oddychał płytko.
- Panie doktorze, uratuje go pan, prawda? Musi go pan uratować.
Właśnie wtedy Will uniósł powieki. Zamrugał i znów zamknął oczy.
- Will! - krzyknęła Stella. - Will, wróć do mnie. Ponownie otworzył oczy, a potem usta i powiedział słabym
głosem:
- Jestem tu, Stello. Jestem. Doktor Wheeler zdjął okulary.
- A niech to - oznajmił. - Odzyskał przytomność. Może jeszcze się wyliże.
Nie zważając na łzy płynące jej po policzkach, Stella chwyciła mocno dłoń Willa.

- Wyjdziesz z tego. Och, Will! - wtuliła twarz w jego szyję.
Mary i ja osuszyłyśmy oczy. Will miał szansę przeżyć. Dzięki Bogu za to. Ale co z Lou i Westrym? Co z pozostałymi żołnierzami? Czy i oni będą mieli tyle szczęścia? A my?
Pracowałyśmy do końca zmiany, czyli do dwudziestej trzeciej. Nawet wtedy jednak wiele z nas - w tym ja - nie chciało wychodzić. A jeśli trafi tu Westry? Jeśli się miniemy? Siostra Hildebrand nie pozwoliła nam jednak zostać.
- Jesteście zbyt zmęczone, robicie się niedbałe - oznajmiła.
Miała rację. Liz zapomniała podać leki jednemu z pacjentów, a ja przekazałam doktorowi Wheelerowi niepoprawne informacje na temat obrażeń rannego sierżanta. To raną głowy człowieka na łóżku numer siedemnaście, a nie nogami pacjenta z siódemki trzeba się było zająć. Dziewiętnaście. Siedem. Dwadzieścia trzy. Cztery. Łóżka, numery, ludzie - wszystko to zlewało się w jedno, a kiedy zamykałam oczy, widziałam pod powiekami tylko ciemną czerwień krwi.
Kiedy otwierałam drzwi baraków, uświadomiłam sobie, że od kiedy Kitty wyszła ze szpitala, nie pomyślałam o niej ani razu. Czy wszystko z nią w porządku? Wbiegłam na schody i do pokoju: spała.
- Kitty - szepnęłam - jak się czujesz, skarbie? Odwróciła się w moją stronę.
- W porządku - odparła. - Ale co z żołnierzami? Jak mają się sprawy na dole?
- Obłęd - odparłam. - Przywieźli Willa, jest ciężko ranny. Ale chyba dojdzie do siebie.
- To dobrze. A Westry? Wiadomo coś?
- Jeszcze nic - poczułam, że w moich oczach znów wzbierają łzy.
- Przyszła poczta. List dla ciebie położyłam na łóżku.

- Dzięki. Dobranoc, Kitty.
Podniosłam kopertę i stanęłam przy oknie, żeby przeczytać adres zwrotny przy świetle księżyca, nie przeszkadzając Kitty. Od Gerarda.
Ukochana,
nie mam od Ciebie wieści i wolałbym o tym nawet nie wspominać, ale wczoraj owładnął mną strach. Poczułem po prostu, że stało się coś złego. Oczywiście nie chcę w to wierzyć, ale serce podeszło mi do gardła. Czy coś się stało? Jesteś bezpieczna? Proszę, napisz i powiedz, że tak.
Jestem we Francji ze 101. Dywizją Powietrznodesantową, tak daleko od domu, tak daleko od Ciebie. Warunki są tu ciężkie, zapewne tak jak wszędzie. Ludzie padają jak muchy. W kieszeni kurtki trzymam jednak ciągle tę kartkę, którą dla mnie zrobiłaś, tę z czerwonym serduszkiem. Wierzę, że przynosi mi szczęście. Wrócę do Ciebie, Anne. Obiecuję.
Twój Gerard
Szlochając, wsunęłam list z powrotem do koperty, po czym sięgnęłam po moją papeterię; była jasnoniebieska i wytłoczono na niej moje inicjały, AEC. Anne Elizabeth Calloway. Przed wyjazdem nosiłam się z zamiarem pisania wielu listów do domu, do matki, papy, Maxine i przede wszystkim do Gerarda, ale ostatecznie nieczęsto używałam papeterii i było mi wstyd, że nie poświęciłam więcej czasu na korespondencję z nim. Usiadłam, aby napisać list, choć nie wiedziałam, co chcę w nim zawrzeć.
Drogi Gerardzie,
chcę, abyś wiedział, że jestem cała i zdrowa. Poczta dochodzi tu z opóźnieniem, więc dopiero teraz otrzymałam Twoje listy.

Urwałam na chwilę, rozważając to kłamstwo. Niewinne kłamstwo.
Nie pisałam częściej, bo jestem bardzo zajęta. Kiedy nie pracujemy, śpimy; kiedy nie śpimy, pracujemy.
Kolejne kłamstwo.
Często o Tobie myślę i tęsknię za Tobą. Z wyrazami miłości
Anne
♦ ♦ ♦
- Wiecie, jak możemy zabić czas? - powiedziała Stella w kantynie pewnego ranka na początku maja.
- Co takiego? - udała zainteresowanie Mary.
- Zacząć robić na drutach - odparła Stella.
- Łatwo ci powiedzieć - warknęła Mary. - Twój Will jest na miejscu, bezpieczny. Wydaje ci się, że włóczka jest tym, czego nam trzeba?
Wyglądało na to, że Stelli zrobiło się przykro.
- Przepraszam - powiedziała Mary. - Nie mówiłam poważnie.
- Nic się nie stało - odparła Stella. - Pomyślałam po prostu, że miałybyśmy się czym zająć wieczorami, kiedy i tak czekamy tylko na wieści w radiu.
- To nie jest zły pomysł - wtrąciłam.
- Jestem pewna, że tubylcom przydałyby się koce - dodała Mary. - Dla dzieci. Mogłybyśmy je wydziergać.
- Dołączę się - oznajmiła Kitty. -1 ja - powiedziała Liz.

- Możemy zacząć dziś wieczorem po zmianie - zaproponowała Mary.
Stella się uśmiechnęła.
- Dobrze. Zbiorę materiały. Możemy się spotkać w świetlicy.
Stella miała rację. To przędza pomogła nam przetrwać kolejne kilka tygodni. Zrobiłyśmy jeden koc, potem drugi. Robiąc trzeci i czwarty, już planowałyśmy wygląd piątego: miał być zielo-no-żółty, ozdobiony pośrodku motywem palmy.
- Ciekawe, kto będzie pod nimi spał? - Liz przesunęła dłonią po skraju pierwszego ukończonego przez nas koca. - Choć to nic specjalnie ważnego, miło zrobić coś dla mieszkańców wyspy.
Wszystkie pokiwałyśmy głowami.
- Zastanawiacie się czasem, co oni o tym myślą? - ciągnęła. - O tym, że pewnego dnia ich spokojna oaza pośrodku oceanu znalazła się w centrum szalejącej wojny?
- To musi być dla nich przerażające - odparła Mary. - Chciałabym, żebyśmy mogły zrobić coś więcej, niż tylko dać im koce.
- Koce to jednak coś - powiedziała Liz.
Pomyślałam o Atei, samotnej, być może nawet w tarapatach. Może jej przydałby się jeden z nich, a jeśli nie, na pewno zna innych, którzy zrobiliby z nich użytek.
Podniosłam wzrok na otaczający mnie krąg kobiet robiących na drutach.
- Mogę zanieść je miejscowej kobiecie, którą znam - zaproponowałam. - Jutro wezmę je na targ.
- Siostro Hildebrand?
- O co chodzi? - warknęła, nie podnosząc oczu znad biurka.

- Proszę o pozwolenie na dłuższą przerwę obiadową. Zsunęła nieco okulary.
- A co ma zamiar siostra robić?
- No cóż, inne pielęgniarki i ja od jakiegoś czasu robimy na drutach koce - wyjaśniłam. - Dzięki temu mamy zajęcie wieczorami, kiedy tylko byśmy się zamartwiały...
- Do rzeczy, siostro Calloway - powiedziała surowym tonem.
- Tak, przepraszam. Mam zamiar zanieść koce na dzisiejszy targ, żeby rozdać je wyspiarzom, którym mogłyby się przydać.
- Koce? - zapytała nieco kpiącym tonem.
- Tak jest, siostro - odparłam. - Koce. Pokręciła głową, a potem wzruszyła ramionami.
- Chyba nic w tym złego. Proszę wrócić przed drugą trzydzieści. Dostaniemy wtedy transport i będzie potrzebna każda para rąk.
Uśmiechnęłam się.
- Dziękuję, siostro Hildebrand, dziękuję. Będę na czas.
***
Targ robił wrażenie znacznie bardziej spokojnego niż zazwyczaj; było to aż niepokojące. Od kiedy większość żołnierzy wysłano na front, pojawiało się na targu mniej miejscowych sprzedawców, ale miałam nadzieję, że Atea tam będzie. Musiałam z nią porozmawiać.
Od dnia gdy widziałam ją po raz ostatni - po pamiętnej wigilijnej scenie w kaplicy - minęło kilka miesięcy i martwiłam się o nią. Koce były tylko wymówką, żebym mogła upewnić się, czy wszystko u niej w porządku.
- Przepraszam - zwróciłam się do bezzębnej kobiety trzymającej małe dziecko. Siedziała obok stołu zastawionego bananami i kilkoma kępami przykurzonej, egzotycznej zieleniny. -Widziałaś może Ateę?
Kobieta przyjrzała mi się sceptycznym wzrokiem.

- Ona nie tutaj - odparła lekceważąco.
- Chciałam tylko dać jej to - powiedziałam, wyciągając przed siebie koce.
Mój gest zmienił zachowanie kobiety. Przybrała łagodniejszy wyraz twarzy i wskazała odległe o kilkaset kroków wzgórze.
- Ona u Tity. Zielony dom. Jest w środku.
- Dziękuję - powiedziałam i skierowałam się w stronę zbocza.
Ciężarówka wracała do obozu za niecałą godzinę, więc ruszyłam szybko ścieżką prowadzącą na wzgórze. Pył oblepił moje beżowe czółenka z lakierowanej skóry, ale nie martwiłam się tym. Ruchem ręki zmiotłam moskita z ramienia i weszłam na szlak wiodący przez zarośla. Pod sklepieniem tropikalnego lasu było ciemniej i prawie przeoczyłam zielony domek stojący przede mną: zlewał się z barwą wzgórza, jakby stanowił część natury. To na pewno tutaj.
Ktoś oparł rower o ścianę jednopokojowego domostwa, które wyglądało, jakby sklecono je z resztek drewna i wyrzuconych przez morze skarbów. Z odległości kilku kroków zagdakała kura, co mnie wystraszyło, kiedy podnosiłam dłoń, żeby zapukać. Czy głupio robię, że tu jestem?
W drzwiach pojawiła się stara kobieta o siwych włosach zaplecionych schludnie w warkocz.
- Przyszłam zobaczyć się z Ateą - powiedziałam nieśmiało, podnosząc koszyk z kocami.
Kobieta kiwnęła głową i wymamrotała po francusku, a może tahitańsku coś, czego nie zrozumiałam. Za drzwiami usłyszałam kroki.
- Anne! - Atea wyjrzała zza pleców staruszki. - Przyszłaś! Wyglądała inaczej niż zwykle, może dlatego że miała na sobie
sukienkę. Była chyba z pięć rozmiarów za duża jak na drobną sylwetkę dziewczyny i odniosłam wrażenie, że żywcem wyciągnięto ją z katalogu Sears Roebuck z 1895 roku. Byłam ciekawa, dlaczego Atea ją włożyła: wcześniej zadowalała się ledwie skrawkiem materiału.
- Tak, przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam... chciałam się upewnić, czy jesteś bezpieczna. I dać ci to.

Atea wzięła ode mnie koszyk i się zachłysnęła.
- Piękne. Dla mnie?
- Tak, i dla każdego, komu według ciebie się przydadzą - powiedziałam z uśmiechem. - Jak się miewasz?
Wyglądało na to, że nie jest pewna, czy odpowiedzieć na to pytanie.
- Wejdź - zaprosiła mnie zamiast tego. - To jest Tita. Staruszka kiwnęła głową.
- Miło mi cię poznać - powiedziałam. - Jestem Anne. Atea wskazała mi wypleciony z trawy stołek, a ja usiadłam.
Chwilę później Tita przyniosła kubek czegoś ciepłego.
- Herbata dla ciebie - powiedziała.
Podziękowałam jej i upiłam łyk. Napój był słodki i pikantny jednocześnie.
- Smaczne. Co to jest?
- Kava - odparła Atea. - Uspokaja.
Przytaknęłam. Atea miała rację. Każdy łyk miał łagodzący, lekko oszałamiający efekt. Wszystko dookoła mnie zmiękło. Po chwili ostre krawędzie nadłamanej futryny wyglądały na wypolerowane, a klepisko, które zauważyłam, wchodząc, zaczęło przypominać miękki perski dywan.
- To ona? - Tita zapytała Ateę, która kiwnęła głową. Tita przysunęła swoje krzesło do mojego.
- To ty znalazłaś domek artysty?
Z początku nie rozumiałam, ale przypomniałam sobie, co powiedziała Atea kilka miesięcy temu na plaży; zapomniałam podzielić się tym z Westrym.
- Tak, jeśli masz na myśli bungalow - odpowiedziałam. Tita rzuciła Atei znaczące spojrzenie.
- Jest coś, co musisz o nim wiedzieć - oznajmiła staruszka. Nie mogłam oderwać wzroku od jej oczu. - Legenda mówi, że

każdego, kto tam wejdzie, czeka życie pełne... - urwała, jakby zastanawiając się nad następnym słowem - cierpienia.
- Nie jestem pewna, czy rozumiem, co masz na myśli - odstawiłam kubek na drewniany stoliczek po mojej lewej. Odniosłam wrażenie, że w pokoju unosi się mgła, i zaczęłam się zastanawiać, co było w herbacie.
- Dzieją się tam złe rzeczy - wyjaśniła.
Pokręciłam głową. Nie, wszystko się jej pomyliło. Dzieją się tam dobre rzeczy. Była to nasza ukochana kryjówka, miejsce, gdzie pokochałam Westryego. Jak ona może tak mówić?
- Jakie? - zapytałam, kiedy odzyskałam kontrolę nad głosem.
- Zbyt mroczne, żeby o nich mówić - szepnęła, zerkając na krucyfiks zawieszony na ścianie.
Wstałam szybko i wydało mi się, że pokój się rusza.
- No cóż - oparłam się o krzesło. - Dziękuję za herbatę, ale naprawdę muszę już iść. Dbaj o siebie, moja droga - zwróciłam się do Atei. - Proszę, pamiętaj o mojej propozycji, jeśli będziesz kiedyś potrzebowała pomocy.
Kiwnęła głową i rzuciła ostrożnie spojrzenie Ticie, podczas gdy ja sięgnęłam do klamki.
- Zaraz - odwróciłam się jeszcze na chwilę w ich stronę. -Powiedziałaś, że bungalow należał kiedyś do artysty. Czy wiesz może, do kogo?
Tita popatrzyła na Ateę, a potem znów na mnie.
- Tak - oznajmiła z tęsknotą w oczach. - Nazywał się Paul. Paul Gauguin.
Następnego wieczora Mary ledwie zdążyła rozdać przędzę w świetlicy, kiedy zaczęło się pandemonium. Podniosłyśmy głowy, gdy grupa żołnierzy wpadła do środka.
- Siostry, chodźcie szybko! - krzyknął jeden z nich. - Jesteście potrzebne w szpitalu. Przyleciał samolot pełen rannych. Tym razem jest ich zbyt wielu.
Rzuciłam druty na ziemię i pobiegłam wraz z innymi kobietami do szpitala, gdzie siostra Hildebrand wykrzykiwała rozkazy.

- Kitty, zostaniesz ze mną i będziesz pomagać doktorowi Wheelerowi. Stello, weź łóżka od numeru jeden do jedenaście, a Liz dwanaście do dziewiętnaście. Mary, Anne, przyjmujcie rannych. Pilnujcie porządku. Dzisiaj będzie tu dużo cierpienia, ale po to tu jesteśmy. Siostry, odnajdźcie w sobie rezerwy siły. Będziecie musiały jeszcze godzinami z nich czerpać.
Rozbiegłyśmy się na stanowiska i zaczęli napływać ludzie. Jeszcze nigdy nie widziałyśmy niczego podobnego. Rany były poważniejsze, krzyki głośniejsze, a napięcie większe niż wcześniej.
Mary i ja pracowałyśmy przy drzwiach, kierując nowo przybyłymi i przyjmując żołnierzy, z których wielu wrzeszczało i błagało o pomoc - niektórzy słabymi głosami, niektórzy z przerażającą siłą.
Młody żołnierz z raną głowy pociągnął mnie za ramię tak mocno, że podarł rękaw mojej sukienki.
- Chcę do mamy! - krzyczał. - Mamo! Gdzie mama? Wszystko to było wstrząsające: krew, nieszczęście i ból,
a szczególnie obserwowanie mężczyzn, których cierpienie sprowadziło do poziomu dzieci. Mimo to pracowałyśmy dalej. Czerpałyśmy z naszych rezerw siły, jak poleciła nam siostra Hildebrand. A kiedy te się kończyły, odnajdowałyśmy kolejne.
Ostatni samolot przyleciał o wpół do trzeciej nad ranem. Do szpitala wwieziono dziewięciu ludzi.
Stojąca przy drzwiach Mary krzyknęła. Słysząc przerażenie w jej głosie, pojęłam dlaczego.
Podbiegłam do niej. Na noszach leżał Lou - bezwładny, nieruchomy i bardzo poważnie poparzony.
Żołnierz przy drzwiach pokręcił głową.
- Przykro mi, proszę pani - powiedział. - Ten zmarł po drodze. Zrobiliśmy dla niego wszystko, co mogliśmy.
- Nie! - krzyknęła Mary, potrząsając gwałtownie głową. -Nie!
Dopadła żołnierza i chwyciła w garści jego koszulę.

- Nie próbowaliście mu pomóc? Nic nie zrobiliście?
- Proszę pani, zapewniam, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Jego obrażenia były po prostu zbyt poważne.
- Nie! - Mary padła na kolana. - Nie, to niemożliwe. - Podniosła się i ułożyła głowę na piersi Lou, mocząc łzami jego zakrwawioną koszulę.
- Lou, Lou! - szlochała. - Nie, nie, Lou. Nie. Przybiegła do mnie Liz.
- Musimy ją powstrzymać - powiedziała. - Pomożesz mi?
- Mary - powiedziałam. - Mary, przestań. On odszedł, kochanie. Puść go.
- Nie! - zawołała, odpychając mnie.
Jej twarz była zaplamiona krwią Lou. Wezwałam gestem Liz, żeby mi pomogła.
- Skarbie - ujęłam ją za lewe ramię. Liz chwyciła prawe. -Zaprowadzimy cię do łóżka.
- Nie - jęknęła Mary.
- Liz, weź środki uspokajające - powiedziałam.
Kiwnęła głową i podała mi strzykawkę. Mary nie zareagowała, kiedy wbiłam igłę w jej ramię. Chwilę później jej mięśnie się rozluźniły.
- No, już - ułożyłam ją ostrożnie na stojącym obok łóżku. Na prześcieradle widać było smugę krwi. Cudzej krwi. Nie było jednak czasu go zmienić. - Połóż się, kochana - powiedziałam, wilgotną szmatką ocierając krew Lou z jej twarzy. -Spróbuj odpocząć.
- Lou... - mruknęła słabym głosem, zanim opadły jej powieki.
Przez kilka chwil patrzyłam, jak oddycha, i myślałam o tym, jakie to niesprawiedliwe. Po wszystkim, co przeszła, ponownie odnalazła miłość tylko po to, żeby ją znów utracić w tak tragicznych okolicznościach. Tak nie powinno być.

Kitty i ja wróciłyśmy do baraków w milczeniu. Wiedziałyśmy już, jak wygląda wojna, a raczej jej pokłosie - jej ohyda i okrucieństwo.
Padłyśmy na łóżka i długo słuchałyśmy samolotów przelatujących nad nami. Modliłam się za Westryego i byłam ciekawa, za kogo modli się Kitty albo o kim myśli.
- Anne - szepnęła do mnie, kiedy na niebie już od dawna było cicho. - Śpisz?
-Nie.
- Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Usiadłam.
- Co takiego?
Westchnęła, patrząc na mnie oczami pełnymi smutku i bólu, którego nie rozumiałam.
- Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Krzyknęłam cicho i podbiegłam do jej łóżka. - Och, Kitty! - zawołałam, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Wiem już od jakiegoś czasu - wyznała, a jej oczy zaszkliły się łzami. - Tak bardzo się bałam powiedzieć ci o tym.

- Dlaczego miałabyś się bać, Kitty? Zrobiła głęboki wydech.

- Po części bałam się do tego przyznać, nawet przed samą sobą, ale też wiedziałam, że to cię rozczaruje.

- Rozczaruje mnie? - przeczesałam palcami jej loki. - Nie, smutno mi tylko, że sama musiałaś dźwigać ten ciężar.

Kitty wtuliła twarz w moje ramię i dała upust rozpaczy, aż szlochy wstrząsały całym jej ciałem.

- Nie wiem, co mam zrobić. Popatrz tylko na mnie - wskazała swój brzuch, który był wyraźnie zaokrąglony. - Od miesięcy ściągam go pasami elastycznymi. Nie mogę tak dalej. Niedługo wszyscy zauważą. Będę rodzić za miesiąc, może szybciej.

- Porozmawiamy z siostrą Hildebrand - oznajmiłam.

- Nie! - krzyknęła błagalnie Kitty. - Nie, nie możemy do niej iść. Proszę cię, Anne.

- Nie mamy wyboru - sprzeciwiłam się. - Nie możesz pracować tak intensywnie w tym stanie, a niedługo pojawi się dziecko. Musimy się do tego przygotować.

Kitty wyglądała na przestraszoną i zagubioną. Po jej minie widać było, że nie przemyślała jeszcze realnego wymiaru tego, co ją czekało: rodzenia dziecka na wyspie odległej o tysiące kilometrów od domu, bez ślubu, w hańbie i niepewności.
- No dobrze - powiedziała. - Jeśli sądzisz, że tak będzie najlepiej, powiedz jej. Ale nie dam rady przy tym być.
Pocałowałam ją w czoło i uśmiechnęłam się do niej.
- Nie musisz, kochana - oznajmiłam. - Wszystkim się zajmę.
***
Następnego dnia trudno było mi znaleźć choć chwilę, bym mogła pomówić z siostrą Hildebrand na osobności, ale podczas ostatniej godziny zmiany udało mi się wpaść na nią w magazynie.
- Siostro Hildebrand - zamknęłam za sobą cicho drzwi. -Czy mogę z siostrą porozmawiać?
- Tak, Anne - odparła, nie podnosząc oczu znad skrzynki, którą właśnie rozpakowywała. - Tylko szybko, muszę wracać.
- Dziękuję. Chodzi o Kitty. Siostra Hildebrand kiwnęła głową.
- Wiem już - powiedziała.
- Co siostra ma na myśli?
- O jej ciąży - ciągnęła beznamiętnym tonem.
- Tak, aleja...
- Anne, jestem pielęgniarką od bardzo dawna. Przyjmowałam porody i sama rodziłam. Wiem wszystko. - Ona potrzebuje pomocy - powiedziałam ostrożnie. - Niedługo rodzi i nie może dalej pracować tak ciężko. Siostra Hildebrand dopiero wtedy się do mnie odwróciła. Nie miałam pojęcia, że jej twarz może przyjąć tak łagodny wyraz.
- Powiedz jej, żeby nie martwiła się pracą w szpitalu. Jeśli ktoś zapyta, powiem, że nabawiła się tej gorączki, która krąży ostatnio po bazie, i przechodzi kwarantannę. Będziesz musiała nosić jej jedzenie. Dasz radę?

- Tak - odparłam z uśmiechem. - Tak, oczywiście.
- A kiedy nadejdzie pora, przyjdź po mnie. Kiwnęłam głową.
- Ale co stanie się z dzieckiem, kiedy już...
- Znam małżeństwo misjonarzy, którzy je wezmą - powiedziała. - Mieszkają tuż za wzgórzem, po drugiej stronie wyspy. To dobrzy ludzie. Rano z nimi porozmawiam.
- Dziękuję, siostro Hildebrand - poczułam taki przypływ emocji, że łzy zaczęły kapać mi z oczu. - Nie spodziewałam się, że siostra będzie tak...
- Wystarczy - przerwała mi. Łagodność zniknęła już z jej twarzy i zastąpiła ją surowa mina, którą tak dobrze znałam. -Czas wracać do pracy.

* * *

Dzień, w którym Mary opuściła wyspę, był smutny dla nas wszystkich, szczególnie dla uwięzionej w barakach Kitty, która nie mogła dołączyć do pozostałych pielęgniarek na lądowisku i się z nią pożegnać.

Wyspa surowo obeszła się z Mary, być może surowiej niż z którąkolwiek z nas. Obciążyła ją malarią i niemal ją uśmierciła, a potem złamała jej serce.

- Żegnaj, przyjaciółko - zwróciła się do niej Stella.
- Nigdy cię nie zapomnimy, kochana - dodała Liz.

Stojąca przed otwartymi drzwiami samolotu Mary wyglądała jak cień samej siebie: była szczuplejsza niż kiedykolwiek, a własnoręcznie zadane rany na nadgarstkach, które prawie zakończyły jej życie, wciąż miała owinięte bandażami.

Wyjęła chusteczkę z torby i osuszyła zaczerwienione oczy.

- Tak bardzo będę za wami tęsknić - powiedziała. - Mam wrażenie, że nie powinnam wyjeżdżać. Zostałyście moimi najbliższymi przyjaciółkami, siostrami.

Ścisnęłam Mary za rękę.

- Nadszedł twój czas, kochana. Jedź do domu. Dbaj o siebie. -Przypomniałam sobie list od Edwarda, który miałam w kieszeni. Nie spodziewałam się, że zachowam go tak długo. Czy była już gotowa, aby go przeczytać? Uznałam, że nie ma to znaczenia. List należał do niej.
- Chyba czas już na mnie - powiedziała Mary, sięgając po torbę.
Pozostałe kobiety przełknęły łzy, kiedy odwróciła się w stronę samolotu.
- Poczekaj - powiedziałam.
Mary obejrzała się na mnie z pytającym wyrazem twarzy. Wyciągnęłam list z kieszeni i wsunęłam go jej do ręki.
- Przyszedł do ciebie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi ukrycie go przed tobą. Nie chciałam, żebyś cierpiała jeszcze bardziej.
Oczy Mary zalśniły, kiedy zobaczyła nazwisko nadawcy.
- Mój Boże - westchnęła.
- Bardzo cię przepraszam - dodałam, cofając się. Mary chwyciła mnie za rękę.
- Nie, nie przepraszaj. Rozumiem. Naprawdę.
- Będę za tobą bardzo tęsknić - żałowałam, że życie nie ułożyło się inaczej dla niej, dla Kitty, dla nas wszystkich. - Obiecujesz, że odwiedzisz mnie w Seattle po wojnie?
- Obiecuję - powiedziała.
I tak oto Mary zniknęła wraz ze swoim listem z naszego życia, być może na zawsze. Na wyspie zrobiło się samotniej.
Długo miałam wrażenie, że Westry nigdy nie wróci. Bez niego na wyspie było inaczej, zwłaszcza po wyjeździe Mary i po tym, jak Kitty trafiła do szpitala. Pewnego ranka pod koniec maja usłyszałyśmy przez głośnik pośrodku obozu wiadomość, że żołnierze wrócili.
- Idź - powiedziała do mnie siostra Hildebrand.

Nawet jej nie podziękowałam, tylko od razu wybiegłam na ścieżkę i nie zwolniłam, dopóki nie znalazłam się na skraju lądowiska. Mężczyźni brnęli w stronę obozu z ciężkimi torbami i jeszcze cięższymi sercami. Zobaczyłam Lancea, pułkownika Donahue i jeszcze kilka znajomych twarzy. Gdzie jest Westry? Rozejrzałam się za kimś, kogo bym znała. Elliot wrócił już wcześniej do domu wraz z grupą innych żołnierzy, których służba się zakończyła. Czy ktokolwiek będzie coś wiedział o Westrym?
- Widziałeś może Westry ego? - zapytałam pierwszego lepszego żołnierza.
Szedł ze spuszczoną głową.
- Przykro mi, proszę pani, nie znam go.
Kiwnęłam głową, po czym dostrzegłam żołnierza, który dzielił z Westrym pokój w barakach.
- Ted - powiedziałam, zbliżając się do niego - gdzie jest Westry? Widziałeś go?
Pokręcił głową.
- Niestety, od wczoraj nie.
- Co masz na myśli?
- Był na linii frontu i... Serce zaczęło mi walić.
- Co chcesz powiedzieć?
- Nie było go z nami w samolocie.
- Co to znaczy? - krzyknęłam. - Że nie wraca? Po prostu go tam zostawiliście?
- Dziś wieczorem przylatuje jeszcze jeden transport - oznajmił. - Módlmy się, by oni go przywieźli.
Kiwnęłam głową, a Ted uchylił czapki i wrócił do szeregu żołnierzy idących w stronę obozu, spragnionych gorącego posiłku i miękkiego łóżka.
Chwyciłam medalion, który nieprzerwanie wisiał na mojej szyi, z nadzieją, że niezależnie od tego, gdzie Westry jest, czuje

moją miłość. Miałam zamiar sprowadzić go z powrotem choćby siłą woli. Musiałam to zrobić.
Tego samego wieczora zrobiło się chłodno, co było nietypowe jak na maj w tropikach. Drżałam, idąc po plaży. Biorąc pod uwagę stan Kitty, zostawienie jej było nierozsądną decyzją. Już od kilku dni miała słabe skurcze, ale zapewniła mnie, że to nic poważnego. Mimo to obiecałam jej, że wrócę w ciągu godziny. Miałam wyrzuty sumienia, że wychodzę, ale jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowałam pocieszenia, które mógł dać mi bungalow.
Otworzyłam drzwi i owinęłam się narzutą, wytężając słuch w oczekiwaniu na warkot silników samolotu. Czy przyleci? Błagam, Boże, sprowadź go z powrotem.
Jednak zamiast odgłosu kroków na piasku usłyszałam tylko deszcz: najpierw ledwie kilka kropel, a potem setki, tysiące. Było tak, jakby niebo otworzyło się na oścież i wylało całą swoją zawartość na dach domku.
Otworzyłam drzwi i wyciągnęłam dłoń, aby poczuć na skórze krople deszczu; były jak mocne pocałunki i kusiły mnie, żebym wyszła na zewnątrz. Zrobiłam jeszcze krok i uniosłam głowę, zamykając oczy i pozwalając ciepłym kroplom opadać na moją twarz i włosy. Po chwili moja sukienka była przemoczona. Rozpięłam guziki przy staniku, kiedy deszcz przesiąkł aż pod halkę.
Wtedy kątem oka zobaczyłam czyjąś sylwetkę. Początkowo rysowała się niewyraźnie, w oddali. Podeszłam bliżej, nie czując strachu, przedzierając się przez deszcz, jakby był zasłoną z paciorków zwieszającą się z nieba, aż zobaczyłam wyraźnie jego twarz: wychudzoną po miesiącach walki i głodną miłości, którą tak rozpaczliwie chciałam mu dać.
Przywarliśmy do siebie; nasze ciała pasowały do siebie jak ulał. Upuścił torbę na piasek.

- Och, Westry! - zawołałam. Nawet w ciemnościach widziałam zadrapania na jego twarzy i podarty, zaplamiony błotem mundur.
- Przyszedłem prosto tutaj - powiedział.
- Och, Westry! - powtórzyłam, przyciągając jego usta do swoich.
Przesunął dłońmi po mojej sukience, ciągnąc za materiał, jakby chciał go ze mnie zerwać. Uwiesiłam mu się na szyi, opasując go w pasie nogami i całując raz po raz, aż się uśmiechnął i łagodnie postawił mnie z powrotem na piasku.
- Zróbmy to jak należy - powiedział, sięgając do torby. - Widziałaś kiedyś prawdziwy wojskowy prysznic?
Wyciągnął kostkę mydła.
- Tak kąpaliśmy się na statku. Na pokładzie, w tropikalnym deszczu.
Sięgnęłam do jego kołnierzyka i przesunęłam dłonie w dół, rozpinając guziki tak szybko, jak potrafiłam, aż dotknęłam jego nagiej klatki piersiowej i nieśmiertelników zawieszonych na szyi. Zsunął spodnie i zdjął ze mnie sukienkę. Staliśmy tak przez chwilę, całkiem nadzy w ciepłym deszczu, aż Westry zbliżył się do mnie i przesunął kostkę mydła po mojej szyi. Westchnęłam, kiedy dotknął moich piersi, pokrywając skórę pianą.
Podeszłam jeszcze bliżej, nie mogąc się nacieszyć tym, jak nasze ciała reagują na tę intymność, i wzięłam mydło w ręce, pocierając nim pierś, ramiona i plecy Westry ego. Deszcz zmywał pianę, kiedy tylko się pojawiała. Westry przyciągnął mnie mocno do siebie, a ja poczułam w jego pocałunku jakieś napięcie, głód. Wziął mnie na ręce - resztki mydła wyślizgnęły mi się z dłoni i spadły na piasek - i zaniósł do chatki, gdzie położył mnie na łóżku.

Godzinę później, kiedy burza ucichła, leżałam pod narzutą, ciesząc się jej dotykiem na nagiej skórze, i muskałam dłońmi twarz Westry ego, podczas gdy on patrzył przez okno na plażę. Jego żuchwę pokrywał gęsty zarost. Policzyłam ranki na jego twarzy. Cztery; pięć, jeśli liczyć cięcie na uchu.
- Jak tam było? - wyszeptałam.
- Jak w piekle na ziemi - odparł, siadając i opierając się o poduszki.
Wyczułam jego wahanie.
- Nie chcesz o tym mówić, prawda?
- Wolałbym cieszyć się tą cudowną chwilą - oznajmił i pocałował mnie delikatnie.
Pomyślałam o Kitty i zdałam sobie sprawę, że mogły minąć godziny. Czy wszystko z nią w porządku? Miałam wyrzuty sumienia, że zniknęłam na tak długo.
- Nasze ubrania - powiedziałam z lekką paniką w głosie. -Na pewno całkiem przemokły.
Westry wstał, a koc opadł na łóżko. Zachichotałam nieśmiało, przyglądając się jego silnemu, pięknemu, nagiemu ciału.
- Pójdę po nie - powiedział.
Wrócił chwilę później z moją wilgotną, pogniecioną sukienką. Wsunęłam ją przez głowę, a on włożył spodnie.
- Możesz zostać jeszcze chwilę? - zapytał, przeczesując moje włosy palcami.
- Chciałabym, ale muszę wracać. - Chciałam powiedzieć mu o Kitty, postanowiłam jednak tego nie robić. - Kitty spodziewa się mojego powrotu od kilku godzin.
Westry kiwnął głową i pocałował mnie w rękę.
Oboje odwróciliśmy się w stronę okna, kiedy usłyszeliśmy szelest zarośli i słabe pukanie do drzwi. Westry otworzył drzwi ostrożnie, a ja wyjrzałam zza jego ramienia i zobaczyłam, że przed domkiem stoi Kitty. Obejmowała swój brzuch z wyrazem cierpienia na twarzy.
- Anne! - krzyknęła. - Już czas.

Nie zastanawiałam się, jak nas znalazła. To nie była odpowiednia pora na zadawanie pytań.
- Musimy zaprowadzić cię do szpitala - powiedziałam, podbiegając do niej.
- Nie. Nie pozwolę, żeby inne pielęgniarki zobaczyły mnie w takim stanie. Poza tym już na to za późno. Zaraz będę rodzić.
Westry rozdziawił usta, kiedy pomagałam Kitty wejść do chatki, a potem położyć się na łóżku. Jęczała tak boleśnie, że serce krajało mi się na jej widok. Lancebwi należy się kara za to, że ją tak zostawił.
Pokręciłam głową, otarłam pot z czoła Kitty skrajem narzuty i zaczęłam się modlić w duchu. Proszę, Boże, niech Kitty nie cierpi. Daj mi siłę, której mi brakuje.
Kitty zaczęła zawodzić jeszcze głośniej. Czułam, że coś jest nie w porządku. Przypomniałam sobie upiorne ostrzeżenie Tity i się wzdrygnęłam; odepchnęłam od siebie to wspomnienie i zebrałam myśli.
Ostrożnie stanęłam przy nogach Kitty, pomagając jej oprzeć się wygodniej na łóżku. Drżącymi rękami uniosłam jej sukienkę, próbując przypomnieć sobie choć trochę z tego, czego nauczyłam się na temat porodu na kursie pielęgniarskim. Gorąca woda. Kleszcze. Eter. Koce. Przebiegł mnie dreszcz. Nie miałam nic poza własnymi dłońmi.
Wiadomo było na pewno, że Kitty krwawi.
- Kitty - przekrzyczałam ją - Kitty, musisz przeć, ale już. Odniosłam wrażenie, że jest sama ze swoim bólem, że mój
głos do niej nie dociera. Chwyciłam ją za rękę.
- Kitty - ciągnęłam - posłuchaj mnie. Dziecko wkrótce się pojawi i musisz mi pomóc. Proszę, przyj. Musisz być dzielna.
- Anne, pomogę ci - powiedział Westry, w końcu odzyskawszy głos.
Ukląkł przy mnie. Światło lampki padało na jego twarz, opaloną od miesięcy spędzonych na słońcu. Mogłam sobie tylko wyobrażać, co przeszedł, i oto, co go czekało po powrocie.
Westry namoczył swoją chustkę w wodzie z manierki i otarł czoło Kitty. Ja mówiłam do niej podczas kolejnego skurczu.

- Widzę główkę - powiedziałam. - Już niedługo.
Kitty podniosła na Westry ego pełen wdzięczności wzrok. Trzymał ją za rękę i gładził po głowie.
Jeszcze jeden skurcz i dziecko wyślizgnęło się w moje ramiona.
- Dziewczynka! - krzyknęłam. - Kitty, to dziewczynka. Westry pomógł mi przeciąć pępowinę scyzorykiem, a potem
ułożył noworodka w ramionach Kitty. Przytuliła dziecko do piersi.
- Potrzebujemy koców - powiedziałam, zauważywszy, że Kitty drży.
Westry przykrył bezwładne ciało Kitty narzutą, a potem rozpiął koszulę.
- Dziecko możemy owinąć tym - powiedział. Ostrożnie opatulił dziewczynkę zieloną wojskową koszulą, złachmanio-ną i nieco zakrwawioną po tygodniach na froncie.
Kiedy Kitty i małej było już wygodnie, wyszliśmy razem na zewnątrz i usiedliśmy na piasku. Nie mogłam dłużej powstrzymać łez.
- Nie płacz - powiedział cicho Westry. - Kitty czuje się dobrze. Odebrałaś ten poród lepiej niż jakikolwiek lekarz.
Przytaknęłam, ocierając twarz skrajem rękawa.
- Po prostu nie tego dla niej chciałam. Lance powinien trafić przed sąd polowy za to, że zostawił ją w takiej sytuacji.
Westry rzucił mi zmieszane spojrzenie, ale kiwnął głową.
- A dziewczynka? Co się z nią stanie?
- Weźmie ją para misjonarzy mieszkająca na wyspie. Kitty się na to zgodziła, ale - wskazałam ręką bungalow - wiem, jakie to będzie dla niej trudne.
- Kiedy dojdzie do siebie na tyle, że uda się jej wstać, zaniosę ją z powrotem do obozu - powiedział. - Jeśli ty poniesiesz dziecko.
Przytaknęłam.
- Pewnie powinna tam trafić przed świtem, aby uniknąć gapiów.

Westry pogłaskał mnie delikatnie po włosach.
- Anne, rozłąka z tobą była okropna. Znów poczułam łzy w oczach.
- Nie przestawałam się o ciebie martwić.
- Było strasznie - powiedział. - Przetrwałem ten czas tylko dzięki myśli, że do ciebie wrócę.
Wtuliłam twarz w jego nagą pierś, gładką i ciepłą.
- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie udało ci się wrócić. Nie wiem, jak żyłabym dalej.
Wziął mnie za ręce, po czym uniósł moją lewą dłoń i dotknął pierścionka.
- Nie mogę się już dzielić tobą z nim - szepnął.
- Wiem - odparłam, wdychając zapach Westry ego. Ściągnęłam pierścionek i wsunęłam go do kieszeni. - Już nie musisz tego robić. Jestem twoja. Tylko twoja.
Westry pocałował mnie tak namiętnie, że przestałam czuć znajome wyrzuty sumienia względem Gerarda. Moglibyśmy siedzieć tak, przytuleni, do świtu, gdyby nie to, że z chatki dobiegł nas płacz dziecka. Przypomnieliśmy sobie, co musimy zrobić.
- Lepiej weźmy je do domu - pocałowałam Westry'ego najpierw w policzek, potem w czubek nosa, a następnie w grzbiet dłoni. Jeszcze nigdy nie czułam tak prawdziwej, nieskończonej miłości.
♦ ♦ ♦
Westry przeniósł zawiniętą w narzutę Kitty przez cały odcinek plaży prowadzący do obozu. Nawet dla kogoś tak silnego jak on był to nie lada wyczyn i kiedy dotarliśmy na miejsce, z jego opalonego ciała kapały krople potu. Dziewczynka spała w moich ramionach przez całą drogę. Nawet owinięta w wojskową zieleń, wyglądała zupełnie jak matka. Na pewno odziedziczyła po Kitty nos i wysokie kości policzkowe. Byłam ciekawa, czy będzie miała kiedyś burzę loczków. Miałam nadzieję, że tak.

- Zabierzemy cię teraz do szpitala - zawiadomiłam Kitty.
- Ależ Anne, nie...
- Cii - szepnęłam. - Niczym się nie martw. Nie masz się czego wstydzić.
Była piąta rano i choć w drugim skrzydle kilka pielęgniarek mogło zajmować się pacjentami, raczej nie groziło nam natknięcie się na którąkolwiek z nich poza siostrą Hildebrand.
Westry wniósł Kitty do środka. Zaprowadziłam go do małego jednoosobowego pokoju po prawej; położył ją delikatnie na łóżku. Ostrożnie umościłam dziewczynkę w ramionach matki - pasowała tam jak element układanki. Kitty spojrzała na mnie, a potem na Westry ego i przesunęła dłonią po jego zarośniętym policzku.
- Jak ja się wam odwdzięczę?
- Nie musisz się odwdzięczać - odparł z uśmiechem. - Mogłabyś jednak pomóc znaleźć mi nową koszulę.
- Och, ale czyż moja mała nie wygląda ślicznie w tym odcieniu zieleni? - zapytała Kitty rozbawiona.
Westry wyszczerzył zęby i sięgnął po wiszący przy łóżku biały kitel, zapewne należący do doktora Lhdngstona.
- Do twarzy ci - puściłam do niego oko.
Wszyscy obejrzeliśmy się na drzwi, kiedy ktoś przekręcił gałkę. Do środka weszła siostra Hildebrand. Na widok Westry ego w kitlu zrobiła zaskoczoną minę.
- A pan to kto?
- Westry Green, proszę pani - oznajmił. - Pomagałem tylko tej dwójce... to znaczy trójce... i zaraz będę szedł. - Ja się już nimi zajmę, żołnierzu - powiedziała rzeczowym tonem. - A ty możesz zwrócić kitel, kiedy go wypierzesz i wyprasujesz. Westry skinął głową i ruszył do drzwi.
- Dobranoc paniom - rzucił i posłał mi ostatni uśmiech.
- Dobranoc - odparłam. Nie mogłam nie zauważyć jakiegoś niepokoju, który pojawił się w oczach Kitty, kiedy Westry wyszedł.

- Anne, Kitty, wszystko w porządku?
- Tak - odpowiedziałam. - Dziecko jest zdrowe. Trzeba je jednak wymyć. Matkę też.
Siostra Hildebrand kiwnęła głową i wyciągnęła wanienkę z szafy.
- Anne, wykąpiesz małą.
- Oczywiście - wzięłam noworodka z rąk Kitty.
- Zadzwonię do państwa Mayhew i poproszę, żeby przyjechali - ciągnęła siostra Hildebrand. - Kiedy skończysz, możesz zawinąć ją w to zapasowe prześcieradło. W domu będą mieli dla niej ubranka i koce.
Kitty pokręciła głową.
- Państwa Mayhew?
- To ta para, która weźmie twoje dziecko. Na twarzy Kitty pojawiło się przerażenie.
- Tak szybko... - powiedziała. - Ja...
- Tego przecież chciałaś, Kitty. Tak musi być - oznajmiła obojętnym tonem siostra Hildebrand. - Nie możesz mieć tu ze sobą dziecka. To właściwy wybór i dla ciebie, i dla niej. Im szybciej ją oddasz, tym łatwiej ci będzie.
Kitty przyglądała się z przygnębieniem, jak kąpałam jej córeczkę. Namydliłam jej główkę, a potem delikatnie zmyłam pianę myjką.
- Ma na imię Adella - mruknęła Kitty.
- Nie możesz nadać jej imienia, moja droga - oznajmiła siostra Hildebrand. - Państwo Mayhew wymyślą własne imię.
- Nie dbam o to! - odcięła się Kitty, odwracając twarz. - Dla mnie zawsze będzie się nazywała Adella.
Spłukałam resztki mydła z delikatnej skóry dziewczynki, wyjęłam ją z wanienki i ułożyłam na ręczniku. Osuszyłam ją i opatuliłam ostrożnie w prześcieradło zgodnie z zaleceniem siostry Hildebrand, a potem ułożyłam zawiniątko w ramionach Kitty.

- Nie - odwróciła wzrok, przełykając łzy. - Nie mogę wziąć jej na ręce. Jeśli ją przytulę, nie będę potrafiła jej oddać. Nie rozumiesz, Anne? - Kitty zaczęła płakać, ale był to płacz, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. Ten ból emanował z największych głębin jej duszy.
Przełknęłam z trudem ślinę, usiłując zachować spokój dla dobra Kitty, i wyszłam z noworodkiem na zewnątrz. Czekałam tam, aż w korytarzu pojawiła się para ludzi po trzydziestce. Zza zamkniętych drzwi dobiegał stłumiony szloch Kitty.
Siostra Hildebrand kiwnęła nowo przybyłym głową i przedstawiła mi ich:
- John i Evelyn Mayhew - zmusiła się do uśmiechu. - Wezmą dziecko do siebie.
Oboje wyglądali na dobrych ludzi, a radość na twarzy kobiety powiedziała mi, że obdarzy noworodka miłością. Pogłaskała główkę małej.
- Na pewno jest głodna - powiedziała, biorąc ją ode mnie. -Mamy w samochodzie butelkę. - Siostra Hildebrand przyglądała się ze spokojem, może nawet z dumą, jak świeżo upieczona matka tworzy więź ze „swoją" córką.
- Ma na imię Adella - powiedziałam cicho, w imieniu Kitty.
- To piękne imię - odparła - ale wybraliśmy inne. Umieszczę je jednak w jej świadectwie urodzenia, żeby na zawsze pozostało częścią jej historii.
Kiwnęłam głową i cofnęłam się, a małżeństwo podziękowało siostrze Hildebrand i odeszło; nowa, trzyosobowa rodzina powstała tak szybko.
- Wrócę teraz do Kitty - oznajmiłam, sięgając po klamkę.
- Anne, poczekaj - powiedziała siostra Hildebrand - jeszcze nie, proszę. Chciałabym zamienić z nią najpierw słowo.
Nie byłam pewna, co zamierza, ale powaga wymalowana na jej twarzy nakazała mi usłuchać.
Czekałam pod drzwiami całe wieki. Co ona tam robi? Co mówi Kitty?

Przycisnęłam ucho do drzwi i usłyszałam, jak siostra Hildebrand mówi coś zdumiewającego: „Byłam kiedyś w tej samej sytuacji". Te słowa mnie zaszokowały. Odskoczyłam, kiedy klamka zaczęła się ruszać.
Drzwi się otworzyły i zobaczyłam Kitty. Miała suche oczy i najbardziej obojętną, beznamiętną minę, jaką kiedykolwiek u niej widziałam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siostra Hildebrand zwolniła mnie na kilka dni z pracy w szpitalu, żebym mogła zająć się Kitty. Zostałam w pokoju i dotrzymywałam jej towarzystwa, choć miałam wrażenie, że wolałaby być sama.

- Może zagramy w karty? - zaproponowałam, sięgając po talię leżącą w mojej szafce.

- Nie - odparła Kitty. - Dzięki, nie mam ochoty.

Przynosiłam jej jedzenie i próbowałam ją zainteresować magazynami. Liz, która sądziła, że Kitty wciąż dochodzi do siebie po chorobie, wpadła z dwoma najświeższymi numerami „Vogue'a", ale Kitty odłożyła je na łóżko. Wolała patrzeć w ścianę niż na najnowszą modę.

Wiedziałam, że nic nie mogę zrobić w tej sytuacji. Musiała przez to przebrnąć sama. Dlatego też dwa dni po porodzie przeprosiłam ją i poszłam pospacerować po plaży i odwiedzić bungalow. Bardzo potrzebowałam zmiany otoczenia, a Kitty -samotności.

Miałam nadzieję, że zastanę w chatce Westryego, i faktycznie, spał na zalanym popołudniowym słońcem łóżku.

- Cześć - szepnęłam, kładąc się obok niego.

Otworzył oczy i uśmiechnął się ciepło, przyciągając mnie do siebie.

- Na pewno nie wiedziałeś, że śpisz obok arcydzieła - oznajmiłam, uśmiechając się od ucha do ucha.
Westry z zachwytem przesunął palcem po mojej twarzy.
- Wiedziałem to od chwili, kiedy się tu pojawiłaś. Jesteś najwspanialszym dziełem sztuki na świecie.
Zaśmiałam się i pokręciłam głową.
- Nie, głuptasie. Nie chodzi o mnie, tylko o obraz. - Sięgnęłam po płótno leżące pod łóżkiem. - To Gauguin.
Westry usiadł błyskawicznie, patrząc na dzieło świeżym okiem.
- Mówisz poważnie?
Przytaknęłam. Gwizdnął z niedowierzaniem.
- Od początku wydawało mi się, że musiał to być jeden z postimpresjonistów, ale sądziłem, że raczej młodszy, mniej znany malarz, a może czyjś uczeń. Ale na Boga, Gauguin? Skąd wiesz?
- Powiedziała mi pewna miejscowa staruszka - odparłam z dumą.
Westry usiadł obok mnie na łóżku, aby przyjrzeć się uważniej.
- Nie jest podpisany - powiedział.
- Może z początku nie podpisywał swoich prac.
- Możliwe - przyznał. - Monet też miał taki zwyczaj. Kiwnęłam głową.
- Spójrz tylko na te pociągnięcia pędzla.
- W tym obrazie można się zagubić - Westry wciąż nie mógł się nadziwić, jaki skarb trzyma w rękach.
- Co z nim zrobimy? - zapytałam, wygładzając pomiętą koszulę Westry'ego.
- Nie wiem.
- Nie możemy go tutaj zostawić, kiedy wojna się skończy i wyjedziemy. Nie zniosłabym myśli o tym, że mogłyby go pochłonąć fale.
- Albo że zniszczy go wilgotne powietrze - zgodził się Westry. - Dziwne, że aż tak długo przetrwał na łasce żywiołów.
Zawiesiłam obraz z powrotem na haczyku i westchnęłam.

- A może powinien zostać właśnie tutaj. - Patrzyłam na płótno przez chwilę, a potem odwróciłam się z powrotem w stronę Westry'ego. - Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć. Coś o tym domku.
- Co takiego?
- Ta staruszka, Tita, ostrzegała mnie przed nim. Powiedziała, że na każdego, kto tu wejdzie, spada klątwa.
Westry wyszczerzył zęby.
- A ty uwierzyłaś w to wudu?
- No cóż, przyznam, że mnie przestraszyło.
- Anne, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy pierwszego dnia, kiedy tylko się poznaliśmy? Powiedziałaś mi, że wierzysz w wolną wolę - pogłaskał mnie lekko po włosach. - Twoje życie będzie bogate, szczęśliwe i pełne miłości, ponieważ takim je uczynisz.
Wsunęłam rękę w jego dłoń.
- Masz rację.
- A poza tym - ciągnął - zobacz, ile już dobrego stało się w tych czterech ścianach. Rozkwitła nasza miłość. Urodziło się dziecko. Być może dokonaliśmy jednego z największych artystycznych odkryć tego wieku. Czy właśnie to ta staruszka nazywa klątwą?
Kiedy tak siedzieliśmy, słuchając razem fal wtaczających się na brzeg, zmówiłam milczącą modlitwę. Boże, oby miał rację.
Czasu było już coraz mniej; wszyscy to wiedzieliśmy. Maj przemknął jak gwałtowna burza, a Kitty i ja miałyśmy opuścić wyspę w połowie czerwca, kiedy też Westry i pozostali żołnierze wyjeżdżali na kolejny okres służby, tym razem w Europie. Z tego powodu niemal słyszałam w oddali tykanie zegara, który nieustannie przypominał mi, że świat, w którym zdążyliśmy się zadomowić, zmierza ku nagłemu końcowi.

Czekała mnie konfrontacja z Gerardem. Kitty musiała zostawić miejsce narodzin swojej córki. Jak mogłyśmy wrócić do Seattle tak zmienione? Jak mogłyśmy choćby udawać, że ponownie przyjmujemy stare role w tym obcym miejscu, które kiedyś nazywałyśmy domem?
- Chyba tu zostanę - ogłosiła Kitty pewnego ranka na początku czerwca. Siedziałyśmy w kantynie. - Siostrze Hildebrand przyda się pomoc. Poza tym nikt na mnie nie czeka w Seattle.
Nie miał to być przytyk, ale jej słowa - i długa cisza, która po nich zapadła - mnie zabolały. To prawda. Na mnie czekać będzie Gerard. Miał wrócić do Stanów w czerwcu.
Byłam ciekawa, co spowodowało tę decyzję. Kitty stała się całkiem niepodobna do kobiety, która pierwszego dnia pobytu na wyspie zeszła na lądowisko; była jej cieniem, nieobecna, chłodna, zagubiona. Rzuciła się w wir pracy i spędzała każdą wolną chwilę w szpitalu.
- Nie rozumiem - odpowiedziałam między kęsami gotowanych jajek. - Nie tęsknisz za domem? Nie chcesz wyjechać z wyspy po... po tym wszystkim?
Zerknęła przez okno na porośnięte bujną szmaragdową roślinnością zbocze widoczne w oddali. Wiedziałam, że dzięki wspomnieniom moje serce do końca pozostanie na wyspie, i Kitty też zdaje się czuła, iż jakaś jej część zawsze będzie tu przynależeć.
Zmusiła się do uśmiechu.
- Myślałam, że kiedy nadejdzie czas, będę chciała stąd wyjechać - wyjaśniła. - Ale teraz, no cóż, po prostu nie jestem na to gotowa.
Kiwnęłam głową.
- Te ostatnie miesiące naprawdę różnie się dla nas dwóch skończyły - powiedziała głosem pełnym żalu. - Spotkałaś niezwykłego mężczyznę. Pomyśleć, że odnaleźliście się tutaj, w środku wojny.

Jakby na sygnał Westry pomachał mi z drugiego końca kantyny. Potem podszedł do naszego stołu, choć łamało to ustalone zasady.
- Niech mnie, jeżeli to nie dwie najśliczniejsze kobiety na wyspie - powiedział. Z jego kołnierza wciąż zwieszała się serwetka. - Jak się masz, kochanie? - zapytał, a ja wyciągnęłam serwetkę i mu ją podałam.
- Wspaniale. Szkoda, że nie było cię dziś rano w chatce. -Dziwnie było mówić otwarcie o naszej tajemnicy, ale nie miało to znaczenia: Kitty już tam była, a poza tym siedziałyśmy same przy stole.
- Westry - ożywiła się Kitty. Nie podobało mi się, jak zatrzepotała w jego stronę rzęsami. - Znalazłam w szpitalnej szafie jakieś zabłąkane deski. Pomyślałam, że można byłoby dzięki nim naprawić tę trzeszczącą podłogę bungalowu.
Zalał mnie rumieniec. Jak Kitty mogła pomyśleć, że może rozmawiać z Westrym o bungalowie? I jakim sposobem, u licha, wie, albo pamięta, że podłoga trzeszczy?
- Dzięki, Kitty - Westry się nie przejął. - Wstąpię dzisiaj i zerknę na nie.
- Ale... - zaczęłam, lecz potem zamknęłam usta.
- Co się stało? - zapytał.
- Nic - mruknęłam. - Chciałam tylko zaproponować, żebyśmy spotkali się w chatce później, wieczorem. - Pilnowałam, żeby patrzeć prosto na Westry ego, aby było jasne, że zaproszenie skierowane jest tylko do niego.
- Niczego nie pragnę bardziej - odpowiedział. - Kończę o wpół do szóstej. W samą porę na zachód słońca.
- Świetnie - odparłam. Od razu poprawił mi się humor. Kiedy odwrócił się w stronę drzwi, Kitty wstała.
- Gdybyś chciał wpaść dziś po południu, pracuję do ósmej. -Rzuciła mi niezręczne spojrzenie. - To znaczy, jeśli chcesz obejrzeć te deski.
Westry kiwnął niezobowiązująco głową i wyszedł.

Przez chwilę jadłyśmy w milczeniu, a potem Kitty znów się odezwała:
- No, tak jak mówiłam, pewnie zostanę jeszcze kilka miesięcy, a potem... kto wie? - jej spojrzenie znów powędrowało za okno. - Jest teraz sporo pracy dla pielęgniarek. Może zgłoszę się do służby w Europie.
Patrzyłam, jak poruszają się jej usta, jak wypowiada kolejne słowa. Kim jest ta kobieta? Spojrzałam jej w oczy, ale odwróciła wzrok.
- Ja po prostu...
- Powiedziałam siostrze Hildebrand, że pomogę jej dziś ze szczepieniami - przerwała mi. - Lepiej już pójdę.
- Tak, lepiej już idź - odparłam.
Ale ona już zdążyła ruszyć w stronę drzwi.
- Coś jest nie tak z Kitty - powiedziałam tego wieczora, zrzucając buty za progiem chatki i padając na łóżko.
- Ciebie też miło widzieć - powiedział Westry z szerokim uśmiechem. Wsunął mi w dłoń bukiet kwiatów hibiskusa.
- Przepraszam. - Zachwyciłam się intensywnie żółtymi kwiatami, zupełnie innymi niż bardziej powszechne czerwone hibiskusy, które rosły jak chwasty w okolicy bazy. Te nie były tak wszechobecne. O ile było mi wiadomo, właśnie tutaj, kilka kroków od chatki, rósł jedyny żółty krzak hibiskusa na wyspie. Położyłam kwiaty na krześle i westchnęłam, myśląc o Kitty. -Po prostu miałam z nią dziwną rozmowę przy śniadaniu i martwię się o nią. Tak strasznie się zmieniła przez ostatnie kilka miesięcy. Ledwie ją poznaję.
Westry wyciągnął scyzoryk i starannie pokroił czerwone jabłko, które leżało na mahoniowym biurku.
- To prawda, zmieniła się - przyznał. - Każdy, kto przeszedłby przez to, co zdarzyło się jej, zmieniłby się. Nie uważasz, że może jesteś wobec niej zbyt surowa?

Kiwnęłam głową.
- Pewnie masz rację. - Sięgnęłam po kawałek jabłka, który mi podał. Jego chrupka słodycz odgoniła na chwilę moje troski.
- Nie zdenerwowało cię to, co powiedziała o podłodze, prawda?
- Nie - skłamałam, a potem westchnęłam. - No, może trochę. Czy to źle, że jestem zaborcza względem tego miejsca?
Uśmiechnął się od ucha do ucha i usiadł obok mnie na łóżku.
- Nie, ale wolałbym, żebyś była zaborcza względem mnie. Dałam mu żartobliwego kuksańca.
- Jestem, i dlatego chcę jeszcze wiedzieć, czy poszedłeś się z nią zobaczyć w szpitalu?
- Tak - odparł, rozbawiony moją zazdrością. -Ico?
Pokręcił głową.
- Deski, które miała na myśli, były nieodpowiednie.
- To dobrze - powiedziałam. - Lubię nasze deski. Przesunął palcem wzdłuż mojego karku.
- Ja też.
- A poza tym - ciągnęłam - gdybyśmy naprawili podłogę, stracilibyśmy naszą skrzynkę pocztową.
- A zatem postanowione - wykonał ruch jak sędzia uderzający młotkiem po ogłoszeniu wyroku. - Trzeszczące deski zostaną. Wziął do ręki złoty medalion i otworzył go ostrożnie.
- Wciąż pusty?
- Wiem. Próbowałam wymyślić, co najlepiej byłoby tam włożyć, ale jeszcze nie spłynęło na mnie natchnienie.
Westry rozejrzał się dookoła.
- To musi być coś, co będzie ci przypominało o tym miejscu, o nas... Coś, co przywoła ci na myśl wspomnienia o naszej miłości.
Zmarszczyłam brwi i wyrwałam mu medalion z rąk.
- Wspomnienia o naszej miłości? Mówisz, jakby nasze dni były policzone, jakby to było tylko...

- Nie - przyłożył palce do moich ust. - Mam zamiar kochać cię przez resztę życia, ale wiesz przecież, że to jeszcze nie koniec mojej służby. Kiedy będę w Europie, bez względu na to, jak długo potrwa ta wojna, chcę wiedzieć, że możesz odnaleźć mnie i to miejsce we wspomnieniach. To pomoże ci podczas naszej rozłąki.
Westry wstał i przeszukał pokój, przesuwając dłońmi po biurku, ścianach i zasłonach, po czym kucnął.
- Mam - oznajmił, odłupując maleńki kawałek drewna ze skraju wypaczonej deski podłogowej. - Kawałek bungalowu. Możesz go zawsze mieć przy sobie, a wraz z nim mnie.
Łzy zakręciły mi się w oczach, kiedy otworzył medalion i ułożył w środku kawałeczek drewna, ledwie drzazgę. To była idealna pamiątka.
- Proszę - powiedział, kładąc medalion na mojej piersi. -Zawsze będziesz mnie miała przy sobie.
Pocałunkiem pokazałam mu, jak bardzo byłam mu wdzięczna za ten gest.
Wkrótce po zachodzie słońca Westry zapalił świecę na stole. Przytuliliśmy się do siebie zasłuchani w szum wiatru i cykanie świerszczy w świetle księżyca, aż naszą uwagę przykuł niepokojący odgłos.
W oddali rozległ się gniewny, zdecydowany męski głos, a potem rozpaczliwy kobiecy krzyk. Głosy najpierw dobiegały z daleka, może z głębi gęstych zarośli w dżungli - z dość daleka, że moglibyśmy je zignorować - ale kiedy się zbliżyły, odruchowo chwyciłam Westry ego za ramię.
- Jak myślisz, co się dzieje?
-Nie wiem - powiedział, wstając i szybko narzucając koszulę - ale ta kobieta jest chyba w tarapatach.
Zostań tutaj -nakazał mi.

- Bądź ostrożny - szepnęłam.
Nie wiedziałam, co mnie bardziej martwi: to, że Westry wychodzi sam, czy to, że w pojedynkę zostaję w chatce.
Wymknął się cicho za drzwi i podszedł bliżej zarośli, nastawiając uszu. Usłyszeliśmy kolejny krzyk i kroki. Ktoś biegł.
Wstałam i włożyłam buty, żałując, że w bungalowie nie ma żadnej broni. Czy Westry przyniósł swój pistolet? Było to mało prawdopodobne. Żołnierze zazwyczaj nie wynosili broni poza obóz.
Przełknęłam z trudem ślinę. Westry był tam całkiem sam. A co, jeśli będę musiała go ochronić?
Postanowiłam, że nie mogę po prostu zostać w chatce i czekać.
Bezgłośnie wyszłam na zewnątrz, a kiedy zauważyłam opartą o bungalow belkę, wzięłam ją do ręki. Na wszelki wypadek.
Zaczęłam skradać się w stronę plaży, ale odwróciłam się nagle, kiedy niedaleko trzasnęła gałązka. Za mną? Serce waliło mi w piersi. Czułam, że blisko czai się zagrożenie, czułam obecność zła.
Wtedy wybrzmiał kolejny krzyk, tym razem blisko plaży.
- Nie, nie, proszę, nie bij mnie, proszę!
Aż się zachłysnęłam. Znałam ten głos. Dobry Boże. Atea. Czy próbuje trafić tutaj, do bungalowu, tak jak jej poleciłam? Lance na pewno przybiegł za nią. Gdzie jest Westry? Przedarłam się przez zarośla na polankę blisko plaży i zobaczyłam scenę, która miała na zawsze wryć mi się w pamięć.
Pod osłoną ciemności trudno było dostrzec twarze, ale kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do mroku, ukazała mi się okropność sytuacji. Trzymał ją za włosy; to udało mi się dostrzec. Potem w świetle księżyca zalśniła stal. Boże, nie. Nóż. Przesunął ostrzem po jej szyi, a ja patrzyłam oniemiała, jak drobne, bezwładne ciało pada na piasek.
- Nie - mruknęłam, nie będąc w stanie wydobyć z siebie mocniejszego głosu. Nie, to niemożliwe.
Rysująca się niewyraźnie postać cisnęła nóż niczym piłkę głęboko do dżungli i ruszyła truchtem po plaży.

Podbiegłam do Atei, z trudem powstrzymując łzy.
- Ateo, tak mi przykro, tak mi przykro. - Ułożyłam sobie jej zakrwawioną głowę na kolanach. Łapała oddech z trudem, dusząc się.
- On... on... - wykrztusiła.
- Nie, kochanie - szepnęłam. - Nie próbuj mówić. Nic nie mów.
W jej ustach wezbrała krew. Atea umierała. Może jeśli udałoby nam się zanieść ją na czas do szpitala, doktor Livingston by ją uratował.
Atea wskazała swój brzuch, nabrzmiały i okrągły. Jest w ciąży. O mój Boże.
- Westry! - krzyknęłam. - Westry!
Usłyszałam kroki zbliżające się z kierunku, w którym odbiegł Lance. Miałam nadzieję, że nie wraca z zamiarem dokończenia sprawy.
- Westry! - zawołałam raz jeszcze.
- Jestem - powiedział. - To ja.
- Och, Westry! - zaszlochałam. - Spójrz na nią. Zobacz tylko, co jej zrobił... i jej dziecku.
Atea uniosła dłoń, jakby sięgała po coś lub kogoś.
- Nie przeżyje - powiedział.
- Co ty opowiadasz? - krzyknęłam rozpaczliwie. - Oczywiście, że przeżyje. Musi. Obiecałam, że ochronię ją przed tym potworem.
Atea coraz rzadziej zachłystywała się powietrzem; za każdym razem słychać było bulgot.
- Wyjdzie z tego. Musimy ją uratować. Westry położył mi rękę na ramieniu.
- Anne - szepnął - jej tchawica jest przecięta prawie na wylot. Najlepsze, co możemy dla niej zrobić, to złagodzić jej ból, zakończyć cierpienie.
Wiedziałam, o czym mówi, ale czy byłam w stanie to zrobić? Kłóciło się to ze wszystkim, czego nauczyłam się na kursie

pielęgniarskim, a jednak trzymając w ramionach ciało umierającej Atei, wiedziałam, że ta decyzja jest więcej niż właściwa: była jedyną możliwą decyzją.
- Przynieś moją torbę spod stolika. Szybko!
Wrócił z moim plecakiem i wyciągnął zapas morfiny, który każda pielęgniarka miała przy sobie podczas wojny. Było jej dość, aby zadziałała uspokajająco u ważącego sto dwadzieścia kilo mężczyzny albo żeby wysłała drobniutką kobietę do bram nieba.
Pocałowałam Ateę w czoło, a potem wstrzyknęłam w jej ramię pierwszą dawkę, pocierając miejsce, gdzie wbiłam igłę.
- Już, już - powiedziałam, próbując powstrzymać łzy i mówić do niej spokojnym, opanowanym głosem. - Ból wkrótce przejdzie. Rozluźnij się.
Jej oddech zwolnił i nie dusiła się, tylko łapała płytkie hausty powietrza. Kiedy podałam jej drugą dawkę, uniosła oczy do gwiazd, a potem zamknęła je powoli. Sprawdziłam jej puls i przyłożyłam ucho do jej piersi.
- Odeszła - oznajmiłam. Po mojej twarzy płynęły łzy. -Oboje odeszli. Jak on mógł to zrobić?! Jak mógł? Westry ułożył bezwładne ciało Atei na miękkim piasku i pomógł mi się podnieść, a potem przytulił mnie mocno.
- Powinnam była ją uratować - łkałam w jego pierś roztrzęsiona. - Obiecałam, że będę ją chronić. Obiecałam... Westry pokręcił głową.
- Zrobiłaś, co było w twojej mocy. Odeszła spokojnie.
- Jak on mógł? - powtórzyłam, czując, że wzbiera we mnie gniew. - Jak mógł jej to zrobić? - Odwróciłam się w kierunku, w którym ledwie chwilę wcześniej uciekł morderca, przypuszczalnie Lance. Wyrwałam się z ramion Westry ego i zaczęłam biec w tę samą stronę.
Westry podążył jednak za mną i chwycił mnie mocno w talii, a ja upadłam na zimny piasek. Próbowałam się uwolnić i znów wstać, ale silny uścisk Westry'ego mnie unieruchomił.

- Anne, przestań - błagał. - Nie możesz.
- Jak to nie mogę? - krzyknęłam. Rzuciłam garść piasku w stronę pustego odcinka plaży, po którym uciekł mężczyzna. -Właśnie zobaczyliśmy, jak morduje kobietę i jej dziecko. Musimy go znaleźć, Westry. Musimy zaprowadzić go do pułkownika. Musi zapłacić za to, co zrobił.
Westry uklęknął przy mnie i pogłaskał moją twarz. Znów poczułam, że po policzkach płyną mi łzy, a on je otarł.
- Posłuchaj mnie - powiedział łagodnie. - To, co tu dzisiaj zobaczyliśmy, to tragedia. Ale musisz mi wierzyć, kiedy powiem ci, że nie możemy o tym nigdy wspomnieć... absolutnie nikomu.
Pokręciłam głową.
- Nie, to nie ma sensu - zaprzeczyłam. - Popełniono morderstwo, musimy je zgłosić. Możemy oddać go w ręce sprawiedliwości.
- Nie możemy - mruknął Westry. Jego głos brzmiał dziwnie: był przepełniony bezradnością. - Po pierwsze, miała tu miejsce napaść. To my popełniliśmy morderstwo.
- Nie, to nieprawda.
- Ale można byłoby na to tak spojrzeć - powiedział. - I jest coś jeszcze... nam i tym, których kochamy, mogłoby się przydarzyć coś znacznie gorszego, gdyby ta tajemnica wyszła na jaw.
Co on wie? Co ukrywa?
Wstałam, strzepując piasek z sukienki.
- To nie ma sensu - powtórzyłam. - Jak mogę wrócić do bazy, wiedząc, że w okolicy grasuje morderca?
Spojrzał mi uważnie w oczy.
- Dziś wieczorem - wskazał ręką bungalow - powiedziałaś, że mnie kochasz, powiedziałaś, że chcesz spędzić ze mną wieczność.
Kiwnęłam głową.
- Czy zatem możesz mi zaufać? Uniosłam dłonie z konsternacją.

- Westry, ja po prostu...
- Obiecaj mi tylko, że nikomu nic nie powiesz - przerwał mi. - Pewnego dnia zrozumiesz. Obiecuję.
Oboje obejrzeliśmy się na Ateę. Nawet po śmierci emanowała pięknem i łagodnością. Wypuściłam gwałtownie powietrze i zerknęłam na pełną siły, spokojną twarz Westry ego. Bez względu na to, jaką niepewność wzbudzał we mnie ten plan, ufałam mu. Jeśli mówił, że tak należy postąpić, musiałam w to wierzyć.
- Nic nie powiem - szepnęłam.
- Dobrze - pogładził mnie po policzku. - Zdążymy ją pogrzebać przed świtem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Choć nie był to grób wart jej krótkiego, pięknego życia, pogrzebaliśmy Ateę kilka kroków za bungalowem, pod plumerią. Na szczęście mieliśmy łopatę; Westry przyniósł ją ze sobą ponad tydzień temu z nadzieją, że uda mu się przesunąć jedną z belek tworzących fundamenty. Wykopanie grobu zajęło mu godzinę. Przez długą chwilę go obserwowałam, ale kiedy nie mogłam już znieść chropowatego odgłosu łopaty wbijającej się w ziemię, wymknęłam się na plażę.

Gdy tylko znalazłam się na piasku, osunęłam się na kolana. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam świadkiem niczego równie okropnego i choć obiecałam zaufać Westry emu, nie mogłam zaprzeczyć, że moje serce domagało się sprawiedliwości. Raz po raz wspominałam to, co widziałam, z nadzieją, że pojawi się jakaś wskazówka, coś, co wcześniej przegapiłam - i wtedy przypomniałam sobie o nożu. Lance wrzucił go w zarośla, zanim uciekł. Przypomniał mi się błysk stali w świetle księżyca, a moje serce zaczęło bić mocniej. Gdyby udało mi się znaleźć nóż, przynajmniej miałabym dowód, że on to zrobił.

Pobiegłam do chatki i zabrałam latarnię, po czym ostrożnie zbliżyłam się do skraju dżungli. Z oddali dobiegało wycie i szczebiot zwierząt. W liściach szumiał wiatr. Miejsce, które

wcześniej wyglądało na uosobienie piękna i spokoju, sprawiało teraz wrażenie kryjówki złego. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zawrócić, ale odnalazłam w sobie siłę. „Atea. Pamiętaj o niej". Kiwnęłam głową i zrobiłam krok do przodu, potem kolejny. Wydawało mi się, że chrzęst moich stóp na podłożu z każdym krokiem staje się coraz głośniejszy.
Oświetliłam latarnią ścieżkę. Na pewno byłam blisko. Jeszcze tylko najwyżej kilka metrów. Obok mnie, zdecydowanie zbyt blisko, przepełznął wąż; wydałam z siebie zduszony okrzyk i się cofnęłam. Dopiero po chwili poszłam przed siebie. „Idź dalej, Anne". Obejrzałam się na plażę i spróbowałam wyobrazić sobie, jak daleko mógł dolecieć nóż. Przyjrzałam się ogromnej palmie po lewej i poszłam poszukać pod nią. Musiałam być niedaleko.
Jednak po kolejnych kilku chwilach zaczęłam się zastanawiać, czy dżungla nie pochłonęła noża, niczym wspólniczka w tej makabrycznej zbrodni. Oparłam się o palmę i odstawiłam latarnię na ziemię; rozległ się cichy brzęk.
Uklęknęłam i natychmiast dostrzegłam znajomy błysk metalu. Drżącymi rękami wygrzebałam zakrwawiony nóż z ziemi. Przysunęłam latarnię, aby odczytać napis na trzonku koloru khaki: „Jednostka 432, nr 098".
- Anne? Anne, gdzie jesteś?
Zza zarośli napłynął głos Westryego. Jak długo mnie nie było? Co sobie pomyśli, kiedy zobaczy, że odszukałam nóż, choć obiecałam, że mu zaufam?
- Anne? - głos rozbrzmiał bliżej.
Sięgnęłam do skraju sukienki i oderwałam kawałek jasnoniebieskiego materiału. Szybko owinęłam nim nóż i gołymi rękami wykopałam mały dołek, dość głęboki, aby odpowiednio ukryć narzędzie, i wsunęłam je do środka. Zasypałam wgłębienie ziemią i liśćmi, po czym wstałam, właśnie w chwili kiedy Westry się zbliżył.
- O, jesteś - powiedział. - Co tu robisz? Martwiłem się.

- Musiałam po prostu pomyśleć - odparłam, otrzepując ubrudzone ziemią dłonie o tył sukienki.
- Chodź. Wiem, że to była trudna noc, ale musimy - urwał, szukając odpowiedniego słowa - doprowadzić sprawę do końca.
Kiwnęłam głową i wróciłam za nim do prowizorycznego grobu. Poczekałam przy nim, podczas gdy Westry poszedł po Ateę. Wrócił, niosąc ją na rękach, i na ten widok łzy znów popłynęły mi po policzkach.
Ułożył jej ciało w dole i oboje zapatrzyliśmy się na nią bez słowa. Po kilku chwilach Westry sięgnął po łopatę, lecz powstrzymałam jego rękę.
- Jeszcze nie - poprosiłam.
Zerwałam trzy kwiaty z rosnącej niedaleko różowej plume-rii i uklęknęłam przy grobie.
- Zasługuje na nie - powiedziałam, nie odrywając oczu od jej twarzy.
Rzuciłam kwiaty na jej ciało i odwróciłam wzrok, kiedy Westry zaczął ją zasypywać. Nie mogłam na to patrzeć, ale zmusiłam się, żeby zostać na miejscu, aż skończył. Wróciliśmy do obozu w milczeniu, ponieważ nasz świat się zmienił - być może na zawsze.
Kiedy wślizgnęłam się do pokoju, była prawie trzecia. Kitty się nie obudziła, co mnie ucieszyło: moja sukienka była podarta i zapłamiona krwią oraz ziemią. Rozebrałam się, włożyłam ubrania do kosza na śmieci, a potem wciągnęłam przez głowę koszulę nocną i wczołgałam się do łóżka. Sen jednak nie przychodził. Wiedziałam, że nie zrobiliśmy nic złego, ale dręczył mnie straszliwy, całkowicie rzeczywisty strach, że jesteśmy winni.
♦ ♦ ♦
Następnego dnia obudziło mnie walenie w drzwi. Usiadłam, zdezorientowana, i zerknęłam na łóżko Kitty, które było starannie pościelone. Zakryłam oczy, kiedy na moją twarz padło jasne światło dnia. Która godzina?

Walenie w drzwi nie ustawało.
- Tak, już idę - wymamrotałam, wysuwając z łóżka stopy i zataczając się w stronę drzwi.
Za nimi stała Stella z pełną dezaprobaty miną.
- Anne, co z tobą? - zapytała. - Śpisz o wpół do dwunastej? Siostra Hildebrand jest wściekła. Przysłała mnie, żebym cię poszukała. Twoja zmiana zaczęła się o ósmej.
Zerknęłam na budzik stojący na mojej szafce nocnej.
- Ojej, nie wierzę, że tak zaspałam - powiedziałam. Stella rzuciła mi krzywy uśmieszek.
- Co to musiała być za noc! - zmierzyła mnie wzrokiem i zagapiła się na moje dłonie. - Coś ty robiła, babki z piasku?
Spojrzałam na swoje brudne od ziemi paznokcie i ukryłam je z zażenowaniem w fałdach koszuli.
Wróciły do mnie wspomnienia z poprzedniej nocy: morderstwo; nóż; tuszowanie całej sprawy; ostrzeżenie Westry'ego. Miałam nadzieję, że Stella nie zauważyła gęsiej skórki, którą pokryły się moje ramiona. - Proszę, powiedz siostrze Hildebrand, że przyjdę, kiedy tylko się ubiorę - poprosiłam.
- I umyjesz - dodała Stella, spojrzała na mnie oskarżyciel-sko, choć z uśmiechem, i odeszła.
Kiwnęłam głową, a po chwili zawołałam za nią: - Stello!
- Tak? - odwróciła się znów w moją stronę.
- Dlaczego Kitty nie przyszła, żeby mnie obudzić?
- Też się zastanawiałam - odparła, choć raz tonem pozbawionym sarkazmu. - Coś jest z nią nie w porządku. Jakby...
- Jakby nie była już moją przyjaciółką? - dopowiedziałam. Te słowa były jak pociski wbijające się w moje zmęczone serce.
Stella położyła mi dłoń na ramieniu.
- Nie martw się, złotko - powiedziała. - Jestem pewna, że cokolwiek się dzieje, wkrótce rozejdzie się po kościach. Oby miała rację.
* * *

Od kiedy Kitty urodziła, połączyła ją z siostrą Hildebrand dziwna przyjaźń. Kitty często zostawała w szpitalu do późna, żeby pomóc naszej przełożonej w specjalnych zadaniach, a jej imię zawsze pojawiało się na czele listy wyznaczonych osób, kiedy trzeba było zająć się trudną sytuacją lub pacjentem.
Dobrze było widzieć, że Kitty tak świetnie radzi sobie w pracy. W końcu tego chciała od życia. Tutaj mogła dokonać czegoś znaczącego. A jednak im bardziej angażowała się w pielęgniarstwo, tym bardziej oddalała się ode mnie.
Ten podział byłby bardziej wyraźny w domu, w Seattle, ale na wojnie mogłyśmy odepchnąć go od siebie i pozwolić walce, wiadomościom i nieszczęściu wygłuszyć nasze osobiste problemy.
- Liz słyszała od kaprala w porcie, że sytuacja na Pacyfiku znów się pogarsza - zwróciłam się do Kitty przy kolacji tego samego dnia. Nie rozmawiałyśmy właściwie o niczym poza wojną.
- Tak? - Nie podniosła oczu znad książki, którą czytała.
- Myślisz, że czeka nas dużo pracy? - zapytałam. Trudno mi było znieść to, jak oficjalnie ze sobą rozmawiamy.
- Pewnie tak - odparła Kitty i ziewnęła. - No, czas na mnie. Siostra Hildebrand prosiła, żebym jej z czymś pomogła. Będę w szpitalu.
Zauważyłam Westryego: siedział na drugim końcu kantyny i rozmawiał, śmiejąc się, z Tedem i kilkoma innymi żołnierzami. Jak mógł być tak spokojny i jowialny po tym, co przeszliśmy ledwie kilka godzin temu?
Odniosłam tacę do kuchni i poczekałam na Westryego na zewnątrz.
- Cześć - powiedział, kiedy mnie zauważył. Odeszliśmy na kilka kroków w stronę portu. - Jak się masz? - zapytał szeptem, kiedy pozostali mężczyźni znaleźli się poza zasięgiem głosu.
- Nie najlepiej - odparłam. - Wciąż wspominam wczorajszą noc i modlę się, żeby był to tylko koszmar senny. Westry, powiedz mi, że to był tylko zły sen.
Przyciągnął moją głowę do swojej.

- Chciałbym móc to zrobić.
- Widziałeś dziś Lancea? - szepnęłam.
- Nie - odparł, rozglądając się ze skrępowaniem. - Nie słyszałaś?
- O czym?
- Wyjechał dziś rano na specjalną misję wraz z tuzinem innych żołnierzy.
- Wygląda mi na to, że uciekł - burknęłam. Widać było, że Westry czuje się niezręcznie.
- Nie możemy więcej o tym rozmawiać. To zbyt niebezpieczne.
Kiwnęłam głową, przypominając sobie podejrzliwość Liz. Była przekonana, że cała baza jest usiana ukrytymi urządzeniami rejestrującymi i dzieliła się sekretami tylko w barakach, najczęściej w łazience.
- Zobaczymy się dziś w bungalowie? Westry potarł ręką czoło.
- Chciałbym, ale pracuję wieczorem, a po wczorajszej nocy... chyba chciałbym pobyć sam.
Sam? To słowo przebiło moje serce jak strzała.
- Och - powiedziałam.
Najwyraźniej było widać, że zrobiło mi się przykro, bo Westry spróbował rozładować atmosferę uśmiechem.
- Mam na myśli tylko to, że oboje tak mało spaliśmy, powinniśmy pójść wcześniej do łóżek.
- Masz rację - odparłam wciąż zraniona jego słowami.
- A poza tym - ciągnął - czy naprawdę jesteś gotowa, żeby tam wrócić po... po wszystkim, co się stało?
Tak, do naszego małego światka wdarła się groza, ale nie potrafiłam pozbyć się uczucia, że Westry ma ochotę machnąć ręką na bungalow i na nas.
- Nie wiem - mruknęłam. - Wiem, że to, co tam mieliśmy, było piękne, i nie chcę tego stracić.
- Ja też nie - odpowiedział.

Upłynął tydzień, zanim poszłam do chatki; zrobiłam to sama. Westry pojechał wraz z grupą żołnierzy na drugi koniec wyspy pomóc przy jakiejś budowie. Niezbyt konkretnie mówił o tym, kiedy wróci. Jednak w miarę upływu dni zaczęłam czuć zew bungalowu. Przyciągał mnie z powrotem i po wyjątkowo długiej zmianie w szpitalu, spędzonej głównie na tłoczeniu się dookoła maleńkiego radia wraz z innymi kobietami i słuchaniu najświeższych wiadomości dotyczących sytuacji na Pacyfiku, uległam.
Ruszyłam na plażę o zmierzchu, ściskając medalion w dłoni. Przedarłam się przez zarośla, ale cofnęłam o krok, kiedy dostrzegłam, że ktoś siedzi na schodkach bungalowu.
- Kto tam? - zawołałam.
Postać wstała i zaczęła iść w moją stronę. Z każdym jej krokiem w moim kierunku robiłam jeden w tył.
- Kto tam? - krzyknęłam jeszcze raz, żałując, że nie przyniosłam latarni.
Kiedy jednak postać wyszła na otwarty teren, padło na nią światło księżyca. Rozpoznałam Titę.
- Anne - odezwała się.
Co ona tu robi? Na pewno szuka Atei. Serce zabiło mi mocniej. Co mam jej powiedzieć?
Na twarzy starej kobiety malował się wyraz zmęczenia i cierpienia.
- Może wejdziesz? - zaproponowałam.
Spojrzała na chatkę wzrokiem, który powiedział mi, że była już kiedyś w środku, może wiele lat wcześniej. Pokręciła głową.
- Może nie pamiętasz, co powiedziałam ci o tym miejscu -mruknęła. - Jest przeklęte. - Wskazała palcem plażę i ruszyła przed siebie, wychodząc z zarośli.
Podążyłam za nią, nie wiedząc, czego mogę się spodziewać.
- Usiądź - powiedziała niedaleko miejsca, gdzie Atea walczyła o życie.
Dobrze, że morze zmyło ślady krwi z piasku.

Siedziałyśmy przez kilka chwil w milczeniu, zanim Tita w końcu się odezwała.
- Wiem, że odeszła.
Nie byłam pewna, jak na to zareagować. Patrzyłam w fale, pozwalając ich kojącemu, rytmicznemu ruchowi złagodzić mój smutek.
- Ostrzegałam cię - ciągnęła Tita, marszcząc gniewnie brwi. -To miejsce jest złe. Niedobre. A teraz zabrało moją Ateę, naszą Ateę. Wiesz, była wyjątkowa.
Na próżno próbowałam powstrzymać łzy; same wymknęły się spod moich powiek.
- Och, Tito! - zawołałam. - Tak mi przykro.
- Cicho - odparła staruszka, wstając. - Stało się. Teraz masz obowiązek dojść sprawiedliwości.
Co ona wie? Gorzej: co jej się wydaje, że wie? Czy widziała przekopaną ziemię w miejscu, gdzie Westry pogrzebał Ateę?
Oszołomiona, odprowadziłam ją wzrokiem, kiedy ruszyła z powrotem w stronę dżungli.
- Tito - powiedziałam. - Proszę, poczekaj. Mylisz się. Jeśli myślisz, że ja, że my...
- Sprawiedliwość - oświadczyła, odwracając się do mnie po raz ostatni. - Tylko w taki sposób złamiesz klątwę.
Patrzyłam, jak wchodzi między zarośla, aż dżungla pochłonęła ją całą. Westchnęłam i padłam na piasek; opasałam kolana ramionami tak jak w dzieciństwie, kiedy zrugała mnie matka. Przynajmniej na razie Lance'a nie było na wyspie, a japońskie samoloty od wielu miesięcy nie przelatywały nad nami -dlaczego więc czułam obecność zła? Pomyślałam o zaplamio-nym krwią Atei nożu, owiniętym w kawałek materiału z mojej sukienki i zakopanym kilkadziesiąt kroków dalej. Nikt poza mną nie wiedział, że się tam znajduje. Mogłabym wykopać go, użyć jako dowodu. Mogłabym domagać się sprawiedliwości zgodnie z żądaniami Tity. Ale jak mogłam zlekceważyć zdanie Westryego?

Podniosłam się i podeszłam do bungalowu. Otworzyłam drzwi wprawnym ruchem i schowałam klucz z powrotem do książki. W środku było duszno. Pomyślałam o obrazie schowanym pod łóżkiem i klęknęłam, żeby go wyciągnąć. Kim są namalowani na nim ludzie? Czy byli kiedyś w tym bungalowie? Czy kiedykolwiek spadło na nich nieszczęście, o którym mówiła Tita? A może mieli dość szczęścia, żeby uniknąć klątwy?

Sięgnęłam po kartkę papieru i pióro leżące na biurku, po czym usiadłam, żeby napisać do Westryego list. Serce waliło mi na myśl o tym, co chciałam w nim zawrzeć.

Mój drogi Graysonie,

chciałabym, żebyś był tu teraz i mógł wziąć mnie w ramiona, wymazać wspomnienia okropieństw, które widziałam. Martwię się, że po tym, czego byliśmy świadkami, być może nigdy nie spojrzę na to miejsce tak samo; to mnie przeraża.

Mam pomysł, plan. Rozmawialiśmy o przyszłości mało konkretnie, ale może po wojnie, kiedy to wszystko się skończy, możemy zwrócić się do władz armii i zgłosić tę zbrodnię. Może upływ czasu złagodzi Twoje wahanie. Mam dowód, coś, co w odpowiednim momencie oczyści nasze imiona. Mój drogi, proszę, powiedz mi, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Jest jednak coś jeszcze. Wiesz już o moich uczuciach do Ciebie i chcę, abyś wiedział też, że niczego nie pragnę w życiu bardziej, niż spędzić je - spędzić wieczność - z Tobą, choćby na tej wyspie, jeśli będziesz tego chciał. Chcę powiedzieć, kochany, że jestem Twoja, jeśli mnie o to poprosisz.

Z wyrazami miłości, teraz i zawsze

Cleo

Złożyłam kartkę wpół i wsunęłam ją pod deskę podłogi, wypuściłam głęboko powietrze i sięgnęłam po gałkę u drzwi.

Dwa dni później Kitty, która siedziała na łóżku i przeglądała magazyn, podniosła nagle głowę, zaskoczona.
- Słyszałaś? Coś uderzyło o okno.
Była trzecia trzydzieści, ale nie pracowałyśmy: rozkazano nam wrócić do baraków, ponieważ trzy kilometry od brzegu wykryto obecność japońskiego okrętu wojennego. Kitty przerzucała strony „McCalls", ściskając w dłoni różaniec; ja wyciągnęłam powieść, którą zaczęłam podczas pierwszego miesiąca na wyspie, ale nie byłam w stanie czytać. Atmosfera strachu mnie paraliżowała.
- Niczego nie słyszałam - odparłam, kręcąc głową.
Nikt nie wiedział, czego się spodziewać. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że okręt płynął do innego celu. Inna zawiadomiła nas, że jeden z żołnierzy stwierdził na podstawie współrzędnych jednostki, iż zmierza ona prosto na Bora-Bora. Wojna tutaj? Na naszej wyspie? Niedowierzanie stanowiło podnoszącą na duchu linię obrony, ale wszyscy wiedzieliśmy, że atak na nas nie jest wykluczony. Mogliśmy tylko czekać na rozwój wydarzeń.
- Pod barakami jest piwnica - powiedziałam. - Stella twierdzi, że każą nam się tam przenieść, jeśli...
Kitty się wzdrygnęła.
- O, znowu ten odgłos. Coś obija się o nasze okno. Zmusiłam się do uśmiechu.
- Wiem, że się martwisz, Kitty, ale Japończyków nie ma pod naszym oknem... jeszcze nie.
Kitty nie odwzajemniła mojego uśmiechu. Zamiast tego wstała i podeszła do okna.
- Widzisz? - wyszczerzyła zwycięsko zęby. - To Westry. Na pewno próbuje przyciągnąć naszą uwagę.
Naszą uwagę? Spojrzałam na Kitty, która machała Westryemu. Nie podobało mi się, jak w jego obecności natychmiast poprawiał się jej humor.
- Pójdę się z nim zobaczyć - oznajmiłam zaborczym tonem, wyszłam z pokoju i zbiegłam po schodach.

- Cześć - szepnęłam, kiedy wyszłam już przed budynek.
- Po co ten szept? - zapytał rozbawiony Westry.
- Nie wiesz? Wyspie grozi atak.
Westry wsunął dłonie do kieszeni i przechylił głowę, patrząc na mnie z uśmiechem.
- Uwielbiam twój animusz, wiesz? Chodź, niech na ciebie spojrzę.
Wtuliłam się w niego na dłużej, niż było to stosowne w bazie, ale z jakiegoś powodu zasady przyzwoitości wydawały mi się nieistotne.
- Sprawiasz wrażenie aż nazbyt pewnego siebie - odcięłam się.
Wzruszył ramionami.
- Mając za sobą taką walkę jak ta, w której uczestniczyłem, trudniej wystraszyć się okrętu bojowego na horyzoncie.
- Ale jeśli oni nadciągają? - zapytałam. - Co, jeśli zmierzają na wyspę?
- Możliwe - odparł. - Jednak jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić.
Westchnęłam.
- I pomyśleć, że jesteśmy tu od tylu miesięcy, a coś takiego zdarza się tuż przed naszym wyjazdem. Ale mamy szczęście.
Westry przesunął pieszczotliwie dłonią po mojej twarzy, aż przebiegł mnie dreszcz.
- Chodźmy do bungalowu - szepnął. Jego wargi niemal dotknęły mojej szyi.
- W tych okolicznościach?
- Dlaczego nie? - niemal hipnotyzował mnie pieszczotami.
- Bo dostaliśmy rozkazy, żeby zostać w barakach - zaprotestowałam słabo.
Westry zmierzył mnie spojrzeniem swoich dużych orzechowych oczu.
- To może być nasza ostatnia wspólna wizyta w chatce, zanim... zanim...

Nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka, i w głębi serca wiedziałam, że liczy się chwila obecna. Ścisnęłam go za rękę.
- Dobrze.
- Jeśli będziemy mieć szczęście, może uda nam się prześlizgnąć przez dżunglę i nie spotkać absolutnie nikogo.
Kiwnęłam głową.
- Myślisz, że będziemy tam bezpieczni?
- Będziemy widzieć okręt z plaży i jeśli podpłynie zbyt blisko, wrócimy i dołączę do mojej jednostki.
Zmarszczyłam brwi. Przypomniało mi się, jak pułkownik Donahue pobił Westry'ego w barakach, i się zawahałam. - Będziesz miał przez to kłopoty?
- Zapewne - odparł, a jego oczy lśniły w słońcu późnego popołudnia. - Nie dbam o to.
Sięgnął po moją dłoń, a ja zerknęłam na drugie piętro; Kitty wciąż stała w oknie. Kiedy napotkałam jej wzrok, wskazałam dłonią plażę i pomachałam jej, mając nadzieję, że zrozumie. Ona jednak szybko odwróciła się w stronę łóżka, nawet się do mnie nie uśmiechnąwszy.
Westry otworzył drzwi bungalowu, a kiedy weszliśmy do środka, odetchnęliśmy głęboko.
- Czuję się, jakbyśmy byli uciekinierami - oznajmiłam.
- Pewnie nimi jesteśmy - odparł, obejmując mnie ręką w talii.
- Westry?
- Tak, kochanie?
- Byłam tu kilka dni temu, i... boję się.
- Dlaczego?
- Przyszła Tita.
- Tita?
- Ta stara kobieta, z którą mieszkała Atea. Jest jakąś szaman-ką albo przywódczynią duchową. Nie jestem do końca pewna, ale wydaje mi się, że wie, co przydarzyło się Atei.

- Skąd może wiedzieć?
- Nie mam pojęcia. Znów ostrzegła mnie przed klątwą bungalowu. Powiedziała, że jedynym sposobem na przerwanie jej cyklu jest zaprowadzenie sprawiedliwości.
Westry zmarszczył brwi.
- Nie wierz w to ani przez chwilę.
- Dlaczego miałabym jej nie wierzyć? Ona zna to miejsce lepiej niż ty czy ja.
- To, z czego ona i ty nie zdajecie sobie sprawy, to fakt, że ze sprawiedliwością wiąże się coś innego, coś znacznie gorszego niż poczucie winy, które być może czujemy. - Westry usiadł na starym mahoniowym krześle. Po raz pierwszy dostrzegłam w jego oczach ciężar naszej tajemnicy. Nie miał ochoty utrzymywać jej ani trochę bardziej niż ja, a jednak pozostawał wierny swoim przekonaniom. - Jak mogę sprawić, żebyś zrozumiała, że nie możemy się domagać, aby sprawiedliwości stało się zadość? A w każdym razie nie takiej, jakiej chcesz. Tak musi być.
Kiwnęłam głową i wzięłam go za rękę. Nie miałam ochoty kłócić się w noc, która mogła być naszą ostatnią. Wysunęłam głowę przez okno i dostrzegłam okręt w oddali.
- Wciąż tam jest - oznajmiłam.
Westry przyciągnął mnie do siebie, a ja przypomniałam sobie o liście, który mu zostawiłam, i zawartych w nim gorących wyznaniach dotyczących naszej przyszłości. Przeczytał go już? Czy i on chce spędzić ze mną resztę życia? Westchnęłam nerwowo.
- Westry - szepnęłam.
- Słucham, kochanie.
- Odebrałeś mój list?
- Nie, nie byłem tu od dawna. - Ruszył w stronę naszej skrzynki pocztowej, żeby odebrać list, ale pociągnęłam go za ramię.
- Jeszcze nie - powiedziałam trochę nieśmiało. - Włóż go do kieszeni, kiedy będziemy wychodzić. Chcę, żebyś przeczytał go sam.

- Złe wieści?
- Nie, nie. Po prostu poczekaj. Zobaczysz.
Pokiwał głową i przycisnął mnie do siebie. Włączył radio stojące na biurku i znów wyraźnie rozległa się francuska stacja.
- Nie myślmy o niczym poza naszą miłością - mruknął, kiedy zaczęliśmy kołysać się do rytmu muzyki.
- Dobrze - szepnęłam.
Jego sugestia zadziałała jak zaklęcie, oddalając wojnę, zmartwienia o Kitty i wciąż wiszący nad nami cień morderstwa popełnionego na plaży. Na chwilę bungalow znów był nasz, tylko nasz.
Tuż po zachodzie słońca Westry pocałował mnie w policzek.
- Chyba powinniśmy wracać - oznajmił.
Wyczułam jego narastający niepokój i zmartwiło mnie to. Nie wiedziałam, czy spowodowała go bliskość wroga, czy to, czego oboje się baliśmy: świadomość, że nasz wspólny czas się kończy.
- Chyba tak - zgodziłam się.
Pomyślałam, co by było, gdybyśmy po prostu zostali w bungalowie, kiedy Japończycy pojawią się na brzegu. Czy klątwa chatki by nas ochroniła? Wygładziłam sukienkę i na powrót spięłam włosy.
- Nie zapomnij listu - przypomniałam Westry emu, kiedy otwierał drzwi.
- Oczywiście - odparł, uklęknął i sięgnął pod deskę. - Zaraz, jakiego listu? Tu nic nie ma.
- Głuptasie - klęknęłam obok niego - oczywiście, że jest. Może wepchnęłam go zbyt daleko. - Wsunęłam dłoń głębiej między belki, ale z przerażeniem odkryłam, że jest tam pusto.
- Mój Boże, Westry. Zniknął.
- Co masz na myśli? Nikt nie wie o naszej kryjówce. Chyba że komuś powiedziałaś.

- Oczywiście, że nie - odparłam zdezorientowana.
Na morzu błysnęło światło, a Westry powrócił myślami do większego zmartwienia.
- Trzeba będzie zastanowić się nad tym później - oznajmił. -Muszę cię zabrać z powrotem.
Westry zamknął ceremonialnie drzwi.
- Wrócimy ścieżką przez dżunglę. Tak będzie bezpieczniej. Przytaknęłam, biorąc go za rękę. Kiedy szliśmy przez gąszcz,
myślałam o liście. Kto mógł go zabrać i dlaczego? Teraz, kiedy zostało tak niewiele czasu, bardzo chciałam, żeby Westry wiedział, co naprawdę do niego czuję i na co mam nadzieję po wojnie. Czy będę miała szansę, żeby mu powiedzieć? Czy on odwzajemnia moje uczucia?
Jednak kiedy dotarliśmy do bazy, nie myślałam już o liście. Zaczęło mnie dręczyć coś innego.
- Westry! - szepnęłam w przypływie paniki, kiedy podprowadził mnie do wejścia do baraków kobiet. - Musimy wrócić!
- Dlaczego? - spojrzał na mnie z konsternacją.
- Obraz - odparłam. - Zostawiliśmy tam obraz! Wzruszył ramionami.
- Możemy wrócić po niego później.
- Nie, nie - upierałam się. - Ktokolwiek zabrał mój list do ciebie, może wziąć i obraz.
Westry zrobił na chwilę zatroskaną minę, a potem pokręcił głową.
- Nie. Ktokolwiek zabrał list, miał już okazję, żeby zabrać obraz, jednak tego nie zrobił.
- Mam złe przeczucia - powiedziałam. - Nie mogę znieść myśli o tym, że obraz mógłby wpaść w ręce złodzieja. Powinien być w jakimś muzeum, w galerii, gdzie ludzie mogliby go podziwiać i cenić.
- Dopilnujemy, żeby tam trafił - zapewnił mnie Westry. -Kiedy tylko ten okręt wyminie wyspę. Obiecuję. Przyniosę go z powrotem dla ciebie.

- Przyrzekasz?
- Tak - pocałował mnie w czubek nosa. Odwróciłam się w stronę baraków.
- Bądź ostrożny - powiedziałam.
- Ty też.
- No, jesteś! - wyszeptała w korytarzu siostra Hildebrand. Nawet jej szept brzmiał jak krzyk. - Nie mam czasu wysłuchiwać twoich wyjaśnień ani cię ukarać, więc powiem tylko, że jako ostatnia z pielęgniarek wchodzisz do piwnicy. Nadciągają Japończycy. Pułkownik wydał rozkaz, aby kobiety zeszły do schronu. Musimy się spieszyć.
Z bijącym mocno sercem zeszłam za siostrą Hildebrand po schodach. Odruchowo poklepałam kołnierzyk sukienki w miejscu, gdzie wcześniej przypięłam broszkę z niebieską różyczką, którą Kitty podarowała mi w Seattle. Tego ranka włożyłam ją pod wpływem kaprysu i nabrałam gwałtownie powietrza, kiedy zdałam sobie sprawę, że przepadła. Zatrzymałam się jak wryta.
- Na co czekasz? - warknęła siostra Hildebrand. Zrozpaczona, spojrzałam na schody, a potem z powrotem
w stronę drzwi.
- Ja tylko... - zająknęłam się, gorączkowo przeszukując kieszenie sukienki - zgubiłam coś. Coś, co ma dla mnie wielkie znaczenie.
- Twoje życie ma dla ciebie wielkie znaczenie, prawda? Skinęłam głową potulnie.
- No to chodźmy. Musimy zejść do piwnicy.
Jak mogłam być tak nieuważna, żeby zgubić broszkę? Wyobrażałam sobie, jak leży na plaży, w piasku, jak porywa ją fala. Wzdrygnęłam się na myśl o Kitty. Czy to znak końca naszej przyjaźni?

Podążyłam za siostrą Hildebrand po schodach i za drzwi, a potem patrzyłam, jak podnosi dywan i otwiera klapę w podłodze.
- Idź pierwsza - powiedziała, wskazując ciemną otchłań.
Zeszłam po drabinie do ciemnawego pomieszczenia, w którym migotało kilka lamp. Kiedy stanęłam na podłodze, dostrzegłam Liz i Stellę, i kilka innych znajomych w oddali.
- Kitty? - zawołałam. - Jesteś tu?
Cisza. Rzuciłam siostrze Hildebrand zatroskane spojrzenie.
- Jest tam - wyciągnęła palec w stronę światła jedynej lampy widocznej po prawej, na drugim końcu piwnicy.
- Kitty - powiedziałam, podchodząc do niej, aż mogłam dojrzeć szczegóły jej drobnej, wystraszonej twarzy, burzę niesfornych loczków.
Siedziała oparta o ścianę i wyglądała na przygnębioną.
- Martwiłam się, że nie przyjdziesz - oznajmiła, ocierając łzę.
Usiadłam obok niej i chwyciłam ją za rękę.
- Już jestem.
Nikt nie wiedział, co się dzieje na górze. Po dwóch godzinach -choć miałam wrażenie, że upłynęło dwanaście - siostra Hildebrand zwerbowała Stellę do pomocy przy rozdawaniu racji żywieniowych, wody i fasolki w puszkach. Było tego dość, żebyśmy przetrwały wiele dni, nawet tygodni. Na myśl o życiu w ciemności i jedzeniu konserwowej mielonki przebiegł mnie dreszcz.
- Proszę - Stella podała mi manierkę. Wychyliłam łyk i przełknęłam z trudnością. Woda miała posmak rdzy.
Wszystkie zamarłyśmy, kiedy usłyszałyśmy nad sobą kroki.
- Siostry - szepnęła siostra Hildebrand, sięgając po karabin zawieszony na ścianie - zgaście lampy.

Wypełniłyśmy jej polecenie i zaczęłyśmy nasłuchiwać w ciemnościach; kroki stawały się coraz głośniejsze. Rozległ się głuchy odgłos, a potem skrzypnięcie otwieranej klapy. Mocniej ścisnęłam dłoń Kitty. Dobry Boże. Japończycy już tu są.
Jednak zamiast obcego akcentu po piwnicy poniósł się znajomy głos.
- Siostry, droga wolna. Okręt skręcił na zachód. Możecie wyjść.
Kobiety zaczęły wiwatować - wszystkie poza Kitty, która wciąż wlepiała wzrok przed siebie. Sięgnęłam po jej rękę.
- Chodź, kochana - powiedziałam - już po wszystkim. Możemy już iść.
Wyglądała na zaskoczoną, jakbym wyrwała ją ze snu. Kiedy włączyła lampę, zauważyłam w jej spojrzeniu znajomy chmurny wyraz. Oddalenie.
- Tak, oczywiście - powiedziała, wstała i ruszyła przede mną.
- Możecie uwierzyć, że jutro wyjeżdżamy? - nie mogła się nadziwić Liz następnego dnia przy śniadaniu.
Jutro. Obawiałam się tego dnia od chwili, kiedy zakochałam się w Westrym. Opuszczenie wyspy oznaczało koniec naszego świata i początek czegoś nowego; czegoś, co - obawiałam się -mogło być dla nas zbyt skomplikowane.
- Żołnierze wypływają rano - dodała Stella.
Była równie niezadowolona z tego, że Willa czekały walki w Europie, jak ja z tego, że jedzie tam Westry.
- Tak sobie myślałam - ciągnęła. - Gdybym pojechała na służbę do Europy, przynajmniej byłabym bliżej niego. W razie...
Pokręciłam głową. Wojna odcisnęła na Stelli swoje piętno, która przeraźliwie schudła. Potrzebowała przepustki bardziej niż którakolwiek z nas.

- To, że pojedziesz do Europy, nie ochroni go - powiedziałam. - Wracaj do domu. Poczekaj na niego tam.
Kiwnęła głową.
- Ale numer z Kitty, no nie? Słyszałam, że jedzie do Francji, w samo centrum działań. Chce dołączyć do grupy wysyłanej do Normandii.
Zalałam się rumieńcem. Francja? Dlaczego nie opowiedziała mi o swoich planach? Czy myśli, że mnie to nie obchodzi?
- O wilku mowa - Stella wskazała drzwi.
Kitty weszła do kantyny z uśmiechem. Jej policzki były zaróżowione, tak jak kiedyś. Gdy zbliżyła się do stołu, dostrzegłam, że trzyma wiązkę żółtych kwiatów hibiskusa; na ten widok zaparło mi dech.
- Dzień dobry, moje panie - powiedziała. - Jak tam dzisiejsze racje?
Poczułam, że Stella wwierca się wzrokiem w moją skroń.
- W porządku - odparła Liz nieświadoma napięcia unoszącego się w powietrzu - jeśli lubisz jajka z gumy.
Kitty zachichotała i położyła związane białą tasiemką kwiaty na stole.
- Czyż nie są śliczne? - zapytała, podziwiając ich żółte płatki, pięknie wyglądające na tle sterylnego beżowego blatu.
Oczywiście natychmiast je rozpoznałam: pochodziły z krzaka rosnącego obok bungalowu. Nie mogło być inaczej.
- No proszę - powiedziała Stella. - Wygląda na to, że ktoś tu ma wielbiciela.
- Och, Stell - odparła Kitty, udając nieśmiałość.
- To skąd je wzięłaś? - naciskała Stella. Modliłam się, żeby przestała. Nie chciałam wiedzieć. Kitty uśmiechnęła się szeroko i odwróciła wdzięcznie, aby
dołączyć do kolejki do bufetu, pozostawiając odpowiedź naszej wyobraźni.
Stella odchrząknęła i uśmiechnęła się z wyższością.

- Przed czym cię ostrzegałam pierwszego dnia na tej wyspie?
Wstałam nagle i ruszyłam do drzwi.
- Anne! - zawołała Stella. - Poczekaj. Nie mówiłam poważnie. Wróć.
Weszłam na ścieżkę prowadzącą do baraków z walącym sercem i przywołałam w pamięci ostatnie kilka tygodni. Pomyślałam o tym, jak Kitty rozpromieniała się za każdym razem, kiedy pojawiał się Westry, jak się ode mnie oddaliła. Oczywiście: Kitty czuła coś do Westry ego.
Zamarłam na chwilę. Czy to możliwe, że on odwzajemnia jej uczucia? W przeszłości każdy mężczyzna - poza Gerardem - z nas dwóch wybierał Kitty. To ją pierwszą proszono do tańca. Dostała kilka zaproszeń na bal absolwentów, a ja tylko jedno. Moje myśli pędziły jak szalone. List. Mój Boże. Westry wcale nie wyglądał na zmartwionego myślą, że ktoś go zabrał. Czy upozorował jego kradzież, żeby nie musieć zmierzyć się z moją deklaracją miłości, moją nadzieją na przyszłość - na wspólną przyszłość?
Kopnęłam kamyk na ścieżce i pokręciłam głową, odpychając od siebie tę niepokojącą myśl. Nie, nie będę o tym myśleć ani przez chwilę dłużej, przecież jutro wyjeżdżamy. Zostało nam ledwie kilkanaście godzin. Nie ma czasu na bzdury.
- I tyle - westchnęła Kitty następnego ranka po śniadaniu.
Pochyliła się, żeby zapiąć swoją torbę, która, co dziwne, sprawiała wrażenie mniejszej niż ogromny wór, który przy targałam do tego pokoju dziesięć miesięcy wcześniej. Tak jak torba Kitty zgubiła jakąś część siebie na wyspie.
- Mój samolot startuje za godzinę - oznajmiła chłodnym głosem, patrząc na wzgórze za oknem, krajobraz, który często przykuwał jej uwagę. Byłam ciekawa, czego szuka w tych wzgórzach. - Siostra Hildebrand i ja jutro dołączymy do dywizjonu lecącego do Francji. A potem... - ucichła.

Kitty we Francji. Całkiem sama. Trudno było mi pogodzić się z tą myślą, tak samo jak nie podobał mi się pomysł, że miałaby sama przyjechać tutaj, na południowy Pacyfik. To, co myślałam o jej uczuciach do Westryego, nie miało znaczenia. Wiedziałam, że gdzieś pod wieloma emocjonalnymi ranami, które nosiła jak zbroję, kryje się moja najlepsza przyjaciółka. Jednak tym razem nie miałam zamiaru nalegać na towarzyszenie jej.
- Och, Kitty! - zawołałam, podrywając się na nogi. Gdyby tylko udało mi się do niej przemówić. - Dlaczego wszystko tak się nam poukładało?
Kitty wzruszyła ramionami i sięgnęła po torbę. Obrzuciła mnie długim spojrzeniem.
- Zapewne wyspa zrobiła swoje - mruknęła w końcu.
- Nie, Kitty, mylisz się - powiedziałam, słysząc panikę we własnym głosie, panikę spowodowaną tym, co wyglądało na koniec przyjaźni, koniec pewnego etapu.
Pomyślałam o własnych niedostatkach jako przyjaciółki. Mogłam spędzać z nią więcej czasu. Mogłam wspierać ją bardziej podczas ostatnich tygodni ciąży - ale czy nie wspierałam? Co najważniejsze, powinnam była szczerze porozmawiać z nią o bungalowie, o wszystkim. Pozwoliłam zbyt wielu sekretom wkraść się między nas - sekretom, których obiecałam nie mieć.
- Kitty - błagałam - nie zmieniłam się. Wciąż jestem tą samą Anne. Założę się, że w głębi serca i ty wciąż jesteś tą samą Kitty. Niczego nie pragnę bardziej niż tego, żebyśmy dalej mogły być Anne i Kitty.
Rzuciła mi spojrzenie, którego nie rozpoznałam. Było zmęczone i bardziej dojrzałe, nieczułe.
- Ja też bym tego chciała - powiedziała cicho, odwracając się ode mnie. - Ale nie wydaje mi się, żeby było to teraz możliwe.
Kiwnęłam głową, czując w głębi serca, że zaraz się rozpłaczę. Łzy wezbrały mi w oczach i wbrew mojej woli popłynęły po policzkach.

- Do widzenia, Anne - rzekła Kitty, nie odwracając się w moją stronę.
Mówiła rzeczowym tonem; kiedy dorastałyśmy, słyszałam, jak używa takiego tonu, rozmawiając ze służbą w domu albo sprzedawcą w drogerii. Miałam ochotę wrzasnąć: „Kitty, przestań natychmiast! Skończmy z tą farsą". Mogłam jednak tylko stać tak bez słowa, zbyt oszołomiona i smutna, żeby otworzyć usta.
- Życzę ci powodzenia - dodała, sięgając po klamkę - we wszystkim.
Drzwi zamknęły się za nią, a cisza w pokoju niemal dzwoniła mi w uszach. Osunęłam się na podłogę i zaczęłam płakać -miałam wrażenie, że trwało to całe godziny. Jakim prawem odchodzi w ten sposób, kończy naszą przyjaźń? Jak mogła zachować się tak ozięble?
Kiedy dostrzegłam na zegarze, że nadeszła jedenasta, zmusiłam się do wstania. Podniosłam się z podłogi. Obiecałam Westryemu, że pożegnamy się na lądowisku. Jego samolot startował za pół godziny, tuż po moim.
Położyłam torbę przy drzwiach i zerknęłam w lustrze na swoje zaczerwienione, spuchnięte oczy. Prawie nie rozpoznałam samej siebie.
***
Przez chwilę bałam się, że go nie odnajdę. Wysilając wzrok, obserwowałam gęsty, rozgorączkowany tłum mężczyzn ubranych w wojskową zieleń. Niewielki oddział miał zostać na wyspie, ale większości, w tym Westry'emu, przydzielono nowe zadania. Jechali do Francji, Wielkiej Brytanii. A garstka szczęściarzy takich jak ja wracała do domu.
Przyglądałam się morzu twarzy, aż w końcu nasze oczy się spotkały.

Lekceważąc nadawane przez głośnik rozkazy, aby pielęgniarki zaczęły wchodzić na pokład samolotu, zostawiłam torbę przy Stelli i Liz, po czym podbiegłam do Westry ego. Chwycił mnie mocno, unosząc z ziemi, i pocałował.
- Nie płacz, ukochana - otarł łzę z mojego policzka. - To nie pożegnanie.
- Ależ tak - odparłam, gładząc jego świeżo ogoloną twarz. -Nie wiemy, co nas czeka. - Zdałam sobie sprawę, że odnosi się to do mnie w równym stopniu co do niego.
Westry kiwnął głową, wyciągnął z torby bukiecik żółtych kwiatów hibiskusa i wsunął mi go do ręki. Dookoła łodyżek zawiązana była luźno biała tasiemka. Kitty.
- Te kwiaty - wyjąkałam. - Takie same dałeś wczoraj Kitty, prawda?
Westry zrobił pełną zmieszania minę, a potem przytaknął.
- No cóż, tak - powiedział. - Ja... Z głośnika rozległ się inny głos:
- Wszyscy żołnierze na pokład.
- Westry - wtrąciłam spanikowanym tonem - czy jest coś, co powinieneś mi powiedzieć? Coś na temat Kitty?
Spuścił na moment wzrok, a potem znów spojrzał na mnie.
- To nic takiego, ale powinienem był ci powiedzieć. Kilka tygodni temu natknąłem się na nią na plaży, płakała. Szedłem właśnie do bungalowu i zaprosiłem ją, żeby mi towarzyszyła.
Policzki mi zapłonęły. Westry przyprowadził ją do naszego bungalowu... sam, kiedy mnie tam nie było? Pokręciłam głową z niedowierzaniem.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego ona mi nic nie powiedziała?
- Przepraszam, Anne. Naprawdę nie przywiązałem do tego żadnej wagi.
Odwróciłam się, żeby zerknąć na samolot, który miał zabrać mnie do domu. Przy nim stała Stella i machała do mnie gorączkowo ramionami.

- Anne! - krzyknęła. - Czas na nas!
Spojrzałam na Westryego po raz ostatni. Wiatr potargał jego włosy. Miałam ochotę przeczesać dłonią te rudawozłote pasma tak, jak robiłam to setki razy w bungalowie, nacieszyć się zapachem jego skóry, ulec jego czarowi. Jednak tym razem coś mnie powstrzymało.
- Do widzenia - szepnęłam mu do ucha, muskając policzkiem jego twarz. Sięgnęłam po jego dłoń i włożyłam w nią kwiaty, po czym pobiegłam w stronę samolotu.
- Anne, zaczekaj! - krzyknął Westry. - Obraz! Wzięłaś go? Zamarłam.
- Co to znaczy, czy go wzięłam? Myślałam, że ty go zabierzesz. Westry uniósł ręce.
- Przepraszam, Anne - odparł ze spanikowaną miną. -Chciałem wrócić, ale po prostu nie było czasu. Ja...
Jego jednostka weszła już na pokład i widziałam, że w stronę Westryego zmierza dowódca.
Odwróciłam się w stronę plaży i zaczęłam się zastanawiać, czy jeśli pobiegnę, zdążę dotrzeć do bungalowu i odzyskać dzieło, zanim samolot wystartuje.
- Proszę - błagałam Stellę, która stała u stóp schodów prowadzących do kabiny. - Proszę, powiedz pilotowi, że potrzebuję tylko kwadransa. Zostawiłam coś w bazie. Obiecuję, wrócę jak najszybciej.
Za Stellą pojawił się pilot.
- Przykro mi, proszę pani, nie ma na to czasu - oznajmił stanowczo. - Musi pani natychmiast wejść na pokład.
Wchodząc po schodach, miałam wrażenie, że moje buty są z ołowiu. Zanim pomocnik pilota zamknął właz, napotkałam spojrzenie Westryego. Ryczący silnik samolotu zagłuszał jego głos, ale odczytałam słowa z ruchu warg.
- Tak mi przykro - powiedział. - Wrócę. Proszę, nie martw się, Anne. Ja...
Właz zatrzaśnięto, zanim zdążył dokończyć. Ocierając oczy chusteczką, uznałam jednak, że jego ostatnie słowa nie mają

znaczenia. Było już po wszystkim. Magia, którą znaleźliśmy w chatce, zniknęła; czułam, jak czar pryska, gdy samolot nabierał prędkości i wznosił się coraz wyżej. Patrzyłam na kurczącą się wyspę, aż była zaledwie kropką na mapie, kropką, na której tyle się zdarzyło, tyle zostało. Stella nachyliła się w moją stronę.
- Będziesz tęsknić za tym miejscem?
- Tak - odparłam szczerze, kiwając głową.
- Myślisz, że kiedykolwiek tu wrócisz? - spytała ostrożnie. -Will i ja rozmawialiśmy o tym, żeby jeszcze tu kiedyś przyjechać. Oczywiście po zakończeniu wojny.
Zanim odpowiedziałam, wyjrzałam jeszcze raz przez okno, nie mogąc oderwać wzroku od tej szmaragdowej plamki na turkusowym morzu.
- Nie - odparłam. - Nie wydaje mi się.
Ścisnęłam w palcach medalion zawieszony na szyi wdzięczna za drzazgę drewna z bungalowu, która tkwiła bezpiecznie w środku. Dzięki niej zawsze będę mogła tam wrócić - przynajmniej w myślach.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tęskniliśmy za tobą, mała - powiedział papa, kiedy wsiadłam do samochodu. Ucieszyłam się, że nie zobaczyłam na tylnym siedzeniu Maxine: choć miałam miesiące, żeby pogodzić się z ich związkiem i świadomością, że zniszczył on rodzinę, do której należałam, wciąż nie mogłam tego zrozumieć.
Westchnęłam i oparłam się o miękką skórę siedzenia buicka, a papa uruchomił silnik i zaczął się cofać. Tutaj nie czekały mnie jeepy, żwirowe drogi ani wyboje.
- Dobrze być w domu - odparłam, głęboko wdychając łagodne powietrze Seattle.
Droga powrotna była udręką złożoną z kilku lotów i czterodniowej przeprawy po morzu. Dała mi czas na zastanowienie się nad niedokończonymi sprawami, które mnie gnębiły, a jednak kiedy wyszłam z samolotu na lotnisku w Seattle, nadal byłam pełna wątpliwości.
- Gerard jest w domu - powiedział papa nieco ostrożnym tonem, jakby badał grunt.
Spojrzałam na swoje splecione na podołku dłonie. Kochały Westryego; wciąż go kochały. Dłonie zdrajczyni.
- Chce mnie widzieć? - zapytałam.

- Oczywiście, że tak, kochanie - odparł. - Pytanie tylko, czy ty chcesz widzieć jego.
Potrafił zajrzeć w moje serce. Zawsze to umiał.
- Nie wiem, papo - mruknęłam i zaczęłam płakać. - Nie wiem już, czego chcę.
- Chodź tu, skarbie - powiedział.
Przysunęłam się bliżej niego na przednim siedzeniu, a on objął mnie mocno ramieniem. Jego uścisk mówił mi, że wszystko będzie w porządku. Chciałam móc w to uwierzyć.
Windermere wyglądało na nietknięte czasem i wojną. Kiedy jednak mijaliśmy znajome posiadłości, wiedziałam, że to tylko fasada. Na przykład przed domem Larsonów wciąż był piękny trawnik i wspaniały ogród z bogato zdobionymi urnami, a pośrodku okrągłego podjazdu wciąż stała fontanna z cherubinem, ale ja zdawałam sobie sprawę, że cierpienie przesiąknę-ło każdą ścianę, każdą powierzchnię. Bliźniacy nie wrócili do domu. Terry zginął w boju pod Marsylią, a Larry w katastrofie samolotu dwa dni później - leciał do domu pocieszyć matkę po stracie Terry ego.
Posiadłość Godfreyów też zachowywała pozory normalności, wiedziałam jednak, że za jej bramami kryje się bardzo złożona historia. Kiedy przejechaliśmy obok niej, wstrzymałam oddech, przypominając sobie przyjęcie zaręczynowe, twarz Kitty i to, jak siedziałyśmy na krawężniku, robiąc plany na przyszłość. Gdybyśmy wiedziały wcześniej, jak sprawy się potoczą, czy i tak pojechałybyśmy?
Te wspomnienia zabolały. Odwróciłam szybko wzrok.
- Wrócił w piątek - ciągnął papa. - Wysłali go do domu trochę wcześniej, z powodów zdrowotnych.
Zesztywniałam.

- Zdrowotnych?
- Tak - odparł. - Został postrzelony w ramię i bark. Może nigdy nie odzyskać władzy w lewym ramieniu, ale jak na ranę wojenną to nie tragedia.
Zalała mnie fala uczuć. Papa miał rację. Inni chłopcy wracali zmasakrowani, umierający. Obrażenia Gerarda były w porównaniu z tym nieznaczne, ale z jakiegoś powodu ta wiadomość wzbudziła we mnie żal, którego siła zaskoczyła mnie.
- Nie płacz, kochanie - powiedział papa, głaszcząc mnie po włosach. - Nic mu nie będzie.
- Wiem - zaszlochałam. - Wiem. Tylko...
- Trudno się z tym pogodzić - odparł. - Rozumiem.
- Ta wojna... Zmieniła wszystko, nas wszystkich.
- To prawda - stwierdził poważnie papa, skręcając w znajomy podjazd.
Oczywiście wszystko wyglądało tak samo jak przed moim wyjazdem. Wiedziałam jednak, że takie samo nie jest i już nigdy nie będzie.
♦ ♦ ♦
Usłyszałam stukanie do drzwi sypialni. „Gdzie ja jestem?" Usiadłam i spróbowałam zorientować się w otoczeniu. Stare koronkowe firanki. Wielkie wysuwane łóżko. Tak, byłam w domu. Która to godzina? Jaki dzień tygodnia? Za oknem było ciemno, więc uznałam, że jest późno. Jak późno? Jak długo spałam? Deszcz walił o dach nad moją głową, a ja zamknęłam oczy, wspominając tropikalne burze, a szczególnie to, jak Westry i ja kąpaliśmy się podczas ulewy na plaży. Wciąż czułam uścisk jego ramion, zapach jego namydlonej skóry. Zamrugałam mocno powiekami. Czy to był tylko sen? Owinęłam się ciaśniej narzutą i zignorowałam stukanie, które rozległo się ponownie, tym razem nieco głośniej. Nie

mogłam stanąć twarzą w twarz z Maxine. Jeszcze nie. „Odejdź. Proszę, odejdź. Zostaw mnie z moimi wspomnieniami".
Chwilę później ktoś wsunął pod drzwi kawałek papieru. Wlepiłam w niego wzrok, usiłując go zlekceważyć, ale miałam wrażenie, że pulsuje, że błyska jak jasne światło, przed którym nie mogę zasłonić oczu. Usiadłam więc, zmusiłam się do postawienia stóp na drewnianej podłodze i poszłam po notkę.
Podniosłam kwadracik beżowego papieru listowego do oczu i nabrałam głęboko powietrza, odczytując znajomy charakter pisma.
Moja droga Antoinette,
wiem, że cierpisz. Ja też. Proszę, pozwól mi się pocieszyć.
Maxine
Objęłam palcami zimną gałkę i obróciłam ją powoli, otwierając drzwi na tyle, żeby zobaczyć stojącą w korytarzu Maxine. Jej włosy były jak zawsze upięte w kok, a smukłą talię opasywał starannie wyprasowany fartuch. Trzymała tacę z grzankami. Był też na niej szklany wazonik z jedną różową różą i kubek w kolorze kości słoniowej, z którego unosiły się kłęby pary. Poczułam zapach herbaty earl grey.
Puściłam gałkę.
- Och, Maxine! - zawołałam.
Postawiła tacę na mojej szafce nocnej i mnie objęła. Łzy wy-buchnęły z mocą wulkanu, najpierw słabym strumykiem, a potem potężną falą; wylewały się z mojego serca i duszy z taką intensywnością, że nie wiedziałam, czy kiedykolwiek wyschną.
- Wypłacz to wszystko - szepnęła. - Nie powstrzymuj się.
Kiedy mój płacz ucichł, Maxine podała mi chusteczkę i herbatę, a ja oparłam się o wezgłowie łóżka. Przyciągnęłam kolana do piersi pod różową bawełnianą koszulą nocną.
- Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz - powiedziała Maxine cicho.

Dopiero teraz spojrzałam jej w oczy i zobaczyłam w nich udrękę.
- Przepraszam cię za tamten list - powiedziała. - Nie powinnam była go wysyłać. Powinnam była pozwolić, żeby to twój ojciec ci powiedział. Nie należało to do mnie.
Sięgnęłam po dłoń Maxine. Jej palce były zimne.
- Zawsze byłaś ze mną szczera - odparłam. - Dobrze zrobiłaś, że go wysłałaś. .
- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - Przez mocny akcent jej słowa brzmiały potulniej, bardziej bezbronnie. - Czy kiedykolwiek znów pokochasz mnie tak jak kiedyś?
Nabrałam tchu.
- Nigdy nie przestałam cię kochać, Maxine.
Jej oczy zalśniły, jakby ta odpowiedź była wszystkim, czego potrzebowała.
- A teraz - oznajmiła - zjedz kanapki i opowiedz mi o południowym Pacyfiku.
Sięgnęłam po grzankę i skinęłam głową, chcąc podzielić się całą swoją opowieścią. No, przynajmniej prawie całą.
Następnego dnia pogoda się poprawiła, a kiedy chmury rozproszyły się i odsłoniły czerwcowe słońce, zrobiło mi się lżej
na sercu. . - Dzień dobry, Antoinette - zaszczebiotała z kuchni Maxine. -
śniadanie na stole.
Uśmiechnęłam się i dołączyłam do papy przy stole. Przyjrzałam się talerzowi: świeże owoce, grzanka z masłem i omlet - prawdziwa uczta w porównaniu z wyżywieniem na wyspie.
Maxine odwiesiła fartuch i przysiadła się do nas. Kiedy to zrobiła, papa pogłaskał ją po policzku, a ja uświadomiłam sobie,

że choć zaakceptowałam ich miłość, czekało mnie jeszcze przyzwyczajenie się do niej. Ciekawe, jak matka przyjmowała tę sytuację.
- Papo - spytałam ostrożnie - miałeś jakieś wieści od matki? Maxine odłożyła widelec. Atmosfera zrobiła się niezręczna.
- Tak - odparł. - Jest teraz w Nowym Jorku, kochanie. Oczywiście wiesz o tym. Rozumiem, że pisała do ciebie. - Wyciągnął z kieszeni skrawek papieru. - Prosiła, żebym przekazał ci ten numer telefonu. Chciałaby, żebyś ją odwiedziła... Kiedy będziesz na to gotowa.
Złożyłam pogniecioną karteczkę i położyłam ją przy talerzu. Na pewno chodzi na zakupy i pokazy mody. Czy jest szczęśliwa?
- Gerard dzwonił dziś rano - papa chętnie zmienił temat. -Tak?
- Chciałby wpaść dziś po południu.
Odruchowo sięgnęłam dłonią po medalion, szukając jakiegoś znaku.
- Dobrze - odparłam, wypatrując na twarzy Maxine aprobaty. - Spotkam się z nim.
Uśmiech Maxine powiedział mi, że podjęłam właściwą decyzję. Pierwszym krokiem do zrozumienia tej nowej rzeczywistości było spotkanie z Gerardem i zmierzenie się z wizją życia, które zaplanowaliśmy. Potarłam palec, na którym nosiłam kiedyś pierścionek zaręczynowy, i westchnęłam.
- Dobrze - odezwał się papa zza gazety. - Powiedziałem mu, żeby przyjechał koło drugiej.
Usłyszałam, że samochód Gerarda zatrzymuje się na podjeździe, a potem na ganku rozległy się kroki. Zamarłam. Co mu powiedzieć? Jak się zachować?

Maxine zajrzała do mojego pokoju i wskazała ręką schody.
- Przyjechał, Antoinette - powiedziała cicho. - Jesteś gotowa?
Przygładziłam włosy i podeszłam do szczytu schodów.
- Tak - odparłam, zbierając się w sobie.
Pierwszy krok, drugi. Słyszałam w salonie głos Gerarda: rozmawiał z papą. Jego bliskość sprawiła, że serce zadrżało mi niespodziewanie. Trzeci krok i czwarty. Głosy zamilkły. Piąty, szósty krok. I oto pojawił się: stał u stóp schodów i patrzył na mnie z taką miłością, z takim przejęciem, że nie mogłam oderwać od niego wzroku.
- Anne - powiedział.
- Gerardzie! - Mój głos załamał się nieco.
Lewe ramię Gerarda spoczywało na beżowym temblaku.
- To co, będziesz tak stała czy pocałujesz tego rannego żołnierza?
Uśmiechnęłam się szeroko i zbiegłam z ostatnich schodów, wpadłam w jego ramiona i pocałowałam go lekko w policzek, działając instynktownie, tak jak podpowiadało mi ciało.
Papa odchrząknął i skinął Maxine głową.
- Zostawimy was - powiedział z szerokim uśmiechem. -Macie do nadrobienia sporo zaległości.
Gerard zaprowadził mnie na sofę, po czym zdrową ręką zamknął za nami drzwi.
- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo za tobą tęskniłem - powiedział, siadając obok mnie.
Zdążyłam zapomnieć, jak niebywale był przystojny.
- Przepraszam, że nie pisałam zbyt często - odparłam, marszcząc brwi.
- Nie szkodzi - powiedział czule. - Wiedziałem, że byłaś zapracowana.
Gdyby znał prawdziwy powód, czy byłby równie wielkoduszny?

- Twoje ramię - dotknęłam delikatnie jego barku, a potem cofnęłam pospiesznie rękę. - Och, Gerardzie. Papa mówi, że może już nigdy nie będzie sprawne.
Wzruszył ramionami.
- Powinienem był tam zginąć - powiedział, wlepiając wzrok we własne kolana. - Wszystkich ludzi dookoła mnie zastrzelono, wszystkich poza mną. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego uszedłem z życiem.
Zrozumiałam, że Gerard też niósł w sercu olbrzymi ciężar, choć jego był szlachetniejszej natury.
Sięgnął po moje ręce, a potem zamarł, podnosząc pozbawioną pierścionka lewą dłoń.
- Gerardzie, ja... Pokręcił głową.
- Nie musisz wyjaśniać. Samo to, że wróciłaś, że mam cię przy sobie, na razie mi wystarczy.
Pozwoliłam mojej głowie opaść na jego ramię.

WRZESIEŃ 1944

- Uwierzysz, że biorę ślub? - zapytałam Maxine, podziwiając białą jedwabną suknię, którą matka sprowadziła z Francji przed wybuchem wojny.
- Wyglądasz pięknie, Antoinette - odparła, spinając stan sukienki szpilką. - Będzie trzeba tylko poprosić krawcową, żeby ją tu nieco zwęziła. Straciłaś ostatnio na wadze?
Wzruszyłam ramionami.
- To tylko z nerwów.
- Czy coś cię trapi, kochana? Wiesz, że możesz mi powiedzieć.
Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadzwonił telefon.
- Odbiorę - powiedziałam, ruszając biegiem po schodach do kuchni. - To pewnie Gerard.

Podniosłam słuchawkę i rzuciłam wesoło, zdyszana:
- Halo, nigdy nie zgadniesz, co mam na sobie. Na linii zatrzeszczały zakłócenia.
- Anne? - odezwał się znajomy kobiecy głos. - Anne, czy to ty?
- Tak, przy telefonie - odparłam. - Kto mówi?
- To ja, Mary. Zaparło mi dech w piersi.
- Mary! O Boże, jak się masz?
- W porządku - powiedziała. - Nie mam dużo czasu, więc powiem krótko: dzwonię ze złymi wieściami.
Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Mary i złe wieści.
- Co się stało?
- Jestem w Paryżu. Przyjechałam tu z powodu Edwarda, ale to temat na inną rozmowę. Słyszałaś zapewne o wyzwoleniu miasta.
- Tak - odparłam, wciąż nie mogąc uwierzyć, że rozmawiam z moją starą przyjaciółką.
- To jest jak sen, Anne. Są tu alianci. Przez jakiś czas nie wierzyliśmy, że to się stanie. - Urwała na chwilę. - Musisz wiedzieć, że dziś w szpitalu wojskowym widziałam Kitty, i...
Często myślałam o Kitty, szczególnie teraz, w przededniu ślubu. Na dźwięk jej imienia stara rana w moim sercu znów zabolała.
- Mary, co z nią?
- Wszystko dobrze. Ale Anne... Anne, chodzi o Westryego. Pokój zaczął nagle wirować i usiadłam, czując, jak zabłąkana szpilka w sukni ślubnej wbija mi się w bok.
- Anne, jesteś tam?
- Tak - odparłam słabym głosem. - Jestem.
- Jest ranny - ciągnęła - dostał kulkę. Należał do 4. Dywizji Piechoty, która przypuściła szturm na miasto. Jego batalion bardzo ucierpiał w walce. Większość zginęła. On jakoś przeżył.

- Mój Boże, Mary, jak źle z nim jest?
- Nie wiem na pewno, ale wygląda na to... no cóż, Anne, nie jest dobrze.
- Jest przytomny?
Znów rozległy się zakłócenia na linii.
- Mary, słyszysz mnie jeszcze?
- Tak, słyszę. - Jej głos był bardziej zniekształcony i cichszy niż chwilę wcześniej. Wiedziałam, że połączenie zaraz zostanie przerwane. - Musisz przyjechać. Musisz się z nim zobaczyć, zanim...
- Ale jak? - krzyknęłam spanikowana. - Możliwość podróży jest ograniczona, szczególnie do Europy.
- Znam pewien sposób - oznajmiła Mary. - Masz coś do pisania?
Pogrzebałam w kuchennej szufladzie i wyciągnęłam notatnik. Widać było na nim pismo matki i zdałam sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknię. Po ponad roku spędzonym w Stanach jeszcze nie odwiedziłam jej w Nowym Jorku.
- Jestem gotowa.
- Zapisz ten kod: A5691G9NQ.
- Co to znaczy?
- To kod podróżny używany przez służbę dyplomatyczną -powiedziała. - Dzięki niemu możesz wejść na pokład statku do Paryża, który za cztery dni wypływa z Nowego Jorku. A kiedy przyjedziesz, przyjdź do mojego mieszkania: Saint Germaine, numer trzysta czterdzieści dziewięć.
Nagryzmoliłam adres w notatniku i pokręciłam głową.
- Naprawdę myślisz, że to zadziała?
- Tak. A jeśli będziesz mieć jakiekolwiek problemy, wspomnij nazwisko Edwarda Naughtona.
Ścisnęłam słuchawkę z całych sił, próbując zatrzymać połączenie, zatrzymać ją samą.
- Dziękuję, Mary.

Zakłócenia zakończyły już naszą rozmowę. Nie odpowiedziała.

♦ ♦ ♦

- Gerardzie, muszę ci coś powiedzieć - odezwałam się tego wieczora przy kolacji. Odsunęłam talerz na bok. Kolacja, choć złożona z pieczonego łososia i młodych ziemniaków, mnie nie zainteresowała.
- Prawie nie tknęłaś jedzenia - powiedział, marszcząc brwi. Siedział po drugiej stronie stołu i był bardzo elegancki
w szarym garniturze. Klub Cabana wyglądał na wymarły bez tłumu ludzi i zwyczajowej chmury dymu papierosowego. Na scenie grał samotny saksofonista. Pod pewnymi względami wizyta tam wydawała mi się zdradą, zdradą wobec tych, którzy zginęli albo cierpieli w szpitalach. Przełknęłam ślinę z wysiłkiem.
- O co chodzi, ukochana? - ciągnął, wycierając usta białą serwetką.
Nabrałam głęboko tchu.
- Kiedy byłam na południowym Pacyfiku, pojawił się pewien mężczyzna. Ja...
Gerard zacisnął powieki.
- Nie mów mi - pokręcił głową. - Proszę, nie mów. Przytaknęłam.
- Rozumiem. Ale jest coś, co muszę zrobić przed ślubem.
- Co takiego?
- Muszę wyjechać - powiedziałam. - Na krótko. Widać było, że go to zabolało, lecz nie zaprotestował.
- A kiedy wrócisz, będziesz znów sobą? Spojrzałam mu głęboko w oczy.
- Dlatego właśnie muszę wyjechać. Muszę się tego dowiedzieć.

Odwrócił wzrok. Moje słowa go zraniły, a mnie trudno było to znieść. Jego ranne lewe ramię zwieszało się bezwładnie. Wolał nie zakładać temblaka, kiedy wychodziliśmy do miasta.
- Anne - powiedział i odchrząknął. Jego głos załamał się nieco, więc urwał, żeby się uspokoić. Gerard nigdy nie płakał. -Jeśli tego ci właśnie trzeba. Jeśli jest szansa, że znów będę mógł zdobyć całe twoje serce, poczekam.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka papa zawiózł mnie na dworzec. Czekała mnie długa podróż do Nowego Jorku. Miałam zatrzymać się na jeden dzień u matki przed wejściem na pokład statku, o którym mówiła Mary. Modliłam się, aby Westry wytrwał do chwili mojego przyjazdu. Potrzebowałam powiedzieć mu tyle rzeczy, tyle rzeczy chciałam od niego usłyszeć. Czy ziarno miłości, które wciąż tkwiło w moim sercu, pozostało i u niego?

- Matka będzie zachwycona twoją wizytą - powiedział papa.

Wyglądał na zażenowanego, jak zawsze, kiedy mówił o matce. Biorąc pod uwagę stan ich związku, nie wydawało mi się właściwe, że użył słów „zachwycona" i „matka" w tym samym zdaniu, ale postanowiłam przymknąć oko na ten szczegół.

- Masz adres, prawda? - zapytał.

- Tak - odparłam, wskazując portmonetkę, w której miałam bilet i kartkę z adresem matki.

- Dobrze. Weź taksówkę spod dworca i jedź prosto do jej mieszkania. Uważaj na siebie, mała.

Uśmiechnęłam się.

- Papo, zapominasz, że przez prawie rok mieszkałam w strefie działań wojennych. Myślę, że poradzę sobie w mieście.

Odwzajemnił mój uśmiech.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Zadzwoń, kiedy będziesz znała datę powrotu, przyjadę tu po ciebie.
Pocałowałam go w policzek i wsiadłam do pociągu. Konduktor zabrał mój bilet i zaprowadził mnie do małego przedziału, w którym przez kolejne dwa dni przejechałam sama cały kraj.

♦ ♦ ♦

Było późno, kiedy pociąg wtoczył się na Grand Central Terminal, a gdy sunął po torach, za oknami migotały światła miasta. Trudno mi było wyobrazić sobie, że matka zadomowiła się w tym wielkim, dynamicznym miejscu, tak niepodobnym do Seattle.

Wyszłam z pociągu i przetaszczyłam torbę przez tłum ludzi, wymijając kobietę prowadzącą zdecydowanie zbyt wiele dzieci, mężczyznę z małpką trzymającą cymbałki i siwowłosego włóczęgę, który wyciągał przed siebie czapkę i mruczał coś, czego nie zrozumiałam.

Na ulicy przed dworcem czekało mnóstwo taksówek. Podniosłam rękę i przyciągnęłam uwagę ciemnoskórego kierowcy, który kiwnął mi głową i wskazał tylne siedzenie samochodu.

Otworzyłam drzwi i wepchnęłam do środka torbę, po czym sama usiadłam. W powietrzu unosił się zapach papierosów i stęchlizny.

- Jadę na - zerknęłam na skrawek papieru z adresem -Wschodnią Pięćdziesiątą Siódmą ulicę, numer pięćset sześćdziesiąt.

Przytaknął głową z roztargnieniem.

Widok za oknem wkrótce rozmył się przed moimi oczami. Błyskały światła: zielone, czerwone, różowe, żółte. Marynarze na przepustkach ubrani w białe mundury ściskali kobiety -blondynki, brunetki, wysokie i niskie. Wojna jeszcze się nie

skończyła, ale jej bieg się zmienił. Dało się to wyczuć wszędzie od przedmieść Seattle do tętniących życiem ulic Nowego Jorku.
Budynki migały za oknem jak klatki filmu, jeden za drugim, i tworzyły razem obraz, który był zarówno obcy, jak i wywołujący poczucie osamotnienia. W końcu taksówka zatrzymała się nagle na wysadzonej drzewami ulicy.
- Jesteśmy, panienko - powiedział taksówkarz.
Zapłaciłam, a on postawił moją torbę na chodniku i wskazał mi miejską posiadłość z cegły, ze lśniącymi czerwonymi drzwiami.
- Dziękuję - powiedziałam i ruszyłam w stronę schodów. Zadzwoniłam do drzwi i po chwili pojawiła się matka. Była
prawie jedenasta wieczorem, ale stanęła w progu w pełnym makijażu i czerwonej sukience z odkrytymi ramionami. Martini wylewało się z kieliszka, który prawie wypadał jej z ręki.
- Anne! - zawołała i przyciągnęła mnie do siebie świeżo wy-manikiurowaną dłonią.
Oliwka wyleciała z jej kieliszka na podłogę. Cofnęła się chwiejnie, a ja upuściłam torbę i wyciągnęłam ramiona, żeby ją przytrzymać.
- Niech no ci się przyjrzę - powiedziała nienaturalnie wesołym tonem. Obrzuciła mnie wzrokiem i skinęła głową z aprobatą. - Południowy Pacyfik był dla ciebie łaskawy, kochanie. Wiesz, straciłaś chyba z pięć kilo.
Uśmiechnęłam się.
- No cóż, ja...
- Wejdź! Wejdź! - odwróciła się od drzwi i szeleszcząc czerwoną sukienką, ruszyła przed siebie.
Poszłam za nią, z trudem wnosząc torbę do holu, gdzie z sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol, zbyt wielki i krzykliwy jak na tak małą przestrzeń.
- Nie jest to Windermere - oznajmiła, wzruszając ramionami - ale teraz to mój dom. Pokochałam miejskie życie.

Zaprowadziła mnie do niewielkiego salonu z parkietem i sofą w stylu wiktoriańskim.
- Oczywiście wszystko to będzie przemalowane. Leon mi z tym pomaga. - Wypowiedziała to imię tak, jakby spodziewała się, że je rozpoznam.
- Leon?
- Mój dekorator wnętrz - powiedziała i znów pociągnęła długi łyk z kieliszka. Nie przypominałam sobie, żeby w Seattle przepadała za martini; jej obojczyki nie wystawały też wcześniej tak bardzo. - Nalega, żeby ten pokój był fioletoworóżowy, ale nie jestem pewna. Wolałabym jakiś odcień morskiego. Jak sądzisz, kochanie?
- Morski może być trochę zbyt intensywny jak na ten pokój - odparłam szczerze.
- Właśnie o taki wystrój mi chodzi, kochanie - powiedziała, przesuwając dłonią po najbliższej ścianie - intensywny. Twój ojciec był takim tradycjonalistą. - Wychyliła resztę drinka i zachichotała. - Już nie muszę postępować zgodnie z tradycjami.
Przytaknęłam. Wolałam nie rozmawiać z nią o papie, kiedy była w takim stanie. Pokręciła głową.
- Ależ gadam bez końca - powiedziała, sięgając po dzwonek. - Na pewno jesteś wykończona, kochanie. Zadzwonię po Minnie.
Po chwili pojawiła się drobna kobieta, która nie mogła być starsza ode mnie.
- Minnie, bądź tak dobra i zaprowadź Anne do jej pokoju.
- Tak, proszę pani - pisnęła Minnie i sięgnęła po moją torbę.
- Dobranoc, najmilsza - powiedziała matka, gładząc mnie po policzku. - Wiem, że nie możesz zostać długo, ale na jutrzejszy poranek przed twoim wyjazdem zaplanowałam mnóstwo atrakcji. Odpocznij, skarbie.

- Dobranoc.
Poszłam za Minnie po schodach, podczas gdy matka wróciła do barku i sięgnęła po butelkę ginu.
❖ ❖❖
Następnego ranka obudził mnie klakson samochodu dobiegający zza mojego okna na trzecim piętrze. Przykryłam twarz poduszką z nadzieją, że znów usnę, ale nie udało mi się. Zerknęłam na budzik: była dopiero szósta czterdzieści, ale mimo to wstałam i się ubrałam. Matka już na pewno czekała, a ja chciałam spędzić z nią jak najwięcej czasu przed wejściem na pokład statku.
Na parterze światło poranka wpadające przez okna ukazało mi przestrzeń, która była bardziej pusta, niż wydawało mi się poprzedniego wieczora. Na ścianach nie było zdjęć ani obrazów. Matka kochała malarstwo.
- Dzień dobry, panienko - odezwała się Minnie nieśmiałym tonem od drzwi do kuchni. - Czy mogę podać panience kawę albo herbatę?
- Chętnie napiłabym się herbaty, Minnie, dziękuję - odparłam z uśmiechem.
Chwilę później wróciła z tacą, na której niosła filiżankę herbaty, talerz z owocami, rogalika i ugotowane jajko. Przyjrzałam się jedzeniu.
- Czy nie powinnam poczekać na matkę? Minnie zrobiła zakłopotaną minę.
- No właśnie - powiedziała. - No cóż, chodzi o to, że...
- Minnie, co się stało?
- Był tu wczoraj pan Schwartz - ciągnęła nerwowo, szukając na mojej twarzy wyrazu zrozumienia, aprobaty.
- Masz na myśli Leona?
- Tak, panienko. Przyjechał, kiedy panienka poszła do sypialni.

- Ach - odparłam. - Czy matka dalej śpi? -Tak.
- Minnie, czy on tu wciąż jest?
Spojrzała pod nogi i zaczęła obgryzać paznokieć kciuka.
- Jest, prawda?
Wyglądało na to, że podzielenie się z kimś tą tajemnicą sprawiło Minnie ulgę.
- Kiedy przychodzi w odwiedziny, często nie widzę jej do południa, czasami do pierwszej.
Kiwnęłam głową, starając się nie okazać rozczarowania.
- Zjem zatem śniadanie tutaj - odparłam, sięgając po tacę. -Dziękuję.
- Och, panienko... panienko Anne - wyjąkała nerwowo Minnie. - Nie powie panienka pani Calloway, że... że powiedziałam cokolwiek panience, prawda?
Poklepałam ją uspokajająco po pulchnej dłoni.
- Oczywiście, że nie - powiedziałam. - To będzie nasz sekret.
Godzinę później wyszłam na ulicę. Miałam pięć godzin, zanim musiałam pojechać na nabrzeże i wejść na pokład statku. Wezwałam gestem taksówkę niepewna własnego celu.
- Dokąd, panienko? - zapytał kierowca.
- Nie wiem - odparłam. - Zostało mi w mieście tylko kilka godzin. Może pan coś polecić?
Kierowca ukazał w uśmiechu złoty ząb.
- To zabawne. Wszyscy w tym mieście zazwyczaj dokładnie wiedzą, dokąd jadą.
Wzruszyłam ramionami i podniosłam wzrok na mieszkanie matki. Zasłony w oknie jej sypialni wciąż były zaciągnięte.
- Wydawało mi się, że wiem, dokąd zmierzam. Myślałam, że wszystko mam zaplanowane, ale...

Kierowca zrobił zmartwioną minę.
- Nie chciałem zranić panienki uczuć. Pokręciłam głową.
- Nie uraził ich pan.
- Hej - wyciągnął złożoną broszurkę z kieszeni marynarki -lubi panienka sztukę?
Pomyślałam o obrazie, który zostawiłam w bungalowie. Tak bardzo pragnęłam mieć go przy sobie.
- Tak - odparłam. - Tak, lubię.
- To zabiorę panienkę do Met. -Met?
Spojrzał na mnie jak na dziecko.
- Do Metropolitan Museum of Art.
- Dobrze - powiedziałam z uśmiechem. - Świetnie.
- Mam nadzieję, że znajdzie panienka to, czego szuka - kierowca mrugnął do mnie.
- Ja też - odparłam i wręczyłam mu trzy szeleszczące banknoty wyciągnięte z portfela.
Chwilę później stałam pod wielkim kamiennym budynkiem; wejścia strzegły potężne szare kolumny. Wspięłam się po schodach w stronę podwójnych drzwi, weszłam do środka i skierowałam się prosto do punktu informacyjnego.
- Przepraszam panią, nie mają tu państwo przez przypadek jakichś obrazów francuskich artystów? - zapytałam.
Kobieta mniej więcej w wieku mojej matki skinęła głową, nie podnosząc głowy znad książki.
- Oczywiście, że mamy, panienko. Wszystkie są we wschodnim skrzydle na trzecim piętrze.
- Dziękuję - odparłam i ruszyłam w stronę windy.
Wiedziałam, że nierozsądnie było z mojej strony spodziewać się, że znajdę tam jakieś prace Gauguina. Mimo to chciałam wiedzieć, czy małe płótno z bungalowu było choć trochę podobne do jego innych dzieł. Czy Tita mogła mieć rację co do pierwotnego właściciela chatki... i jej klątwy?

Wyszłam z windy na trzecim piętrze. Poza małym chłopcem ściskającym czerwony balon i dłoń matki oraz strażnikiem stojącym pod zachodnią ścianą nie było tam nikogo.
Przechodziłam od obrazu do obrazu, czytając zawieszone pod nimi tabliczki: Monet, Cezanne i inne nazwiska, których nie znałam. Kiedy przeszukałam całe pomieszczenie, usiadłam zrezygnowana na ławce obok windy.
- Przepraszam, panienko. - Podniosłam oczy: w moją stronę szedł strażnik. Zsunął okulary na koniec nosa. - Mogę pomóc panience coś znaleźć?
Uśmiechnęłam się.
-Ach, nic takiego. Pomyślałam sobie, że znajdę tutaj prace pewnego artysty. Myliłam się jednak.
Przechylił głowę.
- Jakiego artysty?
- Och, francuskiego malarza, który stworzył większość swoich obrazów na południowym Pacyfiku. Miałabym więcej szczęścia, szukając we Francji.
- Jak się nazywał?
- Paul Gauguin - powiedziałam, wstałam i wcisnęłam guzik przy windzie.
- Ależ tak - powiedział mężczyzna - mamy jego prace.
- Naprawdę? - Rozległ się dzwonek i drzwi windy się otworzyły. Cofnęłam się i pozwoliłam im się zamknąć.
- Oczywiście - odparł, wskazując drzwi kilka kroków dalej. Były zamknięte na kłódkę w złotym kolorze. - To skrzydło jest teraz nieczynne z powodu konserwacji, ale ponieważ jest panienka tak zainteresowana, mógłbym je otworzyć... w drodze wyjątku.
Uśmiechnęłam się szeroko.
- Mógłby pan?
- Mam tu klucz - oznajmił, poklepując się po kieszeni spodni.

Poszłam za nim, a on wsunął mosiężny klucz do kłódki i otworzył przede mną drzwi.
- Niech się panienka nie spieszy - powiedział z dumą. -Będę tuż za drzwiami.
- Dziękuję - odparłam. - Bardzo panu dziękuję. Wślizgnęłam się do środka, a drzwi zamknęły się za mną
cicho. Pokój był mały w porównaniu z pomieszczeniem na zewnątrz, ale ściany były usiane obrazami. Z początku nie wiedziałam, od czego zacząć - od krajobrazów po prawej czy portretów po lewej - ale wtedy moją uwagę przyciągnął obraz przedstawiający scenę na plaży, zawieszony na ścianie naprzeciwko mnie. Z jakiegoś powodu wydał mi się znajomy. Byłoby przesadą mieć nadzieję, że malarz, który kiedyś mieszkał w bungalowie, mógł namalować ten sam odcinek plaży, ale kiedy się zbliżyłam, nie wydało mi się to nieprawdopodobne.
Na obrazie widniał krzak hibiskusa o żółtych kwiatach rosnący obok krytego strzechą bungalowu. Naszego bungalowu. Na brzegu majaczyła sylwetka wyspiarki. Płótno wyglądało jak uzupełnienie sceny przedstawionej na dziele, które zostało w chatce - były jak dwie fotografie zrobione jedna za drugą.
Zrobiłam krok do tyłu, szukając tabliczki z opisem - czymkolwiek, co wskazywałoby na pochodzenie obrazu, datę jego stworzenia, a szczególnie autora. Żadnej jednak nie znalazłam.
Otworzyłam drzwi i wychyliłam się zza nich na korytarz, aby przyciągnąć uwagę strażnika.
- Przepraszam pana - szepnęłam. Kiwnął głową i podszedł do mnie. -Tak?
- Przepraszam, że przeszkadzam, ale wspomniał pan, że ten pokój jest tymczasowo zamknięty. Wie pan, czy spod niektórych obrazów usunięto tabliczki? Chciałabym się o jednym z nich czegoś dowiedzieć.

Mężczyzna się uśmiechnął.
- Może ja będę w stanie pomóc.
Weszliśmy oboje do środka, a ja wskazałam mu płótno.
- Chodzi o ten.
- Znam ten obraz - stwierdził. - Jest wyjątkowy.
- Kto go namalował?
- Nie kto inny jak pan Paul Gauguin - odparł mężczyzna z uśmiechem. - Z pewnością można to rozpoznać po podo-biźnie kobiety z wysp na pierwszym planie oraz po podpisie.
Pokręciłam głową, oniemiała.
- Po podpisie?
- Tutaj - wskazał lewy dolny róg. Żółta farba, którą artysta nakreślił swoje nazwisko, zlewała się z kolorem hibiskusa. Oczywiście, że to Gauguin. Gdyby tylko Westry tu był.
- A tu jeszcze jeden.
Strażnik podszedł do większego obrazu wiszącego kilka kroków dalej, przedstawiającego półnagą kobietę z kwiatem plumerii we włosach. Nabrałam gwałtownie tchu, kiedy uświadomiłam sobie, kogo mi przypomina. Była podobna jak dwie krople wody do Atei.
Wróciłam do plażowej sceny, która mnie tak zachwyciła.
- Wie pan może, kiedy namalował ten obraz?
- Zapewne podczas pobytu na Tahiti, na początku lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.
- Tahiti? - Tam albo gdzieś w okolicy - odparł. - Podobno pomieszki-wał na wielu sąsiednich wyspach. Okazuje się, że czasami jego prace odnajdują kapitanowie statków, którzy prowadzą handel wymienny z miejscowymi. Bezcenny obraz za paczkę papierosów - pokręcił głową. - Potrafi to sobie panienka wyobrazić?
Skinęłam głową, czując przypływ tej samej paniki, która ogarnęła mnie w dniu wyjazdu z wyspy; wiedziałam, że obraz być może przepadł na zawsze.

- Wie pan cokolwiek więcej o jego życiu na wyspach?
- Tylko tyle, że był odludkiem. Mieszkał na uboczu, zadawał się z dwukrotnie młodszymi od siebie kobietami i często wpadał w tarapaty. Zmarł samotnie z powodu zawału serca wywołanego syfilisem. Według mnie niezbyt szczęśliwe życie.
Kiwnęłam głową. Wszystko się zgadzało: bungalow, obraz, ostrzeżenie Tity, klątwa.
Spojrzałam na strażnika z uznaniem.
- Skąd tyle pan wie o Gauguinie? - zapytałam.
- Niezbyt wielu złodziei sztuki grasuje po tych pomieszczeniach - powiedział, puszczając do mnie oko. - Mam tu sporo wolnego czasu. Poza tym to mój ulubiony malarz. Nie zasługuje na to, żeby chować go w tym pokoju. Jego prace powinny wisieć obok Monetów i van Goghów.
Przytaknęłam, żałując, że nie mogę przenieść się z powrotem na wyspę i odzyskać obraz, który tam zostawiliśmy. Przyniosłabym go do muzeum i poprosiłabym, żeby powieszono go właśnie tutaj, obok tego drugiego. To uzupełniłoby opowieść, którą jedno płótno zaczęło snuć, a drugie mogłoby zakończyć.

❖ ❖

- Tak mi przykro, że dziś rano zaspałam, kochanie - powiedziała matka, kiedy wróciłam do mieszkania. Leżała na sofie z workiem z lodem na czole. - Mam straszliwą migrenę.
Miałam ochotę powiedzieć: „Bo piłaś całą noc z panem Schwartzem", ale zamiast tego uśmiechnęłam się słodko.
- Zajęłam się sobą, mamo.
- To dobrze - powiedziała. - Obawiam się, że jestem zbyt chora, żeby odwieźć cię dziś do portu. Zamówiłam kierowcę, który odbierze cię stąd za pół godziny. Dotrzesz tam na czas.
Skinęłam głową.
- Mamo... - urwałam, zastanawiając się nad następnymi słowami. - Nie porozmawiałyśmy o tym, co się stało, o Maxine i papie.

Odwróciła wzrok; nie chciała patrzeć mi w oczy.
- Mamo - ciągnęłam - czy wszystko w porządku? Wiem, że to musiało być bardzo bolesne.
Wyczułam jej smutek, nawet kiedy próbowała zamaskować go, proponując mi babeczkę z tacy, którą Minnie zostawiła na stoliku.
- Mamo? Westchnęła.
- Z czasem dojdę do siebie - powiedziała. - Wypełniam sobie dni tak bardzo, jak mogę. I nie brakuje mi teraz mężczyzn.
Spuściłam oczy zawstydzona.
- Rozpad tego małżeństwa był największą porażką mojego życia.
- Och, mamo...
- Nie - przerwała mi. - Chcę, żebyś to wiedziała. Kiwnęłam głową, choć nie byłam do końca pewna, czy chcę
słyszeć to, co ma mi do powiedzenia.
- Kochałam twojego ojca, zawsze go kochałam - ciągnęła. -Ale dawno temu zdałam sobie sprawę, że on nie odwzajemnia mojego uczucia. Co więcej, nigdy mnie nie kochał. A w każdym razie nie w taki sposób, w jaki mąż powinien kochać żonę. -Westchnęła i wyciągnęła przed siebie puste dłonie. Potem zmieniła ton z pełnego żalu na zdecydowany. - Niech to więc będzie lekcją dla ciebie, kochanie. Kiedy będziesz wychodzić za mąż -urwała, aby spojrzeć mi głęboko w oczy - upewnij się, czy on cię naprawdę, naprawdę kocha.
- Tak zrobię. Oparła się o poduszkę.
- Nie wspominałaś, dlaczego jedziesz do Francji, skarbie. Spojrzałam na nią, czując, że pewne rzeczy zrozumiałam
dopiero teraz.
- To, co mówiłaś o miłości, mamo... właśnie po to jadę. Muszę się upewnić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kod podróżny dla służby dyplomatycznej zadziałał dokładnie tak, jak mówiła Mary. Na nabrzeżu trzęsły mi się ręce, a pełen sceptycyzmu młody żołnierz zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale kiedy wspomniałam o Edwardzie Naughtonie, podał mi skrawek papieru z numerem kabiny i gestem nakazał mi wejść na pokład.

Podczas ostatniego dnia wyczerpującej przeprawy, blada i szarpana torsjami, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyruszyłam w tę podróż na darmo. Nawet jeśli będę miała szansę zobaczyć się z Westrym, czy on zechce widzieć mnie? Od naszego napiętego pożegnania na Bora-Bora minął rok, a on nie napisał do mnie, nie zadzwonił. Biorąc pod uwagę zajadłe walki w Europie, z pewnością byłoby to trudne, lecz mógł spróbować. A nie spróbował.

- Zbliżamy się do brzegu - z korytarza rozległ się głos stewarda. - Prosimy pasażerów o zebranie bagażu.

Wyjrzałam przez maleńkie okno. Za kłębami mgły w oddali czekał senny port Hawr, który dzieliła od Paryża już tylko krótka podróż pociągiem. Zaczęły mnie trapić wątpliwości. „Co ja tu robię?" Upłynął rok, bardzo długi rok. Czy to tylko gonitwa za snem, który dawno już się zakończył? Sięgnęłam po

torbę i odepchnęłam tę myśl. Zajechałam tak daleko - zatem powinnam doprowadzić sprawę do końca.
Stałam na ulicy Mary, Saint Germaine, i patrzyłam na górujący nade mną okazały kamienny budynek: liczne balkoniki były ozdobione kwiatami oraz roślinami w doniczkach. W mieszkaniach migotały świece. Zastanawiałam się, jakie życie prowadziła tam Mary podczas okupacji miasta i jak potoczyła się jej historia z Edwardem. Czy tamten list wszystko zmienił? Czy Edward przyjął ją z powrotem? Czy nastąpiło szczęśliwe zakończenie? Było późno, prawie dziesiąta, ale z radością zobaczyłam, że w kawiarenkach i restauracjach tłoczą się miejscowi, że pary spacerują pod ramię. A jednak widać było pozostałości grozy, którą przetrwało miasto. Obok kosza na śmieci leżała częściowo spalona, rozdarta pośrodku flaga ze swastyką. Zielona markiza piekarni po drugiej stronie ulicy była poczerniała od ognia. Jedno z jej okien zabito deskami. Na drzwiach widniała żółta gwiazda Dawida.
Weszłam do budynku Mary, ponownie sprawdziłam numer mieszkania i zapukałam cicho. Chwilę później usłyszałam zza drzwi kroki i odgłos odsuwanego rygla.
- Anne! - zawołała Mary. - Przyjechałaś! Ze łzami w oczach objęłam przyjaciółkę.
- Muszę się uszczypnąć - powiedziałam. - Sama nie dowierzam, że tu jestem.
- Na pewno jesteś wykończona. Nabrałam głęboko powietrza.
- Mary, muszę wiedzieć. Co z Westrym? Widziałaś go ostatnio? Czy on...?
Mary spojrzała pod nogi.

- Nie byłam w szpitalu od kilku dni - odparła cicho. - Ale mogę ci powiedzieć, że odniósł poważne rany. Postrzelono go. Wielokrotnie.
Odniosłam nagle wrażenie, że powietrze stało się gęste, trujące. Łzy zapiekły mnie w oczy.
- Nie przeżyję jego straty, Mary. Przyjaciółka objęła mnie ramieniem.
- Chodź, rozgość się - powiedziała. - Oszczędź łzy na jutro.
Podążyłam za Mary do środka; włączyła dwie lampy i poprosiła gestem, żebym usiadła wraz z nią na sofie ze złotymi zdobieniami. Ściany pokrywała tapeta w subtelny wzór.
- Jakie piękne mieszkanie - mruknęłam, wciąż myśląc o Westrym.
Mary wzruszyła ramionami. Nie pasowała do tego mieszkania; wyglądała w nim jak uczennica ubrana w wieczorową suknię swojej matki.
- Długo tu nie zostanę - powiedziała, ale nie dodała nic więcej. - Masz ochotę na kanapkę? Rogalika?
Zerknęłam na jej lewą dłoń i zauważyłam, że palec serdeczny jest nagi. Odruchowo przykryłam własny pierścionek z diamentem prawą ręką, przypominając sobie, jak chowałam go na wyspie.
- Nie, dziękuję - odparłam.
Co zmieniło się w Mary? Płowe włosy wciąż układała tak samo. Jej uśmiech wciąż ukazywał nierówne zęby. Ale jej oczy... tak, jej oczy się zmieniły. Pojawił się w nich głęboki smutek, a ja bardzo chciałam wiedzieć, jak to się stało.
- A co z Edwardem? - Imię rozbrzmiało w nocnym powietrzu. Moment po tym jak je wypowiedziałam, pożałowałam, że nie mogę cofnąć pytania.
- Nie ma Edwarda - powiedziała obojętnym tonem, przenosząc wzrok za okno, na lśniące światła Paryża i wielką Sekwanę widoczną w oddali. - Już nie ma. - Przerwała na chwilę,

a potem spojrzała znów na mnie. - Słuchaj, wolałabym o tym nie rozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko. Kiwnęłam pospiesznie głową.
- Nie wyobrażam sobie, co musiałaś tu przeżyć... to znaczy podczas okupacji.
Mary przesunęła dłonią po swoich rzadkich włosach.
- To było po prostu straszne, Anne. Biorąc pod uwagę, że jestem Amerykanką i w ogóle, mam szczęście, że wciąż tu jestem. Na szczęście poradziłam sobie dzięki zajęciom z francuskiego na uczelni. Papiery, które Edward... - przerwała, jakby samo wspomnienie o nim wytrącało ją z równowagi. - Papiery, które sporządził, ukryły moją tożsamość. Cud, że mnie nie nakryto, i to po tym jak pomagałam ruchowi oporu.
- Mary, jakie to przerażające. Jesteś bardzo odważna. Spojrzenie jej oczu było smutne i nieobecne.
- Kontrole nazistów - ciągnęła - ten strach, że jeśli powiesz coś nieodpowiedniego, choćby kichniesz w złą stronę, zostaniesz zabrana na przesłuchanie. I te biedne żydowskie rodziny wyciągane z domów... W tym budynku mieszkały trzy, w tym jedna, czteroosobowa, na końcu mojego korytarza. Próbowaliśmy je ratować - uniosła dłonie - ale nie zdążyliśmy. Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek wrócą.
Zamrugałam mocno kilka razy.
- Och, Mary.
Pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z kolejnego wspomnienia, które mogłoby sprawić jej za dużo cierpienia, a potem wyciągnęła chustkę z kieszeni sukienki.
- Przepraszam - powiedziała. - Myślałam, że będę mogła o tym z tobą rozmawiać, ale obawiam się... obawiam się, że wszystko to jest zbyt bolesne.
Wzięłam ją za rękę i mignęła mi maleńka różowa blizna na jej nadgarstku. Zalała mnie fala wspomnień z Bora-Bora.
- Proszę, nie mówmy o przeszłości - powiedziałam.

Mary westchnęła.
- Niestety ona zawsze będzie mi towarzyszyć.
- Ale miasto ocalało - szukałam jasnej strony.
- Tak - odparła Mary - cudem. Przez jakiś czas myśleliśmy, że całe pójdzie z dymem, a my razem z nim.
- Mary, jak to się stało, że tu trafiłaś? - zapytałam ostrożnie. - Czy przyjechałaś z powodu... tego listu, który dałam ci, zanim wyjechałaś z Bora-Bora?
Potarła splecione na kolanach dłonie.
- Gdyby tylko odpowiedź była tak prosta - powiedziała nostalgicznym tonem. - Nie, głupio zrobiłam, że tu przyjechałam.
Przez moment żałowałam, że nie zachowałam listu, żeby oszczędzić Mary cierpienia. A jednak bez tego listu nie przyjechałaby do Paryża. Nie odnalazłaby Westryego. Nie zadzwoniłaby. Nie mogłam się nadziwić temu, jak przeplatały się nasze historie, i pragnęłam, żeby jej opowieść miała szczęśliwe zakończenie; na to samo miałam nadzieję dla siebie.
- Gdzie pojedziesz stąd? - zapytałam, szukając na jej twarzy znaku, że wszystko będzie z nią w porządku: błysku w oku, półuśmiechu, czegokolwiek.
Zamiast tego spojrzała tylko z powagą za okno.
- Jeszcze nie zdecydowałam.
Światła Paryża migotały, a kiedy pomyślałam o Westrym, zrobiło mi się lżej na sercu. Był gdzieś tam.
- Pójdziesz ze mną jutro do szpitala? Strasznie się denerwuję przed spotkaniem z nim, po... po tak długim czasie. Spojrzenie Mary na chwilę znów się wyostrzyło.
- Oczywiście, że tak - odparła. - Wiesz, Stella też tu jest. - Naprawdę?
- Tak. Przyjechała w zeszłym miesiącu.
- A Will?
- Też. Za jakiś miesiąc biorą ślub.

- To wspaniale - powiedziałam z szerokim uśmiechem. -Bardzo chciałabym się z nią zobaczyć.
- Ona i Will pojechali na południe na kilka dni. Będzie rozczarowana, że się minęłyście.
- O której powinnyśmy jutro wyjść do szpitala? Mary znów zerknęła za okno.
- Godziny odwiedzin zaczynają się o dziewiątej. Możemy złapać taksówkę, kiedy tylko wstaniemy. Twój pokój jest na końcu korytarza, drugie drzwi po lewej. Na pewno jesteś wykończona. Idź odpocząć. - Z całych sił spróbowała się uśmiechnąć, ale kąciki jej ust wyglądały na zesztywniałe i ciężkie, jakby sparaliżowane żalem.
- Dziękuję, Mary - powiedziałam, sięgając po torbę. Zanim skręciłam w wyłożony mahoniem korytarz, po raz
ostatni rzuciłam okiem na salon. Mary siedziała na sofie bez ruchu, z dłońmi splecionymi na podołku, i patrzyła na Sekwanę i migotanie wyzwolonego Paryża.
W tych ścianach coś się wydarzyło. Tak, coś niemożliwego do opisania. Czułam to.
Pierwszy Amerykański Szpital Ogólny majaczył przed nami, a ja ścisnęłam Mary za rękę, kiedy patrzyłyśmy na jego potężną fasadę. Słońce świeciło na niebie, ale wszędzie dookoła budynku kładły się cienie.
Przełknęłam z trudem ślinę.
- Dlaczego on wygląda tak...
- Złowrogo?
- Tak - odparłam, podnosząc zmrużone oczy na najwyższe piętro.
- Ponieważ zanim przybyli alianci, w tym miejscu działo się zło - powiedziała.

Mary wyjaśniła, że dwunastopiętrowy budynek z szarego kamienia, dawniej szpital Beaujon - największy w Paryżu -był wcześniej nazistowską twierdzą. Po przejęciu władzy przez aliantów generał Paul Hawley, chirurg, opróżnił pokoje pełne wyposażenia medycznego, za pomocą którego Niemcy prowadzili makabryczne eksperymenty, głównie na Żydach i Polakach. Teraz na najwyższym piętrze namalowany był czerwony krzyż, który wydał mi się dość podobny do bombowca.
Mary wskazała jedno z okien dość wysoko nad ziemią.
- Widzisz tamto otwarte okno na siódmym piętrze? Kiwnęła głową.
- Znalazłam tam zagłodzoną na śmierć Polkę z małym dzieckiem - powiedziała cicho. - Lekarze nazistów przeprowadzali na nich eksperyment. Przyglądali się przez okno, udokumentowali cały przebieg. Przeczytałam papiery. Ona umarła po dziewięciu dniach. Jej dziecko po jedenastu.
Zadrżałam.
- Ale te okropieństwa się skończyły - ciągnęła Mary z powagą. - Generał Hawley całkiem przeobraził to miejsce. W ciągu ostatnich dwóch tygodni odbyło się prawie tysiąc przyjęć pacjentów, a spodziewamy się wielu następnych.
Nie mogłam oderwać oczu od siódmego piętra.
- Anne?
- Tak? - mruknęłam słabo.
- Jesteś gotowa?
- Mam nadzieję.
Razem weszłyśmy po schodach i do środka. Niemal wyczuwalna ciemność zalegała w ciężkim powietrzu. Tak ogromne zło musiało odcisnąć swoje piętno na budynku. Ściany można było szorować, podłogi - woskować, ale smród zła nie znikał.
W windzie Mary wcisnęła guzik z dziewiątką i ruszyłyśmy w górę. Moje myśli gnały, kiedy mijałyśmy kolejne piętra. Pierwsze, drugie. Czy będzie na tyle przytomny, żeby mnie

rozpoznać? Trzecie piętro. Czy wciąż mnie kocha? Czwarte piętro. Jak potoczą się nasze losy?
- Och, Mary - chwyciłam ją za ramię. - Tak się boję.
Nie pocieszyła mnie ani nie wyraziła zrozumienia dla mojego strachu.
- Właściwie postąpiłaś, przyjeżdżając tutaj - powiedziała. -Bez względu na wszystko będziesz przynajmniej wiedziała, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś.
Westchnęłam.
- Byłaś może w kontakcie z Kitty?
Mary zrobiła minę, po której poznałam, że wie coś o naszej historii, nieporozumieniach na wyspie.
- No właśnie - odparła nerwowym tonem. - Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Od kiedy do ciebie zadzwoniłam...
Winda zatrzymała się nagle na piątym piętrze i weszli do niej lekarz oraz dwie pielęgniarki, co uniemożliwiło nam dalszą rozmowę.
Wyszłyśmy na dziewiątym piętrze i zaparło mi dech. Na pryczach leżało co najmniej trzystu rannych mężczyzn; ich bezwładne ciała przykrywały ciemnozielone wełniane koce.
- To ciężkie piętro - oznajmiła Mary. - Jest tu sporo poważnych przypadków.
Serce waliło mi w piersi.
- Gdzie on jest? - zapytałam, rozglądając się gorączkowo. -Mary, zaprowadź mnie do niego.
Podeszła do nas pielęgniarka, która mogła być moją rówieśnicą. Kiwnęła głową Mary, nie uśmiechając się.
- Myślałam, że masz dziś wolne.
- Mam. Jestem tu z powodu mojej przyjaciółki. Chciałaby odwiedzić pana Greena.
Pielęgniarka spojrzała na mnie, a potem znów na Mary.
- Westryego Greena?
Na dźwięk jego imienia wypowiedzianego przez inną kobietę przebiegł mnie dreszcz.

- Tak - odparła Mary - Westryego Greena. Pielęgniarka znów zmierzyła mnie wzrokiem, mrużąc oczy.
- Pani godność?
- Anne - mruknęłam. - Anne Calloway.
- No cóż - powiedziała, rzucając Mary znaczące spojrzenie, a potem zerkając na pełne pacjentów pomieszczenie za sobą - nie jestem pewna, czy... Sprawdzę - zakończyła z westchnieniem.
Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, odwróciłam się do Mary.
- Nie rozumiem. Dlaczego zachowała się tak dziwnie? Mary rozejrzała się po pokoju i zerknęła za okno, wyraźnie
unikając mojego spojrzenia.
- Mary - mój ton zrobił się błagalny - co się stało?
- Usiądźmy - powiedziała i poprowadziła mnie za ramię do ławki stojącej kilka kroków za nami.
Na ścianie tykał zegar, dręcząc mnie każdym ruchem swojej wskazówki.
- Kiedy do ciebie zadzwoniłam - zaczęła - nie wiedziałam wszystkiego. Nie wiedziałam, że Westry...
Obie podniosłyśmy głowy, kiedy usłyszałyśmy zbliżający się w naszą stronę stukot obcasów na drewnianej podłodze. Widząc znajomą twarz, wybałuszyłam oczy.
- Kitty! - zawołałam i poderwałam się na równe nogi.
Nie potrafiłam powstrzymać chęci podbiegnięcia do dawnej przyjaciółki i uściskania jej z całą miłością i przebaczeniem, które byłyśmy sobie nawzajem winne.
Zatrzymałam się jednak szybko, kiedy dostrzegłam, że Kitty patrzy na mnie jak na nieznajomą.
- Dzień dobry - powiedziała chłodnym tonem. Mary podniosła się i stanęła obok mnie.
- Kitty, Anne przyjechała z bardzo daleka, żeby zobaczyć się z Westrym. Mam nadzieję, że możemy ją do niego zaprowadzić.

Kitty zmarszczyła brwi.
- Obawiam się, że to nie będzie możliwe.
Pokręciłam głową i zacisnęłam powieki, bo zaczęły mnie piec oczy.
- Dlaczego, Kitty?! Czy jest poważnie ranny? Nieprzytomny?
Kitty zerknęła na mój pierścionek zaręczynowy, a ja pożałowałam, że nie przyszło mi do głowy go zdjąć. Znów pojawiła się pielęgniarka, która przywitała nas chwilę wcześniej, i stanęła solidarnie obok Kitty. Co one przede mną ukrywały?
- Kitty - błagałam dalej - co się stało?
- Przykro mi, Anne - powiedziała nieustępliwie. - Sprawa niestety wygląda tak, że Westry nie chce cię widzieć.
Pokój zawirował, a ja chwyciłam Mary za ramię, żeby się nie przewrócić. Mój Boże. Przyjechałam aż z Seattle i stoję kilka kroków od niego, a on nie chce mnie widzieć?
- Nie rozumiem - wyjąkałam, czując, jak ściska mi się żołądek. - Chcę tylko...
Kitty splotła dłonie i odwróciła się z powrotem w stronę pacjentów.
- Anne, naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała, odchodząc. - Życzę ci wszystkiego dobrego.
Odprowadziłam ją wzrokiem, kiedy wróciła do pokoju, skręciła w prawo i zniknęła za zasłoną.
- Chodźmy, Anne - szepnęła Mary, sięgając po moją rękę. -Przepraszam cię z całego serca, kochana. Popełniłam błąd, przyprowadzając cię tutaj. Powinnam była wyjaśnić...
- Wyjaśnić co? - krzyknęłam. - Że spotkanie z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam, uniemożliwi mi... moja najlepsza przyjaciółka? - Słuchałam własnych słów niosących się echem zaskoczona ich szczerością. Gerardowi może i oddałam rękę, ale moje serce na zawsze należało do Westry'ego. Wyrwałam się z uścisku Mary.

- Nie - powiedziałam zdecydowanie.
Wyminęłam ją i weszłam do pokoju rannych. Odgłosy, których nie było słychać przy windzie, teraz rozlegały się głośniej: jęki, bełkot, płacz, śmiech. Tak szeroki wachlarz ludzkich emocji w jednym pomieszczeniu był prawie nie do wytrzymania.
Ruszyłam szybko między rzędami łóżek, przyglądając się każdej twarzy po kolei. Niektórzy żołnierze podnosili na mnie tęskne spojrzenia; inni gapili się tylko przed siebie. Gdzie on jest? Jeśli go znajdę, jeśli spojrzę mu w oczy, na pewno mu się odmieni. Przecież wciąż mnie kocha. Nie pozwolę Kitty nas rozdzielić. Nie pozwolę jej mówić w jego imieniu. Serce biło mi mocno, kiedy kręciłam się między mężczyznami, modląc się, żeby za następnym zakrętem zobaczyć znajome orzechowe oczy, które usidliły moje serce na wyspie.
Jednak choć długą chwilę później zdążyłam już przeszukać wszystkie rzędy, wciąż nie znalazłam Westry'ego. Gorączkowo rozglądałam się po całym piętrze; w pewnej chwili przypomniało mi się, że Kitty zniknęła w oddzielonej zasłonami części sali, widocznej w oddali. Może tam leżał? Ściskając medalion, przeciełam pokój i zatrzymałam się przed zasłoną w szaro-białe pasy. Czy ten kawałek materiału mógł być ostatnią granicą między mną a Westrym?
Trzęsącymi się rękami odchyliłam skraj zasłony, tylko na tyle, żeby za nią zajrzeć. Znajdowały się tam cztery szpitalne łóżka zajęte przez żołnierzy. Aż się zachłysnęłam, kiedy rozpoznałam mężczyznę leżącego najdalej ode mnie.
Westry.
Nogi się pode mną ugięły, kiedy zobaczyłam jego twarz -szczuplejszą, z cieniem zarostu na podbródku, ale wciąż równie przystojną, tak idealną jak jej obraz w moim sercu. Odciągnęłam zasłonę nieco bardziej, ale zatrzymałam się błyskawicznie, kiedy tylko zobaczyłam, że do jego łóżka podchodzi Kitty.

Przysunęła sobie krzesło i wilgotną myjką obmyła jego twarz lekkim, pełnym miłości gestem, a potem pogładziła jego czoło. Podniósł na nią oczy z uśmiechem, na widok którego zapłonęły mi policzki. Poczułam, że ktoś obejmuje mnie w talii i usłyszałam głos Mary.
- Anne - powiedziała - nie rób sobie takiej krzywdy. Pozwól mu odejść.
Pokręciłam głową.
- Ale Westry, mój Westry! - zawołałam, puszczając zasłonę i wtulając twarz w ramię Mary. - Jak ona mogła? Jak ona mogła, Mary?
Mary uniosła mój podbródek i osuszyła mi policzki różową chustką.
- Tak mi przykro, skarbie - powiedziała. - Chodźmy. Poszłam za nią do windy, przy której zatrzymałam się i sięgnęłam do torebki po kawałek papieru i pióro.
Mary wyglądała na zmieszaną, kiedy usiadłam na ławce.
- Co robisz?
Chwilę później wstałam i podałam jej złożony papier.
- Dasz to Westry'emu jutro, kiedy już wyjadę? Mary wzięła karteczkę i spojrzała na nią sceptycznie.
- Kitty przechwyci każdy list, który spróbuję tu przysłać -ciągnęłam. - W tobie jedyna moja nadzieja.
Mary wciąż przyglądała się z rezerwą notce.
- Jesteś pewna, że chcesz mu coś jeszcze powiedzieć? Kiwnęłam głową.
- Musi to przeczytać.
- Dopilnuję zatem, żeby to dostał - powiedziała, ale słyszałam w jej głosie napięcie, które mnie zmartwiło. - Pracuję jutro na ranną zmianę. Mogę spróbować mu to dać wtedy.
- Obiecujesz? - zapytałam, wypatrując na jej twarzy czegokolwiek, co by mnie uspokoiło.

- Tak - odparła cicho, pełnym znużenia głosem. - Zrobię, co w mojej mocy.
Po powrocie do Seattle nie przestałam myśleć o Westrym. Od tamtego ponurego dnia w Paryżu minął ponad miesiąc, ale nawet mimo zwyczajowych zajęć w domu, które pozwalały mi się rozproszyć, i ślubu za ledwie kilka tygodni, nie potrafiłam usunąć go z głowy ani z serca. Wzdrygałam się za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, i co rano siedziałam przy oknie, wyczekując poczty. Po przeczytaniu notki, którą doręczyła Mary, na pewno napisałby albo zadzwonił? Dlaczego nie napisał?
Wtedy to, pewnego spokojnego wtorkowego ranka, kiedy szykowałyśmy się z Maxine na wizytę w mieście, zadzwonił dzwonek u drzwi. Upuściłam torebkę, a moja pomadka upadła na ziemię i wtoczyła się pod sofę.
- Otworzę - zawołałam do Maxine. Za drzwiami stał listonosz.
- Dzień dobry pani - powiedział. - Panna Calloway?
- Tak, to ja.
Podał mi małą kopertę.
- Telegraf dla panienki - powiedział, szczerząc zęby. - Z Paryża. Proszę o podpis tutaj.
Kamień spadł mi z serca. Nabazgrałam swój podpis na bloczku i pobiegłam na górę, do sypialni. Zamknięta bezpiecznie za drzwiami, rozerwałam kopertę. W środku leżała żółta kartka z pięcioma linijkami tekstu napisanego na maszynie. Podniosłam ją do światła i nabrałam głęboko powietrza.
Wróciłam z wycieczki wcześniej STOP Mary nie żyje STOP
Powiesiła się rankiem 18 września STOP

Edward nieodwracalnie złamał jej serce STOP Pozdrowienia i życzenia wszystkiego dobrego z Europy, Stella STOP
Długo patrzyłam na kartkę, pozwalając słowom do mnie dotrzeć, aż mgła szoku się rozwiała.
- Nie! - krzyknęłam. Nie Mary. Nie ty, Mary. Pamiętałam smutek, wahanie w jej oczach. Cierpienia, które zniosła, nie powinny przydarzyć się żadnej kobiecie, ale żeby zakończyć sprawy w taki sposób? Jak mogła? Łzy pociekły mi policzkach, zmięłam kartkę i rzuciłam ją na podłogę.
Chwilę później serce załomotało mi mocniej. Dobry Boże, kiedy się powiesiła według Stelli? Podniosłam skrawek papieru. Osiemnastego września. Nie. Nie, to niemożliwe.
Wbiłam w ścianę pełne przerażenia spojrzenie. Mary w ogóle nie dotarła na swoją zmianę dzień po tym, jak odwiedziłyśmy szpital. Zmarła, zanim mogła dostarczyć moją wiadomość Westryemu.
❖ ❖ ❖
- Jesteś gotowa? - Dwa tygodnie później, rankiem w dniu naszego ślubu, Gerard stanął w drzwiach. Lekceważąc nakazy tradycji, uparł się, że odbierze mnie i zawiezie do kościoła na ceremonię, ponieważ być może martwił się, że w przeciwnym razie się nie pojawię.
Spojrzałam na niego. Wyglądał niezwykle elegancko w smokingu, z idealną białą różą wpiętą w klapę. W myślach rozbrzmiały mi słowa matki: „Kiedy będziesz wychodzić za mąż, upewnij się, czy on cię naprawdę, naprawdę kocha".
Pomyślałam o Westrym i Kitty w paryskim szpitalu. Jakże byłam naiwna, zakładając, że poczeka na mnie, że wciąż mnie kocha. Jakie to teraz ma znaczenie, czy dostał kartkę ode mnie, czy

nie? Poczułam przypływ uznania dla Gerarda. Kochał mnie. Zawsze będzie mnie kochał. To wystarczy na resztę życia.
- Tak - powiedziałam, przełykając krzywdę i ból, odpędzając duchy przeszłości. Wzięłam go za rękę.
- Jestem gotowa.
Kiedy wstałam, złoty medalion zakołysał się na łańcuszku, po czym znów spoczął na moim sercu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Iwzięłaś ślub z dziadkiem - głos Jennifer sprowadził mnie z powrotem do chwili obecnej. Słońce zdążyło zajść, zostawiając nad horyzontem tylko smugę różu.

Uśmiechnęłam się, ocierając łzę chusteczką.

- Oczywiście, że wyszłam za dziadka. I czyż nie jest to powód do radości? W końcu w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

Jennifer nie wyglądała na usatysfakcjonowaną tą odpowiedzią.

- Czyli zawdzięczam swoje istnienie twojemu złamanemu sercu?

- Bzdury - odparłam uspokajająco. - Kochałam twojego dziadka.

- Ale nie tak samo, jak kochałaś Westryego. Kiwnęłam głową.

- Nauczyłam się w życiu, że istnieje wiele rodzajów miłości. Pomyślałam o Gerardzie, silnym, niezawodnym Gerardzie.

Tęskniłam za tym, jak tulił mój policzek albo witał mnie rano gazetą i jajkiem w koszulce na złotobrązowej grzance. Poświęcił mi całe życie, chętnie oddał mi całe swoje serce, podczas gdy ja otworzyłam przed nim tylko część mojego. Był w nim

bowiem zamknięty pokój, w którym palił się płomień miłości do kogoś innego.
- Och, babciu - Jennifer położyła mi głowę na ramieniu. -Dlaczego nie opowiedziałaś mi tej historii wcześniej? Jak samotnie musiałaś się czuć, zachowując ją przez te wszystkie lata dla siebie.
Poklepałam medalion.
- Nie, skarbie - powiedziałam. - Nigdy nie byłam sama. Widzisz, kiedy łączy cię z kimś miłość, nawet tylko przez jakiś czas, ona już na zawsze zostaje w twoim sercu. - Otworzyłam zapięcie i pozwoliłam maleńkiemu kawałkowi drewna z podłogi bungalowu wypaść na dłoń. Jennifer nachyliła się nad nim z zachwytem. - Nie - powtórzyłam. - Nigdy nie byłam sama.
Jennifer zmarszczyła brwi.
- A co z Kitty? Co z Westrym? Nigdy nie próbowałaś ich odnaleźć?
- Nie - odparłam. - W dniu, w którym wyszłam za twojego dziadka, obiecałam sobie zostawić ich oboje za sobą. Musiałam to zrobić. To było sprawiedliwe wobec niego.
- Co z bungalowem, z obrazem? Co z obietnicą, którą złożyłaś Ticie? Pamiętasz, co mówiła o domaganiu się sprawiedliwości?
Poczułam, jak wzbiera we mnie dogłębne znużenie.
- Nie zapomniałam - powiedziałam szczerze.
- Jadę z tobą - oznajmiła Jennifer, kiwając głową z determinacją.
- Jedziesz ze mną?
- Na Bora-Bora. Uśmiechnęłam się.
- Och, skarbie, jesteś kochana, ale naprawdę nie wydaje mi się...
- Tak - przerwała mi, ignorując moje obawy. W jej oczach lśniła dzika ekscytacja. - Pojedziemy razem.

Pokręciłam głową. Ponowne opowiedzenie mojej historii otworzyło na nowo stare rany, które znów bolały, tak bardzo jak w dniu, kiedy je zadano.
- Chyba nie byłabym w stanie. Jennifer spojrzała mi głęboko w oczy.
- Nie rozumiesz, babciu? Nie widzisz tego? Musisz pojechać.
***
Samolot obniżył tor lotu nad wyspami Polinezji, trzęsąc się i trzeszcząc.
- Napotkaliśmy nieco większe turbulencje niż zazwyczaj, moi drodzy - zaszczebiotał przez interkom steward z australijskim akcentem. - Trzymajcie się mocno. Kapitan wyląduje bezpiecznie już za chwileczkę.
Zacisnęłam powieki, przypominając sobie, jak wiele lat wcześniej przyleciałam na Bora-Bora z Kitty u boku, w kabinie pełnej podekscytowanych pielęgniarek, które z zapartym tchem słuchały starej siostry Hildebrand ostrzegającej nas przed wyspą pełną niebezpieczeństw. Westchnęłam na wspomnienie tego, jak Kitty lekko dotknęła mojego ramienia, dziękując mi za towarzyszenie jej i obiecując, że tego nie pożałuję. Czy cofnęłabym to wszystko, gdybym mogła?
Samolotem zarzuciło gwałtownie, a Jennifer odwróciła się w moją stronę.
- Nie martw się, babciu - powiedziała z czułością. Mocno ścisnęłam jej dłoń i rozejrzałam się po kabinie pełnej
młodych par, najpewniej nowożeńców. Mężczyzna siedzący po prawej łagodnie pogładził włosy swojej wybranki i pocałował jej rękę, gdy oboje patrzyli przez okno na wyspę poniżej. Nie mogłam powstrzymać zazdrości. Jakież mają szczęście, że odkryli wyspę w ten sposób, bez komplikacji związanych z wojną czy historią. Zapragnęłam znów mieć dwadzieścia jeden lat, zacząć wszystko od nowa z Westrym u boku.

- Gotowa? - zapytała Jennifer, wyrywając mnie z zamyślenia.
Samolot zdążył wylądować. Wstałam szybko i poszłam za wnuczką w stronę otwartych drzwi; inni pasażerowie już schodzili po schodach.
Stewardesa przypięła mi do bluzki fioletową orchideę o tak nasyconej barwie, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie pomalowano jej farbą w sprayu.
- Witamy na Bora-Bora, proszę pani - powiedziała. - Zakocha się pani w tej wyspie.
- Zawsze kochałam tę wyspę - odparłam z uśmiechem, nabierając do płuc ciepłe, wilgotne powietrze.
Tętniące życiem lotnisko zajęło miejsce pojedynczego pasa startowego sprzed siedemdziesięciu lat. Szmaragdowe zbocze wzgórza było teraz usiane domami. Wszystko się zmieniło, a jednak w powietrzu wciąż unosił się znajomy kwiatowy zapach, a turkusowa woda lśniła w oddali, wzywając mnie na brzeg. Wtedy zrozumiałam: moje serce wróciło do domu.
- Weź mnie za rękę, babciu - powiedziała Jennifer, chcąc mnie podtrzymać.
Pokręciłam głową: od lat nie czułam się tak silnie i pewnie.
- Dam sobie radę - odparłam, schodząc po schodach. „Tak -pomyślałam - dam radę".
❖ ❖❖
Busik zawiózł nas do hotelu Outrigger Suites, odległego od lotniska ledwie o niecałe dwa kilometry. Jennifer wsunęła kartę w czytnik na drzwiach i postawiłyśmy torby na podłodze klimatyzowanego pokoju.
- Spójrz na ten widok! - zawołała Jennifer, wskazując okno.
Drzwi balkonowe obramowały przepiękną panoramę piasku i fal. Coś znajomego przyciągnęło moją uwagę.

- Mój Boże - podeszłam bliżej. - Ten kształt wybrzeża... To niebywałe.
- Co takiego? - zapytała Jennifer, stając u mojego boku. -Co widzisz?
- No cóż, mogę się mylić, ale myślę, że ten hotel zbudowano na terenie starej bazy! Znam tę plażę, ten cypel. Tę rafę pod mieniącą się wodą. - Pokręciłam głową, spodziewając się, że zaraz zobaczę, jak siostra Hildebrand, Kitty albo nawet Westry idzie w moją stronę od morza. Westchnęłam. - Ponowna wizyta tutaj to... - Otworzyłam drzwi i wyszłam na balkon.
Jennifer nie podążyła za mną.
- Nie spiesz się, babciu - powiedziała cicho. - Będę w środku. Usiadłam w wiklinowym fotelu na balkonie i pozwoliłam
znajomym falom zahipnotyzować mój umysł i serce.
Wróciłam do pokoju godzinę później; Jennifer spała na jednym z łóżek. Wyjęłam koc z szafy w przedpokoju i przykryłam ją nim delikatnie, a potem sięgnęłam po notatnik i długopis leżące na stoliku. Wiedziałam, dokąd muszę iść.
Kochanie,
idę na spacer. Nie chciałam cię budzić. Wrócę przed kolacją.
Babcia
Sięgnęłam po słomkowy kapelusz i wyszłam przed hotel. Minęłam basen, nad którym opalały się w gorącym słońcu kobiety w bikini, i bar na plaży, gdzie pary sączyły owocowe koktajle, po czym w końcu dotarłam do wybrzeża. Poza tym że na skraju piasku zbudowano kilka domów, było ono tak ciche i nienaruszone jak wtedy, kiedy opuszczałam wyspę.

Natychmiast odniosłam wrażenie, że znów mam dwadzieścia jeden lat i w stroju pielęgniarki wymykam się na plażę po długiej zmianie w szpitalu, oglądając się za siebie, aby upewnić się, czy nikt za mną nie idzie, a moje serce wali z wyczekiwaniem na myśl o spotkaniu z nim.
Brnęłam przed siebie. Piasek wydawał mi się teraz cięższy. Otarłam kroplę potu z czoła i nasunęłam niżej kapelusz, chroniąc swoją pomarszczoną twarz przed bezlitosnymi promieniami słońca.
Przesuwałam wzrokiem po linii palm. Gdzie on jest? Z pewnością jeszcze tylko kilka kroków.
Ptaki śpiewały nade mną, a ja szłam dalej, co chwilę uważnie przyglądając się zaroślom. Musi tu być. Gdzieś tutaj.
Dwadzieścia minut później zatrzymałam się, zdyszana, i usiadłam w zacienionym miejscu na piasku, a głębokie westchnienie wyrwało mi się spod serca. Oczywiście, że bungalowu już nie ma. Jak mogłam być tak głupia, żeby myśleć, że wciąż będzie tu na mnie czekał?
- Przepraszam panią?
Podniosłam wzrok, kiedy usłyszałam skierowany do mnie męski głos.
- Dobrze się pani czuje?
Zbliżał się do mnie mężczyzna po sześćdziesiątce, niewiele starszy od mojego najstarszego syna, z kobietą w podobnym wieku. Miała na sobie niebieską letnią sukienkę, a ciemne włosy spięła luźno klamrą.
- Ależ tak - odparłam, zbierając się w sobie.
- Jestem Greg, a to moja żona Loraine - powiedział. - Mieszkamy niedaleko, na wzgórzu.
- Nazywam się Anne, Anne Cali... - urwałam, dziwiąc się tej pomyłce. Przez większość życia byłam Anne Godfrey, a jednak miałam wrażenie, że na wyspie to nazwisko brzmi niewłaściwie. - Anne Calloway.
Loraine zerknęła na męża, a potem spojrzała znów na mnie.
- Anne Calloway?

- Tak - byłam zdumiona, że wypowiedziała moje nazwisko
tak, jakby je rozpoznała. - Przepraszam, czy my się znamy?
Kobieta pokręciła głową, a potem rzuciła mężowi oniemiałe spojrzenie.
- Nie - powiedziała i klęknęła obok mnie. - Ale od bardzo dawna chcieliśmy panią poznać.
- Nie rozumiem - przyznałam, uważnie przyglądając sie jej twarzy. Y
- Nie wierzę własnym oczom - nie mogła się nadziwić Lo-raine. Pokręciła głową, patrząc na Grega, po czym znów spojrzała na mnie. - Mieszkała pani na tej wyspie podczas wojny, prawda?
Kiwnęłam głową.
- Niedaleko stąd znajduje się stary bungalow - ciągnęła ostrożnym tonem. - Widziała go pani, czyż nie?
- Tak - odparłam. - Ale skąd pani to wie? Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie mężowi.
- Zawsze mówił, że pani przyjedzie -Kto?
- Pan Green - odpowiedziała.
Pokręciłam głową, czując, że moje serce bije szybciej. Splotłam dłonie na kolanach.
- Nie rozumiem. Wiecie o bungalowie? I - przełknęłam z trudem ślinę - o Westrym?
Kobieta przytaknęła, a jej mąż wstał i wskazał palcem odcinek plaży, który już minęłam.
- Jest niedaleko w tamtą stronę, koło naszego domu - powiedział. - Zarośla są znacznie bujniejsze niż za pani czasów. Musiała go pani przeoczyć.
Podniosłam się szybko. Nogi zdążyły mi zesztywnieć, co przypomniało mi, że nie mam już dwudziestu jeden lat.
- Zaprowadzicie mnie tam?
- Tak - odparł z uśmiechem.

Przez kilka chwil szliśmy w milczeniu. Od czasu do czasu zerkali na mnie z troską, ale nie odwzajemniałam ich spojrzeń; zamiast tego pozwoliłam, aby szum fal uspokoił moje myśli. Czy chciałam poznać tajemnice na temat bungalowu i Westryego, których strzegli?
Greg zatrzymał się nagle i wskazał gęsto rosnące palmy.
- To tutaj, w głębi - oznajmił.
- Dziękuję - odparłam. Przedarłam się przez zarośla, aż dotarłam do małej polanki.
- Pani Calloway, proszę poczekać! - zawołał z plaży. Odwróciłam się w jego stronę.
- Powinna pani wiedzieć, że bungalow nie wygląda już tak jak kiedyś.
Kiwnęłam głową i poszłam dalej, przedzierając się przez silne pnącza, które blokowały mi drogę, jakby chciały owinąć się dookoła moich słabych ramion. Rozejrzałam się na wszystkie strony. Wtedy moją uwagę przyciągnął przerośnięty krzak hibiskusa. Jeszcze nie kwitł, ale spomiędzy liści wyglądały maleńkie żółte pączki. Serce zabiło mi mocniej. Na pewno już niedaleko.
Odsunęłam kolejne pnącze i zobaczyłam go: wciąż stał, ale ledwo. Dach zapadł się w kilku miejscach. Wyplecione z liści ściany były poprzecierane - jednej w ogóle brakowało - a drzwi odpadły. Nabrałam głęboko tchu, wspominając, jak Westry i ja odkryliśmy tę małą chatkę tyle lat temu. Cóż za różnica. Stopień przed drzwiami się rozpadł, więc musiałam wspiąć się na wysokość prawie metra do wejścia, co w moim wieku nie było łatwe. Ramiona mnie zabolały, kiedy z trudem wciągnęłam się do środka, a odgłosy moich wysiłków spłoszyły ptaka, który zaskrzeczał i wyleciał szybko przez okno.
Wstałam, otrzepałam spodnie z kurzu i rozejrzałam się po wnętrzu oniemiała. Łóżko z pogniecioną narzutą, mahoniowe biurko i krzesło, uszyte przeze mnie zasłony - choć spadały już z haczyków, podniszczone - wszystko wciąż było na miejscu. Podniosłam wzrok na ścianę, na której wisiał niegdyś obraz.

Czy będzie pod łóżkiem, wciąż owinięty w ten sam materiał, tak jak go zostawiliśmy?
Odetchnęłam głęboko i klęknęłam, po czym przesunęłam ręką pod łóżkiem. Wybiegła spod niego jaszczurka, a ja odskoczyłam. Chwilę później odzyskałam nad sobą panowanie i odsunęłam narzutę, żeby pod łóżkiem zrobiło się jaśniej. Nieco bliżej ściany leżał pusty kawałek materiału. Obrazu jednak tam nie było.
Wstałam i padłam na krzesło, czując w sercu ciężar siedemdziesięciu lat uczuć. Oczywiście, że go nie było. Jakaż byłam naiwna, sądząc, że wciąż tu leży.
Kiedy znów się podniosłam, deski zatrzeszczały pod moimi stopami, a ja uśmiechnęłam się na myśl o prowizorycznej skrzynce pocztowej, którą kiedyś mieliśmy tam z Westrym. Byłabym niemądra, gdybym spodziewała się, że czeka tam na mnie list. Mimo to kucnęłam i powstrzymując łzy, podnio-słam starą deskę uroczystym gestem, po czym zajrzałam w głąb ciemnej, niewielkiej przestrzeni. Wsunęłam tam dłoń i pogme-rałam w środku, aż moje palce natrafiły na coś dość twardego i gładkiego.
Książka. Nie, jakiś notatnik. Wyciągnęłam oprawny w skórę brulion, a kiedy odchyliłam okładkę, znad kartek uniósł się nagromadzony przez lata kurz.
Robiło się coraz ciemniej: wiedziałam, że wkrótce zajdzie słońce. Otworzyłam notes na pierwszej stronie i mrużąc oczy, odczytałam zapisane na niej słowa.
Listy do Anne od Westryego
Mój Boże. Wrócił, tak jak obiecywał.
Niezgrabnie przewróciłam stronę, nie mogąc się doczekać, aby przeczytać następne słowa i się nimi nacieszyć, kiedy usłyszałam głos z zewnątrz.
- Pani Calloway?

Głos Grega rozległ się sprzed domku. Niechętnie zamknęłam notatnik i włożyłam go do torby.
- Tak, jestem tutaj - powiedziałam i się podniosłam. Stanęłam w drzwiach i zobaczyłam, że Greg oraz jego żona
właśnie nadchodzą.
- Och, to dobrze - powiedział. - Nie chcieliśmy zostawić pani całkiem samej na zbyt długo. Pomogę pani zejść.
Uniósł silne ramiona, objął mnie delikatnie w talii i postawił na ziemi.
Loraine spojrzała najpierw na bungalow, a potem na mnie.
- Czy znalazła tam pani to, czego szukała? Obejrzałam się na chatkę.
- Nie - odparłam - ale znalazłam coś innego, coś lepszego. Uśmiechnęła się lekko, jakby wiedziała o tym miejscu
i o mojej historii więcej niż ja.
- Czy miałaby pani ochotę wstąpić do nas na herbatę? Nasz dom jest bardzo niedaleko stąd, przy plaży.
- Dziękuję. Bardzo chętnie - odparłam, kiwając głową.
♦ ♦ ♦
Loraine nalała mi czarnej herbaty z niebiesko-białego imbryka. - Z mlekiem i cukrem?
- Tak, dziękuję - odparłam.
Ich dom był staromodny i prosty: dwie sypialnie i spory taras w pobliżu plaży. Pasował do nich.
- Mieszkamy tutaj od trzydziestu pięciu lat - powiedział Greg. - Wcześniej pracowaliśmy w Nowym Jorku, ale kiedy w późnych latach sześćdziesiątych przyjechaliśmy tu na wycieczkę, wiedzieliśmy, że nie możemy wrócić do życia w mieście.
- No i zostaliśmy - dopowiedziała Loraine. - Otworzyliśmy restaurację kilka kilometrów stąd.
Oczywiście zazdrościłam im. Takie życie mogłam była prowadzić z Westrym, takiego życia w głębi serca pragnęłam.

Upiłam łyk herbaty i odstawiłam białą filiżankę na spodek.
- Wspomnieliście, że znacie Westryego - powiedziałam cicho, obawiając się, gdzie zaprowadzi mnie to zdanie.
Greg zerknął na Loraine, a potem spojrzał znów na mnie.
- Tak - odparł. - Znaliśmy go przez wiele lat. Mój Boże. Użył czasu przeszłego.
- Znaliście...? - zapytałam.
- Tak - ciągnęła Loraine. - Przyjeżdżał tu co roku. Nazywał to swoją coroczną pielgrzymką.
- Pielgrzymką?
- Pielgrzymował w nadziei, że odnajdzie panią - odparł z uśmiechem Greg.
Przyglądałam się mleku w mojej herbacie; wirowało chaotycznie, a ja czułam się podobnie.
Pozwoliłam słowom Grega do mnie dotrzeć, a potem pokręciłam głową: przypomniałam sobie Kitty i to, jak tamtego dnia zostawiłam Westryego w paryskim szpitalu.
-Nie rozumiem - powiedziałam, próbując pogodzić historię, którą uważałam za prawdziwą, z historią opowiadaną przez nich.
Greg łyknął herbaty.
- Opowiedział nam o was - oznajmił. - O tym, jak zakochaliście się w sobie na tej wyspie podczas wojny, która was potem rozdzieliła.
- Ale dlaczego nie próbował odnaleźć mnie w Seattle? Dlaczego nigdy nie napisał?
- Uważał, że byłoby to nie na miejscu - wyjaśniła Loraine. -Wiedział, że ma tam pani swoje życie, rodzinę. A jednak w głębi serca wierzył, że może pani wróci, że któregoś dnia będzie pani czekać na niego w bungalowie, tak jak w jego wspomnieniach.
Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam brązowy skórzany notatnik. Trzymając go w rękach, miałam wrażenie, że aż pulsuje od uczuć.
- Znalazłam to - powiedziałam. - Listy, które do mnie pisał.

- Tak. Co roku zostawiał pani nowy. Zostawiał je w domku z nadzieją, że je pani odnajdzie. - Splotła dłonie i pokręciła głową nostalgicznie. - Jakież to było romantyczne! Greg i ja współczuliśmy mu: rok po roku odbywał podróż tak wyczerpującą dla człowieka w jego stanie. - Poklepała rękę męża czule. - To było wzruszające.
Wyprostowałam plecy.
- Co masz na myśli, mówiąc o jego stanie?
- Nie wie pani? - zapytał Greg, a jego oczy się zwęziły.
- O czym?
Loraine spojrzała na Grega z dezaprobatą, po czym nachyliła się do mnie, jakby miała wyjawić coś strasznego.
- Moja droga, pan Green poruszał się na wózku. Od czasu wojny był sparaliżowany.
Przyłożyłam dłoń do serca, jakby to mogło złagodzić jego ból. Sparaliżowany! Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie scenę w paryskim szpitalu, to, jak podnosił wzrok na Kitty z łóżka. Może nie chciał się ze mną zobaczyć nie z powodu kiełkującego związku z Kitty, ale z poczucia dumy?
- Wiem, że tego wszystkiego bardzo trudno się słucha -powiedziała Loraine. - Przepraszam, jeśli powiedzieliśmy za dużo... Po prostu przez wszystkie te lata obserwowaliśmy, jak toczyła się historia tego przemiłego człowieka, i mieliśmy nadzieję, że któregoś dnia będziemy świadkami jej zakończenia. Naprawdę wspaniale panią tu mieć, Anne. Ze względu na Westryego mieliśmy nadzieję, że pani przyjedzie, ale po tylu latach zaczęliśmy już wątpić.
Spojrzałam na notatnik, próbując to wszystko ogarnąć.
- A co z Westrym? Gdzie teraz jest?
- Nie wiemy - powiedziała Loraine ze strapionym wyrazem twarzy. - Przestał przyjeżdżać jakieś pięć lat temu. Strasznie się baliśmy, że...
Greg położył rękę na ramieniu Loraine, jakby chcąc ją uciszyć.

- Proszę przeczytać notatnik, który pani znalazła. Może znajdzie tam pani jakąś wskazówkę.
Wstałam.
- Dziękuję. Bardzo dziękuję za wszystko. Powinnam już wracać. Czeka na mnie wnuczka.
Loraine też się podniosła.
- Odprowadzimy panią do hotelu, pani Calloway. Pokręciłam głową.
- Nie trzeba, ale dziękuję.
Zeszłam po schodach na ścieżkę prowadzącą z powrotem na plażę. Zmusiłam obolałe nogi do jak najszybszego marszu po piasku, modląc się, aby nie było za późno.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Światło wczesnego poranka padało na balkon, gdzie umościłam się w wiklinowym fotelu. Jennifer poszła pobiegać, mówiąc, że wróci za godzinę. Otworzyłam notatnik Westryego, przewróciłam poplamioną od wody pierwszą stronę i przesunęłam wzrokiem po słowach zapisanych jego znajomym pismem:

23 sierpnia 1959

Najdroższa Cleo,

to pierwszy list, który piszę do Ciebie, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni na wyspie, tamtego dnia, gdy w oddali ryczały silniki samolotów mających zabrać Ciebie w jedno miejsce, a mnie w inne. Wracam do bungalowu tego dnia -dwudziestego trzeciego sierpnia, w rocznicę naszego pierwszego spotkania, które było tak dawno temu - z nadzieją, że odnajdę tu Ciebie albo jakiś ślad Ciebie, ponieważ minęło prawie dwadzieścia lat, a Ty wciąż jesteś w moich myślach i sercu. Będzie Ci miło wiedzieć, że ta stara chatka dobrze zniosła upływ lat. Wszystko wygląda tak jak wtedy. Zasłony wciąż kołyszą się na wietrze, fest biurko i krzesło. Łóżko. Wszystko poza Tobą.

Tak bardzo chciałbym, żebyś tu była, ukochana. Tak bardzo chciałbym móc wziąć Cię w ramiona, tak jak kiedyś. Wiem, że gdzieś tam jesteś, że masz swoje życie, i nie chcę tego życia zakłócać. Jednak moje serce tęskni za Tobą. Zawsze tak było. A zatem będę wracał tu co roku tego dnia, mając nadzieję, że nasze drogi znów się spotkają. Zostawię ten list tutaj, w naszej skrzynce. Będę niecierpliwie wyczekiwał Twojego listu - i Ciebie. Twój Grayson

Położyłam notatnik na kolanach, nie mogąc nadziwić się listowi, któremu trafienie w moje ręce zajęło jakieś pięćdziesiąt lat. Wciąż mnie kochał. Boże, on wciąż mnie kochał. Tak jak ja kochałam jego, jak kochałam go w pięćdziesiątym dziewiątym roku, jak teraz. A bungalow - napisał, że wygląda dokładnie tak jak wtedy. Dlaczego jednak nie wspomniał o obrazie? Przewróciłam stronę i czytałam dalej.

23 sierpnia 1960

Najdroższa Cleo,

przyznaję, że serce zabiło mi mocniej z wyczekiwania, kiedy otworzyłem skrzynkę i wyciągnąłem ten dziennik. Miałem nadzieję, że zobaczę wpis od Ciebie albo nawet że będziesz tu na mnie czekała. Ale przeczekałem już tyle lat, co znaczy jeszcze rok? Będę cierpliwy, obiecuję, ukochana.

Czas płynie, a ja mogę wszystko przemyśleć. Często zastanawiam się, dlaczego nie odpowiedziałaś na listy, które wysłałem ze szpitala w Paryżu, i dlaczego mnie tam nie odwiedziłaś. Kitty mówiła, że wyszłaś za mąż, ale nie uwierzyłem w to, w każdym razie nie na początku. Jak mogłaś wyjść za mąż po tym, jaka połączyła nas miłość?

W każdym razie już się z tym pogodziłem, choć wciąż mam nadzieję, że wrócisz, że znów będziemy razem. Wiem,

że życie musi toczyć się dalej, ale część mnie nie będzie żyła w pełni dopóty, dopóki się nie spotkamy. Do przyszłego roku, ukochana. Grayson
Zamknęłam dziennik zdecydowanym ruchem, zbyt poruszona, zbyt udręczona tym, jak potoczyła się ta opowieść, aby czytać dalej. Kitty okłamała mnie w szpitalu. Przechwytywała jego listy. Dlaczego to robiła? Czy gdybym dostała przesyłki Westryego, sprawy ułożyłyby się inaczej?
Odwróciłam się w stronę pokoju, kiedy usłyszałam, że Jennifer wróciła.
- Piękny poranek, babciu - powiedziała. - Powinnaś pójść na spacer.
Wstałam i włożyłam notatnik do walizki, po czym wyciągnęłam list od Genevieve Thorpe.
- Myślę, że trzeba do niej teraz zadzwonić - oznajmiłam. Od lat nie czułam się tak pewnie.
♦ ♦ ♦
Jennifer usiadła przy mnie na łóżku, kiedy wybierałam numer i słuchałam sygnału; jeden dzwonek, drugi, trzeci.
Odebrała jakaś kobieta, wypowiadając do słuchawki francuski zwrot, którego nie zrozumiałam.
- Halo, tu Anne Call... Anne Godfrey. Chciałabym rozmawiać z panią Genevieve Thorpe.
Kobieta przerzuciła się z idealnej francuszczyzny na świetny angielski.
- Dzień dobry, Anne, Genevieve przy telefonie.
- Jestem na miejscu - powiedziałam z wahaniem, którego się po sobie nie spodziewałam. - Jestem na Bora-Bora.
- O Boże! Co za wspaniała niespodzianka! Po wysłaniu listu nie byłam pewna, czy w ogóle mi odpowiesz, nie wspominając

nawet o osobistym spotkaniu. Czy byłoby możliwe, żebyśmy się zobaczyły, zanim wyjedziesz?
- Tak, po to przyjechałam.
- Czy jeszcze dziś byłoby za wcześnie?
- Nie - odparłam - to świetny pomysł. Zatrzymałyśmy się w Outrigger Suites. Miałabyś ochotę spotkać się z nami na drinka?
- Ogromną. Czekałam na tę wizytę wiele lat.
- Ja chyba też - powiedziałam. - Do zobaczenia wieczorem. Odłożyłam słuchawkę z nadzieją, że nie popełniłam błędu.
♦ ♦ ♦
- Stolik na dwie osoby? - zapytała hostessa, kiedy Jennifer i ja weszłyśmy do restauracji.
- Nie - odparłam - czekamy na kogoś jeszcze.
Właśnie wtedy siedząca przy barze kobieta wstała i pomachała nam. Była bardzo piękna i drobna, miała zarumienione policzki i jasnobrązowe kręcone włosy spięte złotą klamrą.
- Witajcie - powiedziała, idąc w naszą stronę. Nie wyglądała na wiele starszą od moich synów; mogła być po sześćdziesiątce. - Ty na pewno jesteś Anne.
- Tak - odparłam, ściskając jej dłoń i zastanawiając się, dlaczego ta kobieta wygląda znajomo. - A to moja wnuczka Jennifer.
- Miło was obie poznać - przywitała nas ciepło. - Jestem Genevieve.
- I ciebie miło poznać. Usiądziemy?
Genevieve miała ze sobą sporą płócienną torbę w granatowe pasy. Byłam ciekawa, co jest w środku.
- Z przyjemnością - odparła.
Hostessa zaprowadziła nas do stolika przy oknie. Kiedy pojawił się kelner, zamówiłam butelkę białego wina.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - Genevieve pokręciła głową z uśmiechem. - Robiłaś na mnie wrażenie mitycznej postaci. Choć twoje nazwisko widniało w rejestrze pielęgniarek w okresie wojny, i tak wydawałaś mi się nie do końca rzeczywista.
Przy stole zrobiło się cicho, kiedy kelnerka napełniała nasze kieliszki winem. Upiłam łyk, który rozgrzał mój przełyk.
- Rozumiem, że wiesz o bungalowie, który stoi niecały kilometr stąd - powiedziała, odwracając się do Jennifer. - To tylko mała chatka. Bardzo łatwo ją przegapić.
Kiwnęłam głową.
- Znam to miejsce.
- To zabawne - powiedziała, upijając łyk wina i rozsiadając się w fotelu z zamyśloną miną. - Miejscowi się do niego nie zbliżają. Mówią, że jest przeklęty. Unikałam go przez całe życie, szczególnie w dzieciństwie. Podczas pikniku z rodzicami na tej właśnie plaży natknęliśmy się na niego z bratem, ale żadne z nas nie miało odwagi wejść do środka. - Wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że w końcu jednak moja ciekawość zwyciężyła. Jakieś dwadzieścia pięć lat temu wspięłam się do środka przez jedno z okien, rozejrzałam po wnętrzu. I proszę, tydzień później dowiedziałam się, że mój mąż ma romans, a matka umiera na raka piersi.
- Tak mi przykro - powiedziała Jennifer, dolewając do wszystkich kieliszków wina.
- A zatem wierzysz w klątwę? - zapytałam.
Genevieve przez chwilę kołysała trzymanym w dłoni kieliszkiem.
- Nie wiem - odparła. - Po części tak, a po części uważam, że jest tam też wiele dobra. Czułam to, kiedy tam byłam. -Zmarszczyła nos. - Czy to w ogóle ma sens?
- Tak - powiedziałam. - Na przestrzeni czasu wyrobiłam sobie takie samo zdanie o tym miejscu. Bardzo często bywałam tam sama.
Sięgnęła do torby i wyciągnęła małą białą kopertę.

- Proszę - powiedziała z uśmiechem. - Znalazłam to na podłodze w rogu. Zdaje się, że należy do ciebie.
Z zapartym tchem uniosłam skrzydełko koperty. Włożyłam rękę do środka, a moje palce napotkały coś twardego i zimnego. Niebieskie klejnociki zalśniły w świetle zachodzącego słońca. Moja broszka, ta, którą dostałam od Kitty. Wydałam z siebie zduszony okrzyk, odczytując inskrypcję z tyłu, słowa zagubione w czasie. Oczy zaszły mi łzami i przez chwilę widziałam wszystko jak przez mgłę.
- Przez te wszystkie lata na wyspę musiały przyjechać dziesiątki kobiet o imieniu Anne - wykrztusiłam zdumiona. - Skąd wiedziałaś, że należała do mnie?
- Odrobiłam zadanie domowe - odparła z uśmiechem.
- A czy podczas odrabiania go - zerknęłam na Jennifer - natknęłaś się może na kogoś o imieniu Westry? Westry Green?
Genevieve kiwnęła głową.
- Tak, nawet znalazłam jego książkę w szufladzie biurka stojącego w bungalowie.
- Książkę?
- Tak - ciągnęła - jakąś starą powieść z lat trzydziestych. Na wewnętrznej stronie okładki napisane jest jego nazwisko.
Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak to Westry miał nadzieję zachować nasz związek z bungalowem w tajemnicy.
- Zajęło mi to mnóstwo czasu - mówiła dalej Genevieve -ale go odnalazłam. Rozmawialiśmy wiele lat temu, zanim jeszcze zajęłam się projektem, o którym pisałam w liście. Od tamtej pory próbowałam się z nim skontaktować, lecz bez powodzenia. - Westchnęła. - Zmienił numer telefonu i wygląda na to, że nikt nie wie, co się z nim stało.
Spuściłam wzrok, nerwowo składając beżową serwetkę na pół i znów na pół.
- Przepraszam - powiedziała Genevieve. - Nie chciałam sugerować, że on...

- Co powiedział? - wtrąciła się Jennifer, żeby rozluźnić atmosferę. - Kiedy rozmawialiście?
Genevieve uśmiechnęła się i spojrzała w sufit, jakby próbując przypomnieć sobie szczegóły.
- To była historia jak z kart powieści - odparła. - Powiedział, że kiedyś bardzo cię kochał i że nie przestał cię kochać.
- Dlaczego po prostu nie napisał ani nie zadzwonił? - pokręciłam głową.
Genevieve wzruszyła ramionami.
- Domyślam się, że miał swoje powody. Pan Green był ekscentryczny, ale zapewne wszyscy artyści tacy są.
Zmarszczyłam brwi.
- Artyści?
- Ależ tak - oznajmiła Genevieve. - Oczywiście nie widziałam żadnej z jego prac, ale wiem, że ma, a raczej miał, dość imponującą kolekcję swoich dzieł. Obrazy, rzeźby. Po wojnie studiował sztukę w Europie, a potem osiedlił się gdzieś na środkowym zachodzie Stanów, gdzie wykładał na uniwersytecie.
- Genevieve, powiedziałaś, że miał imponującą kolekcję. Co masz na myśli? - zapytałam.
- Rozdał ją całą różnym galeriom - odparła. - Pamiętam, jak mówił, że sztuką należy się dzielić, że trzeba ją oglądać, a nie chować.
- To pasuje do Westry ego, którego znałam - uśmiechnęłam się.
Jennifer odchrząknęła.
- Genevieve, wspominałaś, że Westry zajmował się rzeźbą - powiedziała, szukając na mojej twarzy aprobaty. - Wiesz może, w jakim materiale pracował? W glinie? A może brązie?
Wiedziałam, co chodzi jej po głowie. Wyspa miała to do siebie, że tworzyła prawie nierzeczywiste połączenia.
- Nie jestem pewna - odparła Genevieve, wzruszając ramionami. - Bardzo niewiele mówił o swojej pracy. Poza tym

mogę się całkowicie mylić. To było dawno, a moja pamięć zdążyła osłabnąć.
Jennifer i ja patrzyłyśmy, jak wyciąga z torby żółty notatnik i kładzie go na stole.
- Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zadała ci kilka pytań? - zapytała ostrożnie.
- Oczywiście, że nie - odparłam, prawą ręką przytrzymując szklankę z wodą, którą ściskałam w lewej. Bałam się, że zaraz mi wypadnie.
- Tak jak pisałam w liście, dawno temu zamordowano na tej wyspie młodą kobietę - zaczęła Genevieve. - Próbuję odtworzyć tę historię i sprawić, żeby sprawiedliwości stało się zadość.
Jennifer i ja wymieniłyśmy znaczące spojrzenia.
- Rozumiem, że pracowałaś tutaj jako pielęgniarka i że w nocy, kiedy nastąpiła ta tragedia, byłaś na przepustce. - Nachyliła się bliżej. - Anne, czy widziałaś albo słyszałaś cokolwiek znaczącego? Jakaś niebywała mgła tajemnicy spowija okoliczności tego morderstwa, jakby wyspa pochłonęła tę kobietę, nie pozostawiając żadnej wskazówki. Być może jesteś moją ostatnią nadzieją na sprawiedliwość.
- Tak - odparłam. - Wiem coś.
- Naprawdę? - Genevieve otworzyła notatnik.
Splotłam dłonie na podołku, myśląc o tym, jak Westry nalegał, żebyśmy utrzymali wszystko w sekrecie. Nawet po latach rozważań i powracania do tej historii raz za razem nigdy nie zrozumiałam jego intencji, nie pojęłam, kogo chronił. Może ujawnienie tajemnicy da mi dostęp do odpowiedzi, których tak mi brakowało.
- Atea - powiedziałam. - Miała na imię Atea. Genevieve wybałuszyła oczy.
- Tak - potwierdziła.
Jennifer ścisnęła moją dłoń pod stołem.
- Była piękną kobietą - ciągnęłam. - Znałam ją krótko, ale emanowała dobrocią właściwą tej wyspie.

Genevieve kiwnęła głową i odłożyła pióro.
- Wielu wyspiarzy nigdy nie pogodziło się z jej śmiercią -oznajmiła. - Nawet dziś ci, którzy pamiętają to wydarzenie, nazywają je wielkim złem, które splamiło ich wybrzeże. Dlatego właśnie podjęłam misję dojścia sprawiedliwości... dla niej, dla nich wszystkich.
- Mogę ci pomóc - powiedziałam. - Ale będę musiała zaprowadzić cię w jedno miejsce. Wiem o poszlace, która może ułatwić ci poszukiwania.
Moją uwagę przyciągnął widoczny za oknem zachód słońca w oranżach i purpurach.
- Dziś jest za późno. Czy możemy się spotkać jutro rano na wybrzeżu przed hotelem?
- Tak - Genevieve uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Mogę tam być o każdej porze.
- Może o dziewiątej trzydzieści?
- Wspaniale - odparła. - Nie mogę się doczekać.
Tego wieczora komórka Jennifer zadzwoniła w jej torebce, która leżała na balkonie; ja siedziałam obok, przyglądając się, jak fale delikatnie wtaczają się na brzeg. Morze lśniło w świetle wiszącego na niebie półksiężyca.
- Kochanie - zawołałam przez drzwi balkonowe - twój telefon dzwoni.
Wbiegła na taras w zielonej piżamie i zaczęła grzebać w torbie.
- Dziwne - powiedziała - nie sądziłam, że będę miała tu zasięg.
Odebrała telefon, a ja słuchałam nieuważnie jej części rozmowy.
- Halo? Żartujesz. - Słuchała przez całe wieki. - Ach. - Urwała, jakby coś ją zaniepokoiło, a potem się uśmiechnęła. - No

cóż, jestem bardzo wdzięczna. Dziękuję, dziękuję bardzo. Zadzwonię po powrocie do Seattle.
Rozłączyła się i usiadła w wiklinowym fotelu obok mojego.
- Dzwoniła kobieta z archiwum - stwierdziła oniemiała. -Znaleźli go. Znaleźli artystę.
Zamrugałam mocno oczami, przypominając sobie jej wcześniejszą wymianę zdań z Genevieve. Czy to możliwe?
- To nie... To on? - Nie miałam zamiaru się do tego przyznać, ale wyobraźnia Jennifer rozbudziła we mnie nadzieję.
- Przykro mi, babciu - powiedziała. - Nie, to nie Westry. Kiwnęłam głową.
- Oczywiście. - Poczułam, że dopatrywanie się związku między tymi dwiema opowieściami było dziecinne.
Wbiła wzrok w przelatującego nad nami ptaka i patrzyła na niego, dopóki nie zniknął.
- Artysta zmarł cztery lata temu - ciągnęła.
- Szkoda, kochanie - powiedziałam, poklepując ją po dłoni.
- Nie szkodzi - zmusiła się do uśmiechu. - Przynajmniej tajemnica została rozwiązana... po części. Teraz, kiedy już wiem, kim był, może uda mi się porozmawiać z jego rodziną.
- Otóż to. Szkoda, że nie mamy butelki szampana.
- Dlaczego?
- Mogłybyśmy wznieść toast za tę okazję. Jennifer rzuciła mi nierozumiejące spojrzenie.
- Kochanie, w końcu znalazłaś tego faceta. Położyła głowę na moim ramieniu.
- A ty znajdziesz swojego - powiedziała. - Mam przeczucie, że wszystko to się ułoży.
- Może tak. - Miałam nadzieję, że nie słyszała powątpiewania w moim głosie, ponieważ serce podpowiadało mi, że się spóźniłam.

Następnego ranka po śniadaniu Genevieve, zgodnie z planem, przyszła na plażę.
- Dzień dobry - powiedziała, zbliżając się do nas z radosnym uśmiechem. Miała ze sobą plecak, a kręcone włosy wymykały się spod jej białego kapelusza.
- Bardzo dziękuję, że mogłyśmy się dziś znów spotkać - powiedziała, kiedy odeszłyśmy już spory kawałek od hotelu. - To, że jestem coraz bliżej odpowiedzi, jest niebywale ekscytujące.
- Mam nadzieję, że pomogę ci odnaleźć właściwe - powiedziałam cicho, szykując się na to, co mnie czekało. - Powiedz, co już wiesz o zbrodni.
- No cóż - odparła, poprawiając plecak - tylko to, co wiedzą wyspiarze albo w co wierzą: że mężczyzna, który popełnił morderstwo, odpowiadał za wiele ciąż, zarówno wyspiarek, jak i pewnej amerykańskiej pielęgniarki.
Kitty. Kiwnęłam głową.
- Nie widziałam go - mruknęłam, wlepiając wzrok w ciągnącą się przed nami łachę białego piasku. - Było zbyt ciemno. Ale to mógł być tylko Lance.
- Lance?
- Tak. Moja ówczesna najlepsza przyjaciółka się z nim spotykała. Zostawił ją w strasznych tarapatach... była w ciąży, samotna... i wrócił do gonienia za miejscowymi kobietami.
Genevieve zatrzymała się nagle i odwróciła w moją stronę.
- Anne, nie rozumiem. Jeśli wiedziałaś o tym wszystkim, dlaczego nikomu nie powiedziałaś? Dlaczego nie złożyłaś doniesienia?
Westchnęłam, splatając mocno palce.
- Wiem, jak to zabrzmi, ale to bardziej skomplikowane, niż się wydaje. - Do bungalowu było już blisko, więc wskazałam kłodę leżącą nieopodal brzegu. - Usiądźmy na chwilę. Powiem ci wszystko, co wiem.
Usiadłyśmy na pniu, który morze wyrzuciło na brzeg; był szary i gładki po latach walki z falami. Wskazałam za nas.

- To stamtąd patrzyłam, jak przyłożył nóż do jej szyi. Genevieve zakryła usta.
- Ukrywałam się w cieniu, dopóki nie odszedł, a potem podbiegłam do niej. Trzymałam ją w ramionach, gdy walczyła o życie, o oddech. - Pokręciłam głową. - Nie mogłam dla niej nic zrobić. Umierała. Chwilę później pojawił się Westry. Przypomnieliśmy sobie o zapasie morfiny w mojej torbie. Pielęgniarki zawsze nosiły ją w ekwipunku medycznym. Mogła zakończyć jej cierpienie, oboje to wiedzieliśmy. Z początku się opierałam, ale widząc, jak Atea próbuje oddychać, słysząc, jak krew bulgocze w jej płucach, zrozumiałam, że to jedyny sposób. Morfiny było aż nadto, żeby ukoić jej ból i zakończyć jej życie. Zmarła w moich ramionach.
Genevieve poklepała mnie po ręce.
- Postąpiłaś właściwie - powiedziała. - Każdy zrobiłby to samo na twoim miejscu.
Otarłam łzę.
- To samo powtarzałam sobie przez te wszystkie lata, ale w głębi serca wiedziałam, że mogłam zrobić więcej.
- Na przykład zgłosić tę zbrodnię? - zapytała Genevieve. -Tak.
- Powiedz, dlaczego tego nie zrobiłaś. Kiwnęłam głową.
- Ukrycie tego było pomysłem Westry'ego. Powiedział mi, że to dla naszego dobra, że zostalibyśmy obarczeni winą za morderstwo. Nie sądzę jednak, żeby to była prawdziwa przyczyna. Westry nigdy nie unikałby wymiaru sprawiedliwości bez ważnego powodu. - Przesunęłam wzrokiem po wybrzeżu, przypominając sobie, jak silny, jak pewny był tamtej nocy. Wiedział coś, czego ja nie wiedziałam. - Mówił o chronieniu kogoś. Obawiał się, że jeśli pójdziemy do władz bazy, stanie się coś strasznego. Zaufałam mu.
- Masz jakiekolwiek pojęcie, co mógł mieć na myśli?

- Żadnego - uniosłam ręce. - Wierz mi, rozmyślam o tej nocy od siedemdziesięciu lat i nie rozumiem jego przekonań ani trochę bardziej niż wtedy.
Genevieve westchnęła.
- Ale - ciągnęłam - jak wspominałam wczoraj, muszę ci coś pokazać... pewną poszlakę. Ukryłam ją tej samej nocy, mając nadzieję, że okaże się przydatna któregoś dnia, za wiele lat, kiedy będzie już można powiedzieć prawdę. Może ten czas właśnie nadszedł.
Wstałam, a Genevieve i Jennifer zrobiły to samo.
- Chciałabyś, żebym cię do niej zaprowadziła?
- Tak - odparła z przejęciem Genevieve.
Jennifer podtrzymywała mnie, kiedy przedzierałyśmy się przez zarośla i w głąb dżungli. „No proszę, włóczę się po dżungli w moim wieku". Ale wiek nie miał teraz znaczenia. Nie miało znaczenia nic poza prawdą, a ja zadecydowałam, że ją odnajdę.
Patrzyłam przed siebie, próbując zorientować się w otoczeniu.
- Tak - kiwnęłam głową. - To powinno być tam.
Oczywiście wszystko wyglądało inaczej, ale kiedy zobaczyłam w oddali potężną palmę, wiedziałam, że jesteśmy blisko. Wysunęłam się przed Jennifer oraz Genevieve i przyspieszyłam, aż dotarłam do podstawy starej palmy. Uklęknęłam i zatopiłam dłonie w wilgotnej ziemi, rozgrzebując ją tak szybko, jak potrafiłam. Musiał tu być.
- Mogę pomóc? - zapytała Genevieve, stając niepewnie nad górą ziemi, którą przerzuciłam gołymi rękami.
Pokręciłam głową.
- Za chwilę powinnam go znaleźć.
Moje dłonie i ramiona pokrywał brud. Dostał mi się też pod paznokcie; lata wcześniej może by mi to przeszkadzało, jednak teraz się tym nie przejęłam. Jeszcze nigdy nie byłam tak bliska odnalezienia sprawiedliwości. Czułam jej zapach, a chwilę później również jej kształt.

Moja ręka natknęła się na coś twardego dość głęboko pod powierzchnią, a ja zdwoiłam wysiłki, żeby to wyciągnąć. Zaczęłam sapać.
- Babciu, wszystko w porządku? - szepnęła Jennifer, klękając obok mnie.
- Tak - odparłam, podnosząc z dołka zawiniątko, które ukryłam tak dawno. Rozwinęłam materiał, który niegdyś stanowił część mojej sukienki, a teraz z powodu wilgoci i owadów zostały z niego tylko strzępy, i odsłoniłam nóż. - Narzędzie zbrodni - zwróciłam się do Genevieve. - Odszukałam je po tym, jak wrzucił je do dżungli, a potem zakopałam z nadzieją, że je odnajdę, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.
Genevieve wyciągnęła z plecaka foliową torebkę i ostrożnie wsunęła do niej nóż, niczym ekspert w dziedzinie medycyny sądowej. Potem podała mi wilgotną chusteczkę do wytarcia rąk.
- Nadeszła odpowiednia pora - powiedziała cicho. - Dziękuję.
- Nie dziękuj mi - odparłam z powagą. - Po prostu spraw, żeby prawo stanęło po stronie Atei. Zasługuje na to.
- Tak będzie - oznajmiła Genevieve, przyglądając się uważnie nożowi przez folię. - To, co na nim wygrawerowano, te numery, muszą coś znaczyć.
- Znaczą. Doprowadzą cię do Lancea.
- Dobrze - powiedziała, chowając nóż do torby. - Mogę to sprawdzić przy pomocy towarzystwa zajmującego się historią armii. Ma dokumenty dotyczące wszystkiego na temat wojny. W końcu dzięki temu cię odnalazłam.
Uśmiechnęłam się pod nosem, kiedy wracałyśmy w milczeniu na plażę. Dobrze było odsłonić prawdę: czułam się lżej.
Komórka Genevieve zadzwoniła w jej plecaku, więc Jennifer i ja odeszłyśmy na plażę. Zanurzyłam dłonie w słonej wodzie, aby oczyścić je z resztek brudu i zła, które przylegało do noża.
- Jestem z ciebie dumna, babciu - powiedziała Jennifer, klękając obok mnie. - To wymagało sporo odwagi.

- Dziękuję, kochanie - odparłam i wysuszyłam dłonie o spodnie. - Powinnam była to zrobić lata temu.
Wróciłyśmy bliżej zarośli, gdzie stała Genevieve, wciąż rozmawiając przez telefon.
- Tak, skarbie - mówiła właśnie. - Obiecuję, wrócę później
i będziemy mogły zjeść razem tę kolację, na którą jesteśmy umówione. - Przerwała na moment. - Też cię kocham, Adello.
Poczułam na ramionach gęsią skórkę. To imię. Nie słyszałam go od... Spojrzałam na Jennifer i widząc jej minę, pojęłam, że i ona połączyła fakty.
- Przepraszam - powiedziałam do Genevieve chwilę później. Hotel był już w zasięgu wzroku, a ja słyszałam pluski i śmiechy pływających, które niosły się po plaży. - Nie mogłam nie usłyszeć, jak wypowiadasz imię Adella.
- Och, tak, to moja córka.
- Piękne imię - powiedziałam. - Rzadko spotykane.
- To prawda - odparła. - Właściwie przez całe życie nie spotkałam innej Adelli. To moje drugie imię. Wiesz, byłam adoptowana i podobno tak nazwała mnie moja biologiczna matka.
Odwróciłam wzrok, nie mogąc ukryć emocji, które we mnie wezbrały.
- Moi rodzice uznali, że powinni je zachować - ciągnęła z zamyślonym wyrazem twarzy. - Kiedy sama urodziłam córkę, tylko to imię wydało mi się odpowiednie. Anne - dodała z troską - czy coś się stało?
- Nie - odpowiedziałam, powściągając uczucia - wszystko w porządku. Zastanawiałam się tylko, czy kiedykolwiek spotkałaś swoją biologiczną matkę albo próbowałaś ją odnaleźć.
- Wierz mi, próbowałam. Moi rodzice nie chcieli mi nic powiedzieć na jej temat. - Na moment pogrążyła się w myślach, a potem na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Pewna nauczycielka powiedziała mi kiedyś, że moja matka na pewno była Francuzką, ponieważ mam idealny francuski nos. Nigdy się jednak nie dowiem. Dokumenty na ten temat dawno zniszczono.

Stała przede mną córka Kitty. Dziecko, przy którego narodzinach pomogłam w bungalowie.
- No dobrze - oznajmiła Genevieve, klaszcząc w dłonie. Teraz, kiedy dopasowałam już elementy układanki, zauważyłam, że ma identyczne oczy jak Kitty w młodości. - Gadam o sobie i zmuszam cię do stania na słońcu. To był pełen emocji poranek. Powinnam pozwolić ci odpocząć. Może wpadnę jutro, kiedy będę miała jakieś wieści o numerach identyfikacyjnych na nożu? Powinnam coś wiedzieć już po południu.
- Byłoby wspaniale - powiedziałam. Kręciło mi się w głowie.
- Będziemy miały wiele do omówienia.
- To prawda - odparłam i założyłam jej za ucho zabłąkany loczek, jak mogłabym to zrobić, gdyby stała przede mną Kitty.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pójdę na chwilę na plażę - powiedziała następnego ranka Jennifer. Poczułam kokosowy zapach jej szamponu, kiedy nachyliła się do mnie. - Masz na coś ochotę? Rogalika? Kawę z mlekiem?

- Nie, dziękuję, kochanie - odparłam z uśmiechem. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, wyciągnęłam notatnik Westryego i wróciłam do lektury listów. Przerzucałam pożółkłe kartki, dowiadując się, jakie życie prowadził beze mnie; czytałam o miłości, którą wciąż do mnie żywił, która zdawała się rosnąć z każdym rokiem. Kiedy dotarłam do ostatniej strony z datą sprzed pięciu lat, aż zabolało mnie serce.

23 sierpnia 2006

Najdroższa Cleo,

znów tu jestem - kolejny rok, kolejny sierpień - już zbyt stary, żeby tu być, żeby tu być bez Ciebie. Ten rok nie był dla mnie dobry. Mam tylko nadzieję, że był lepszy dla Ciebie, gdziekolwiek jesteś. Pamiętasz tę piosenkę, którą słyszeliśmy w radiu tamtego wieczora w bungalowie, *La vie en rose*[7]. Były w niej takie słowa: „Duszę, serce daj mi swe, a na zawsze będę mieć życie na różowo". Zdaje się, że w moim życiu tak było, ponieważ

nawet bez Ciebie u boku, bez Twojego dotyku, zawsze miałem Cię przy sobie. Kiedyś dałaś mi swoje serce i duszę, a ja je na zawsze zachowałem.
Bez względu na to, czy jeszcze się kiedyś zobaczymy, tylko to ma znaczenie.
La vie en rose, najdroższa.
Twój na zawsze
Grayson
Genevieve pojawiła się w naszym hotelu o trzeciej po południu. Jennifer wpuściła ją do pokoju, a ona postawiła swoją torbę na biurku.
- Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam.
- Czego? - zapytałam z wyczekiwaniem. Genevieve usiadła na łóżku obok mnie.
- Sprawdziłam numery wygrawerowane na nożu. Anne, on nie należał do Lancea - powiedziała zadziwionym tonem.
- Mój Boże - pokręciłam głową. - A więc do kogo? Wyciągnęła notatnik z torby i otworzyła go na pierwszej
stronie.
- To cię może zaskoczyć i przestraszyć - ostrzegła. - Nóż wydano pułkownikowi Matthew Donahue, dowódcy bazy. To musi być jakaś pomyłka. - Spojrzała na mnie, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Wszystko mi się pomyliło.
- To nie pomyłka - odparłam, prostując plecy.
Obrazy z przeszłości przemknęły mi przez głowę: zobaczyłam Kitty płaczącą na łóżku; zrozpaczoną, zagubioną Ateę podczas nabożeństwa wigilijnego; zakrwawioną twarz Westryego w barakach żołnierzy. Oczywiście, że nie był to Lance. Teraz to zrozumiałam. Wszystkiemu winien był pułkownik.
Genevieve wyglądała na zmieszaną.

- Nikt nie uwierzy, że dowódca, i to szanowany, mógł dopuścić się tak brutalnej zbrodni. Jedynym sposobem, żeby się upewnić, żeby zdobyć ostateczne dowody, byłoby odnalezienie tej amerykańskiej pielęgniarki, z którą był związany, i porozmawianie z nią. Może to ona jest brakującym elementem układanki. Nóż jest za bardzo skorodowany, żeby zebrać z niego odciski palców, a wyspiarze, którzy jeszcze pamiętają tę sprawę, nic nie powiedzą. Wierz mi, próbowałam. - Wzruszyła ramionami zrezygnowana. - Jakie mamy szanse pogadać z tą pielęgniarką przez telefon? Raczej niewielkie, co?
- Może - powiedziałam cicho, rozważając słowa, które miałam właśnie wypowiedzieć. - Tak się składa, że znam tę kobietę.
Genevieve wytrzeszczyła oczy.
- Naprawdę?
- Tak. No cóż, znałam. To moja bardzo dawna przyjaciółka. Właściwie kiedyś najlepsza przyjaciółka. Przyjechałyśmy na wyspę razem. - Urwałam, przyglądając się jej twarzy, tak podobnej do twarzy Kitty. Czy okaże się, że już dla nich za późno?
- Jak się nazywa?
- Kitty. Kitty Morgan. - Westchnęłam. - Oczywiście nie wiem, co się z nią stało. Od tamtej pory nie rozmawiałyśmy... minęło bardzo dużo czasu.
Oczy Genevieve zalśniły.
- Kojarzę to imię. Kitty, tak. Zdaje się, że spisałam jej dane z rejestru dyżurów ze szpitala. Na którymś etapie odszukałam jej numer telefonu, ale nie dzwoniłam do niej; wtedy nie widziałam powodu, żeby to robić. - Przeszukała notatnik i zatrzymała się na jednej ze stron. - Tak, tu ją mam. Kitty Morgan Hampton. Mieszka teraz w Kalifornii... a przynajmniej mieszkała dwa lata temu. Anne, zadzwoniłabyś do niej?
Poczułam, że tracę siły. -Ja?
- Tak - odparła, patrząc na mnie z wyczekiwaniem.
- To twój projekt - zaprotestowałam. - To ty powinnaś zadzwonić.

Genevieve pokręciła głową.
- Bardziej prawdopodobne, że porozmawia z tobą niż z... nieznajomą.
Gdyby tylko wiedziała.
Pomyślałam o tym, jak chłodno Kitty zachowywała się wobec mnie podczas ostatniego miesiąca naszego pobytu na wyspie, jak postąpiła z Westrym - jak stanęła między nami, na zawsze zrywając nić naszej miłości. Nie, nie mogłam z nią rozmawiać.
Poczułam podbródek Jennifer na ramieniu.
- Czas zmienia ludzi - szepnęła. - Kiedyś ją kochałaś; nie chcesz poznać jej wersji tej opowieści?
Kochałam ją, to prawda. Może wciąż tak było. Nawet po wszystkich tych latach wspomnienie o niej wciąż mnie dotykało, wciąż mnie poruszało.
- No dobrze - ustąpiłam. - Zadzwonię.
Jennifer podała mi telefon, a ja z wahaniem wybrałam numer zapisany w notatniku Genevieve.
- Halo? - głos Kitty był teraz bardziej zachrypnięty, ale jego ton się nie zmienił. Zamarłam i nie potrafiłam z siebie nic wykrztusić. - Halo? - powtórzyła. - Jeśli to jakaś reklama...
- Kitty? - pisnęłam w końcu. -Tak?
- Kitty - mój głos się załamał, a łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. - Kitty, tu Anne.
- Anne?
- Tak! Anne Calloway. Godfrey.
- Mój Boże, Anne - powiedziała. - To naprawdę ty?
- Tak, naprawdę ja.
Jennifer podała mi chusteczkę, a ja wytarłam cicho nos. Usłyszałam, że na drugim końcu linii Kitty robi to samo.
- Anne, ja... ja... - urwała. - Nie wiem, od czego zacząć. Jak się masz?
- To dziwne. Nie jestem pewna, jak odpowiedzieć na to pytanie po tych wszystkich latach. Jak to wyrazić?

- No cóż - odezwała się cicho Kitty. Ten chłodny ton, który tak mną wstrząsnął w Paryżu, zdążył już zniknąć. Upływ lat zmiękczył jej głos, a może także serce. - Ja mogę zacząć od przeprosin.
- Kitty...
- Nie, pozwól mi dokończyć - przerwała mi. - Nie jest ze mną dobrze, Anne. Może nie będę już miała okazji ci tego powiedzieć, więc muszę powiedzieć to teraz. - Urwała, jakby zbierała myśli. - Powinnam była skontaktować się z tobą lata temu. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Wstyd mi.
- Och, Kitty - powiedziałam, kolejną chusteczką wycierając łzy.
- Żałuję tego, jak zachowywałam się na wyspie i w Paryżu -ciągnęła. - Po porodzie jakby zamarzłam. Wpadłam w jakąś ciemną otchłań, której nie rozumiałam. Teraz wiem, że to była depresja... moja córka mówi mi, że nazywa się to depresja poporodowa. Ale ja...
Spojrzałam na Genevieve, która przyglądała mi się bez słowa z krzesła ustawionego obok biurka. Była podobna do Kitty pod tak wieloma względami: piękna, pełna życia, impulsywna.
- Kitty, masz córkę?
- No tak, trzy... to znaczy cztery... - ucichła na moment. -Ucieszy cię wiadomość, że wyszłam za dobrego człowieka. To żołnierz piechoty morskiej, poznałam go po wojnie w Paryżu. Przeprowadziliśmy się do Kalifornii. Miałam udane życie. -Znów przerwała. - Czy twoje życie było udane, Anne? Często o tobie myślałam.
- Tak, było - odparłam cicho. - Pod prawie każdym względem. Kitty westchnęła.
- Anne, muszę ci coś powiedzieć. O Westrym.
Jak to możliwe, że jego imię wciąż wzbudzało we mnie takie emocje? Tyle bólu? Zacisnęłam powieki.
- W Paryżu mówił o tobie bez przerwy. Ciągle o ciebie pytał i miał nadzieję, że przyjedziesz.

- Przyjechałam. Na pewno pamiętasz - powiedziałam.
- Tak. - Słyszałam jej zażenowanie, czułam, jak emanuje z drugiego końca Pacyfiku. - Byłam zazdrosna o łączące was uczucie - przyznała.
- Więc przechwytywałaś jego listy do mnie? Nabrała gwałtownie powietrza.
- Wiesz o tym?
- Dowiedziałam się dopiero niedawno - odparłam.
- Anne, tak mi wstyd - powiedziała. Słychać było, że ma łzy w oczach. - I pomyśleć, że być może zmieniłam tym bieg twojego życia. Trudno mi znieść tę myśl.
Gniew, który wcześniej kotłował się w moim sercu, osłabł w mgnieniu oka.
- Wybaczam ci - powiedziałam. - Mówiłaś wcześniej o tym, że czasu jest coraz mniej... ja też to czuję.
- Wciąż mam swoją broszkę - oznajmiła po chwili milczenia. - Tę, którą sprezentowałam ci w klubie Cabana. Jest w mojej szkatułce na biżuterię. Anne, często na nią spoglądam i myślę o tobie.
Przywołałam w pamięci moment, kiedy dała mi błyskotkę jako obietnicę wiecznej przyjaźni. Zamknąwszy oczy, potrafiłam natychmiast wyobrazić sobie pudełeczko owinięte w szeleszczący błękitny papier i obwiązane złotą tasiemką. Wirował dookoła nas dym klubu Cabana. Gdyby tylko tej broszce udało się wzmocnić naszą więź... a może jej się to udało. Wyciągnęłam błyskotkę z kieszeni i obróciłam w dłoni, przyglądając się inskrypcji.
- Ja też wciąż mam swoją, Kitty - powiedziałam. - Trzymam ją właśnie w ręce.
- Tak bardzo chciałabym cię znów zobaczyć. Gdzie jesteś? W Seattle?
- Nie - odparłam. - Jestem na Bora-Bora.
- Na Bora-Bora?!
- Tak, jestem tu z kobietą zbierającą informacje na temat zbrodni, którą popełniono na wyspie, morderstwa.

Kitty nie odzywała się przez chwilę.
- Mówisz o Atei, prawda?
- Tak. Pamiętasz.
- Oczywiście, że pamiętam.
Postanowiłam nie pytać, skąd zna tę historię. To nie miało teraz znaczenia.
- Chciałam zadać ci kilka pytań, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałam ostrożnym tonem.
- Proszę bardzo.
- Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, kim był ojciec twojego dziecka - ciągnęłam. - Zawsze zakładałam, że był to Lance, ale mamy teraz dowody, które łączą morderstwo Atei i...
- Pułkownika?
- Tak. Wiesz o tym?
- Wiem - potwierdziła. - Westry też wiedział.
- Nie rozumiem.
- Westry chronił mnie, Anne - wyjaśniła - utrzymując wszystko w tajemnicy. Przed morderstwem dowiedział się o mojej sytuacji, nawet zanim ty wiedziałaś. Zobaczył mnie z nim na plaży i podsłuchał naszą rozmowę. Westry wiedział też, że pułkownik miał już na koncie podobne historie z wyspiarkami. Byłam uparta i naiwna. Westry ostrzegał mnie przed nim, ale nie chciałam go słuchać.
Przypomniałam sobie brutalne pobicie w barakach.
- Groził Westry emu, prawda?
- Tak - mówiła dalej Kitty. - Pułkownik ostrzegł go, że jeśli spróbuje interweniować albo piśnie choć słówko jego przełożonym na stałym lądzie, wyrządzi mi straszną krzywdę.
- Mój Boże, Kitty! - zawołałam. - A zatem milcząc o morderstwie Atei, Westry chronił ciebie?
- Tak - odparła. - Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że byłam w większym niebezpieczeństwie, niż zdawałam sobie z tego sprawę. Westry oszczędził mi tego wszystkiego.
Westchnęłam.

- I to dlatego zaczęłaś coś do niego czuć, prawda?
- Sądzę, że tak - powiedziała Kitty szczerze. - Po tym jak przez całe życie mężczyźni traktowali mnie tak okropnie, nadarzył się uczciwy człowiek, którego obchodziłam, który chciał mnie ochronić. A jednak zakochał się już w mojej najlepszej przyjaciółce.
Wyjrzałam przez okno na wybrzeże, wspominając, jak Kitty patrzyła na Westryego. Nie mogłam jej winić za to, że go pokochała.
- W każdym razie - ciągnęła - Atea została zamordowana, ponieważ zaszła w ciążę i nie miała zamiaru o tym milczeć, w odróżnieniu od pozostałych kobiet.
- Pozostałych kobiet?
- Tak, były co najmniej dwie inne. Jedna ledwo skończyła czternaście lat - po wyjawieniu tak straszliwej wieści Kitty milczała przez chwilę. - Powinnam była wyjawić te informacje dawno temu, ale musiałam zostawić to za sobą. A kiedy dowiedziałam się o jego śmierci, uznałam, że i tak będzie się smażył w piekle.
- Kiedy to było?
- W sześćdziesiątym trzecim - odparła. - Zmarł sam, na atak serca w pokoju hotelowym w San Francisco.
Wyprostowałam plecy i zerknęłam najpierw na Jennifer, a potem na Genevieve.
- To nie znaczy, że sprawiedliwości nie może stać się zadość -uznałam. - Otrzymał odznaczenia wojenne. Armia może mu je pośmiertnie odebrać. Dopilnuję tego.
Genevieve kiwnęła głową. Jak się poczuje, kiedy zda sobie sprawę, że człowiek w centrum tego całego zła był jej własnym ojcem? Nabrałam tchu, ponieważ moje następne słowa miały zmienić wszystko - dla nich obu.
- Kitty - powiedziałam, wzywając Genevieve gestem. -Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiała. Nazywa się Genevieve.

Myślę, że macie więcej wspólnego, niż mogłabyś się spodziewać. No cóż, chyba powinnyście porozmawiać.
Widać było, że Genevieve nie rozumie, o czym mówię, ale sięgnęła po telefon.
- Pani Hampton? - zapytała z uśmiechem.
Odeszłam od łóżka i pokiwałam palcem na Jennifer. Skinęła porozumiewawczo głową i cicho zamknęłyśmy za sobą drzwi.
- Możliwe, że to najlepsze, co mogło z tej całej sprawy wyniknąć - oświadczyła Jennifer z uśmiechem, kiedy znalazłyśmy się już w korytarzu.
Zeszłyśmy pod rękę po schodach do holu pod gołym niebem, gdzie usiadłyśmy, aby patrzeć, jak fale rozbijają się gwałtownie o brzeg, wypędzając zaskoczonych plażowiczów z przemoczonymi ręcznikami na wyższe fragmenty brzegu. Ten widok mnie zachwycił. Wyglądało to tak, jakby wyspa wiedziała, że sprawiedliwości stało się zadość, i oczyszczała swoje brzegi ze zła.
Przesunęłam palcem po łańcuszku medalionu, zastanawiając się, czy słowa Tity mogły być prawdą. Czy klątwa, o której mówiła, zostanie teraz złamana? Czas pokaże.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Telefon zadzwonił w salonie, a ja jęknęłam. Odebranie go oznaczałoby wstanie z łóżka i ból kości przy każdym kroku. Jednak nieustające dzwonienie zmusiło mnie do wykonania tego wysiłku. Pierwszy krok, drugi. Nogi mnie bolały, ale ruszały się posłusznie, i dotarłam do telefonu na czas, żeby go odebrać i rzucić do słuchawki zdyszane „Halo".

- Babciu, to ja - zaszczebiotała Jennifer. - Dziś wielki dzień. Od naszej wizyty na wyspie minęły ponad trzy miesiące.

Wycieczka ta była bardziej satysfakcjonująca, niż się spodziewałam, jednak nie byłam przygotowana na emocjonalne wyczerpanie, które nie chciało mnie opuścić po powrocie. Choć zaprowadziłam pokój w życiu Genevieve, Atei, Kitty, a może nawet całej wyspy, w moim sercu szalał huragan; mogłam szukać oparcia jedynie w szeptach o Westrym i notatniku pełnym starych listów.

- Babciu?

- Jestem, kochanie - odparłam do słuchawki. - Mam po prostu wrażenie, że nie jestem dziś sobą.

- Ale i tak przyjdziesz, prawda?

- Och, skarbie - powiedziałam, padając na sofę i przykrywając swoje lodowate stopy kocem. - Chyba nie jestem w stanie.

Jennifer milczała, a mnie zrobiło się bardzo przykro. Towarzyszyła mi podczas mojej podróży i trwała przy mnie z takim współczuciem... Jak mogę ją w taki dzień zostawić samą?
- Poradzisz sobie beze mnie, prawda, kochanie? - zapytałam, masując obolałe plecy.
Tydzień wcześniej Jennifer ukończyła artykuł, a o jej projekcie dowiedziała się miejscowa gazeta oraz specjaliści od promocji uniwersytetu.
- Och, babciu - odparła w końcu. - Wiem, że proszę o wiele, tym bardziej że nie czujesz się dobrze, ale byłabym zachwycona, gdybyś przyjechała. Przyjdzie tam tylu ludzi, a mnie trudno będzie stanąć przed nimi samej. Tak strasznie się denerwuję. Twoja obecność bardzo by mi pomogła. Mogę przyjechać po ciebie za godzinę. Zaparkujemy blisko, żebyś nie musiała dużo chodzić.
Zmusiłam się do wyprostowania nóg i wstania. Dam radę. Dla Jennifer.
- No dobrze - powiedziałam, nabierając tchu - w takim razie będę. Dla ciebie, kochanie.
- Dziękuję, babciu! - zawołała. - Przyjadę wkrótce.
Odłożyłam słuchawkę i sięgnęłam po list od Genevieve leżący na stoliku. Dostałam go poprzedniego dnia i przeczytałam kilkanaście razy.
Droga Anne,
chcę podziękować Ci, że przyjechałaś na Bora-Bora. Twoja wizyta była początkiem przemiany - dla wyspy, dla mnie, dla Atei. Mam nadzieję, że dla Ciebie też.
Piszę z dobrymi wiadomościami: skontaktowałam się z armią i przekazałam wszystkie szczegóły. Zgodzono się na wystosowanie aktu oskarżenia przeciwko pułkownikowi Donahue. Wszystko to jest dla mnie bardzo dziwne, biorąc pod uwagę mój związek z tym człowiekiem, ale nie powstrzymuje mnie to przed dążeniem do sprawiedliwości

w imieniu Atei, w imieniu mojej nienarodzonej siostry lub brata.
Choć armia nie może go pośmiertnie podać do sądu, mój pośrednik twierdzi, że współpracuje z urzędnikami z wyspy, aby zebrać wszystkie fakty dotyczące sprawy. Najprawdopodobniej zostaną mu odebrane wszystkie odznaczenia, przynajmniej w rejestrach wojskowych.
Miejscowi oficjele mówią o wzniesieniu w mieście pomnika upamiętniającego Ateę. Czyż to nie wspaniałe, Anne? Oczywiście byłoby cudownie, gdybyś przyjechała na ceremonię odsłonięcia, kiedy nadejdzie już ten czas. Bez Twojej odwagi nie doszłoby do tego.
Ach, byłabym zapomniała - w przyszłym miesiącu po raz pierwszy zobaczę się z Kitty. Zaprosiła mnie do Kalifornii. Jadę z Adellą. Mam ochotę się uszczypnąć, bo trudno mi uwierzyć, że to prawda. Ale tak jest - to cudowna prawda.
Zawsze będę myśleć o Tobie z serdecznością, sympatią i uznaniem.
Z pozdrowieniami Genevieve
Na kampusie panowała cisza, a moje obcasy stukały głośno po wyłożonej kostką ścieżce, lśniącej po niedawnym deszczu. W oddali zegar wybił południe.
- Jeszcze tylko trochę - powiedziała Jennifer, szukając na mojej twarzy śladów zmęczenia.
- Wszystko w porządku, kochanie - zapewniłam ją. Przyjemnie było czuć na twarzy chłodne jesienne powietrze. Dało mi niespodziewanie dużo energii. - Prowadź.
Przeszłyśmy aleją klonów o liściach zabarwionych oranżem i czerwienią. Niedaleko pysznił się majestatyczny budynek z cegły. Oczywiście natychmiast go rozpoznałam: Gerard uczył

tam bankowości po tym, jak przeszedł na emeryturę. Uwielbiałam spacerować z nim po kampusie, szczególnie jesienią.
- To tutaj - oświadczyła Jennifer i wzięła mnie pod ramię, kiedy zbliżyłyśmy się do wąskiej ścieżki zakręcającej dookoła porośniętego bluszczem budynku.
Przytrzymała gałąź drzewa, żebym nie musiała się pod nią schylać. Podczas wszystkich wizyt na kampusie z Gerardem nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby obejść ten budynek od tyłu. Ani razu.
- Oto ona - powiedziała, wskazując z dumą przed siebie.
Zmrużyłam oczy, żeby lepiej zobaczyć rzeźbę. Zrozumiałam, dlaczego tak zafascynowała Jennifer: opowiadała pewną historię. Podeszłam bliżej z zaciekawieniem i przyjrzałam się brązowej parze przycupniętej w prowizorycznym progu. „Dlaczego tak bije mi serce?" Mężczyzna patrzył na kobietę z tęsknotą, a ona spoglądała w dal.
- Jest piękna - powiedziałam, analizując szczegóły. Mężczyzna trzymał w rękach skrzynię z zamkiem, a u jego
stóp rozrzuconych było kilka przedmiotów: płótno malarskie, rozbita butelka i książka. Ręce zaczęły mi się trząść i kucnęłam. Wtedy moje serce już wiedziało.
Jennifer stanęła bez słowa kilka kroków za mną. Gdzie byli ci wszyscy ludzie, ta pompa, o której wspominała? Przesunęłam dłonią po krawędzi wykonanej z brązu książki leżącej u stóp mężczyzny - była zimna i mokra od deszczu - aż udało mi się chwycić róg jej okładki. Czy to możliwe? Uniosłam ciężką krawędź i zagapiłam się na leżący w środku, pokryty nalotem klucz ze stali. Moje serce z każdą chwilą biło coraz szybciej.
Wezwałam Jennifer gestem.
- Sama nie dam rady - powiedziałam, ocierając łzę z policzka.
Podtrzymała mnie, gdy wsunęłam klucz do zamka skrzyni, której szczelnie dopasowane wieko chroniło zawartość. Pasował idealnie. Przekręciłam go w prawo, ale się zaciął.

- Musiał skorodować od deszczu. Spróbuję jeszcze raz - powiedziałam.
Wyciągnęłam klucz i ponownie włożyłam go do zamka, potrząsając delikatnie. Rozległ się cichy szczęk, kiedy zamek w końcu puścił.
Jennifer stała nade mną wyczekująco, kiedy uniosłam wieko i zajrzałam do środka: był tam pokrowiec z błękitnego aksamitu. Wyciągnęłam go z jego krypty z brązu i podeszłam do najbliższej ławki. Usiadłyśmy z Jennifer.
- Otworzysz go? - zapytała. Spojrzałam na nią wilgotnymi oczami.
- Wiedziałaś, prawda?
Jennifer uśmiechnęła się lekko i kiwnęła głową.
- Kiedy ta kobieta z archiwum zadzwoniła na Bora-Bora, powiedziała mi, że artysta nazywał się Grayson Hodge, ale nie rozpoznałam tego nazwiska. Powinnam była je sobie przypomnieć, ale skojarzyłam fakty dopiero kilka tygodni po naszym powrocie do domu. - Urwała na chwilę, sprawdzając, jak na to reaguję. - Podpisywał tym pseudonimem swoje prace. Nie miałam zamiaru tego przed tobą ukrywać, ale chciałam, żebyś zobaczyła to na własne oczy.
Ostrożnie otworzyłam pokrowiec i odsunęłam brązowy papier.
Jennifer wydała z siebie stłumiony okrzyk.
- Obraz? Ten z bungalowu?
Przytaknęłam oniemiała. Stary obraz Gauguina rozgrzał moje dłonie, jakby polinezyjskie słońce zachowało się w jego ramie przez wszystkie te lata. Kolory były wciąż tak samo intensywne, a kompozycja równie poruszająca jak wtedy, kiedy spojrzałam na nią po raz pierwszy. Na chwilę znów tam wróciłam: znalazłam się na wyspie, poczułam ciepłe powietrze na policzkach, piasek pod stopami, miłość Westry'ego wszędzie dookoła.
- Odnalazł go! Tak jak obiecał. - Oczywiście, że dotrzymał obietnicy. -1 pomyśleć, że przez te wszystkie lata obraz był tutaj,

czekał na mnie tuż pod moim nosem, a ja nawet go nie szukałam. - Zwróciłam na Jennifer pełne wdzięczności spojrzenie. -Dziękuję, kochanie - powiedziałam, zerkając najpierw na rzeźbę, a potem z powrotem na obraz. - Co za prezent.
Spojrzała z wyczekiwaniem na niedaleki budynek, po czym znów zwróciła się do mnie.
- Babciu - szepnęła - jesteś gotowa?
- Na co?
- Żeby zobaczyć się z nim.
W moim sercu wezbrała fala uczuć.
- Ale mówiłaś, mówiłaś, że...
- Nie żyje? - pokręciła głową. - Tak, Grayson Hodge, dziewięćdziesięcioletni mężczyzna z Barkley w stanie Utah, nie żyje. W odróżnieniu od Westryego Greena.
Westry tutaj? Czy to możliwe?
- Nie wiem - przełknęłam łzy. - A twój projekt?
- Znalazł piękne zakończenie - odparła Jennifer z uśmiechem.
Poczułam się słabo, niepewnie.
- Marzyłam o tym dniu, odkąd pamiętam, a teraz, kiedy nadszedł... - Boisz się?
- Tak - mruknęłam, przygładzając resztki włosów. Dlaczego nie włożyłam sukienki? Nie pomalowałam ust?
Jennifer wyczuła moją niepewność i pokręciła głową.
- Westry zobaczy tylko to, co ja widzę: twoje prawdziwe piękno.
Podała mi chusteczkę, żebym osuszyła oczy.
- No dobrze, poczekaj tutaj. Pójdę powiedzieć im, że jesteśmy gotowe.
- To znaczy, że on już tu jest? - zapytałam, ledwie wydobywając z siebie głos.
- Tak - odparła z pełnym dumy uśmiechem. - Jego syn przywiózł go dziś rano. Przyjechali aż z Nowego Jorku.

Jennifer rzuciła mi uśmiech, odwracając się w stronę ścieżki, po czym zniknęła za rogiem starego budynku. Kiedy zostałam sama, podniosłam wzrok na rzeźbę, przyglądając się oczom mężczyzny. Nawet odlane w brązie, faktycznie były podobne do oczu Westry ego, i to bardzo. Gdybym tylko podczas któregoś z tych wszystkich spacerów po kampusie - wypuściłam gwałtownie powietrze - choć raz zatrzymała się i zauważyła, dostrzegła wskazówkę, którą umieścił na mojej drodze, może bym go odnalazła.
Usłyszałam w oddali chrzęst żwiru i odwróciłam oczy z powrotem w stronę ścieżki. Pojawił się na niej mężczyzna, na co stado wróbli spłoszyło się i odleciało na pobliskie drzewo. Choć jechał na wózku, wyglądał znajomo: rozpoznałam jego postawę, linię jego podbródka. Kiedy nasze oczy się spotkały, podziękował gestem mężczyźnie w średnim wieku, który pchał wózek, i sam zaczął obracać koła z siłą, która nie pasowała do bieli jego włosów i zmarszczek na jego twarzy. Nie odrywał wzroku ode mnie, wręcz unieruchamiając mnie spojrzeniem.
Zatrzymał się przed ławką, na której siedziałam, i wyciągnął ramiona, obejmując moje zimne palce swoimi silnymi, ciepłymi dłońmi.
- Witaj, Cleo - powiedział, podnosząc dłoń do mojej twarzy. Pogładził mnie po policzku, a potem dotknął medalionu.
- Witaj, Graysonie - odparłam, wycierając łzy z policzków.
- Trochę się spóźniłaś, kochanie - ciągnął z tym samym szelmowskim uśmiechem, który tak mnie zauroczył w dniu, kiedy się poznaliśmy.
Spojrzałam mu uważnie w twarz.
- Czy będziesz mógł mi kiedykolwiek wybaczyć? Za to, że nie wiedziałam, że nie szukałam... Byłam...
Westry musnął moje usta palcem, a jego uśmiech mnie uspokoił. Zawsze potrafił mnie uspokoić.
- Spóźniłaś się tylko trochę - powiedział cicho. - Mamy jeszcze czas.

W mgnieniu oka znów miał dwadzieścia pięć lat, a ja dwadzieścia jeden. Nasz wiek przestał się liczyć. Czas zniknął w oddali.
Zapiął brązową sztruksową marynarkę i uruchomił hamulce wózka, a potem przysunął się bliżej do skraju siedzenia, odepchnął się od niego i wstał. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.
- Myślałam...
- Że chciałabyś pójść na jesienną przechadzkę? - zapytał z szerokim uśmiechem. Wyciągnął szarą laskę z bocznej kieszeni wózka i chwycił ją lewą ręką, a prawą wyciągnął do mnie. -Gotowa?
- Tak - odparłam radośnie, nie mogąc się nadziwić, że przy mnie stoi, tak wysoki i pewny. Wsunęłam obraz pod pachę i wzięłam Westry'ego za rękę, mrugając mocno powiekami, żeby się upewnić, czy nie śnię.
Zaczęliśmy iść ścieżką prowadzącą przez kampus, niepewni celu. Ale to już nie miało znaczenia, ponieważ nasza historia zakończyła się pomyślnie. Ja kochałam jego, a on kochał mnie, aż do samego końca. Ta opowieść będzie się niosła z bryzą na Bora-Bora, będzie nawiedzać zniszczone pozostałości bungalowu i wiecznie żyć w moim sercu.
Westry wrócił. Klątwę przełamano. Szliśmy razem powolnym, ale pewnym krokiem. Wtuliłam się w niego mocniej, obejmując go ramieniem, i w tej samej chwili dwa liście koloru czerwonego wina spadły z niedalekiej gałęzi. Tańczyły przez moment osobno na jesiennym wietrze, a potem opadły miękko na wilgotną ziemię, już obok siebie.